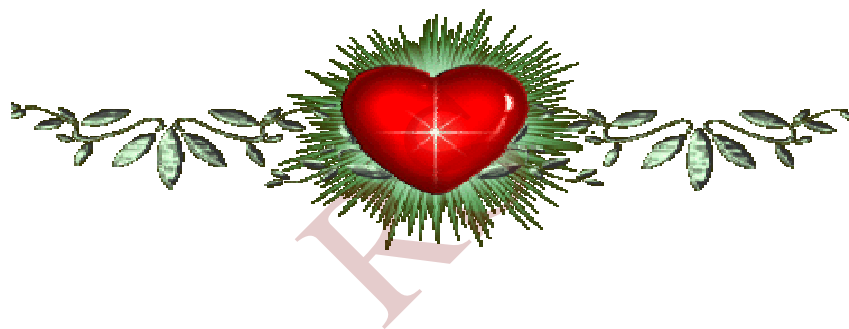




SANDRA HEATH



OD PIERWSZEGO WEJRZENIA

Z angielskiego przełożyła: Anna Wojtaszczyk
Tytuł oryginału: „Easy Conquest”

Rozdział 1

W żaden sposób nie da się tego powiedzieć delikatnie, żadną metodą złagodzić ciosu. Przez ostatnie sześć miesięcy zwykle rozsądna matka Emily szastała pieniędzmi aż do przesady, ale dłużej nie można tego tolerować. Trzeba rozrzutności położyć kres. Stanowczo.

- Mamo, żadna z nas nie będzie mogła pozwolić sobie na nowe stroje, ani w tym miesiącu, ani w przyszłym, ani, jeżeli mam mówić prawdę, do końca lata. A jeśli chodzi o suknię na otwarcie nowej sali zgromadzeń „Pod królewskim dębem” w miasteczku, obawiam się, że będzie mama musiała założyć tę muślinową, z atlasową aplikacją, którą sprawiła sobie mama dwa lata temu przed wyjazdem do Bath.

- Hm? Co tam mówisz, moja droga? - Pani Preston nie podniosła oczu znad nut. Siedziała przy klawesynie na tle witrażowego okna, z którego rozciągał się widok na walijskie pagórki. Właśnie miała zacząć poranną godzinę ćwiczenia i myśli jej skupione były na Mozarcie, a nie jakichś salach zgromadzeń. Postanowiła nosić żałobę po mężu Emily przez pół roku. Okres ten minął właśnie przed kilkoma dniami, więc ubrana była w twarzową, fiołkoworóżową taftę, a jej ramiona okrywał gustowny koronkowy szal. Na głowie miała gładki czepeczek, a na szyi złoty naszyjnik z wysadzonym klejnotami „C”, inicjałem swojego imienia, Cora. W wieku pięćdziesięciu czterech lat zrobiła się nieco pulchna, ale była nadal uderzająco piękną kobietą, o przedwcześnie posiwiałych, atrakcyjnie srebrzystych włosach i niemal niewyobrażalnie ciemnoniebieskich oczach.

Emily uwielbiała matkę, która z reguły należała do osób bardzo rozważnych i praktycznych, tak że nie było łatwo ją upominać; ale nie miała wyjścia. Musiały porozmawiać o niemiłym fakcie, że kufry Fairfield Hall świecą już pustkami. Tak więc cierpliwie powtórzyła swoje trudne do przełknięcia słowa jedno po drugim.

Tym razem na twarzy Cory pojawił się wyraz zgrozy.

- Kiedy więc mogę mieć nadzieję, że dostąpię zaszczytu, by okryć grzbiet jakimś nowym łachmanem? - zapytała ostro.

- Nie byłoby tak źle, gdyby życzyła sobie mama łachmanów, ale mama upatrzyła sobie jedną z najlepszych krawcowych w Londynie!

- No cóż, je ne peux pas la sentir. Znieść jej nie mogę, ale przypuszczam, że zawsze zostaje mi jeszcze pani Nicholls. - Powiedziane to zostało z żywą niechęcią, jako że pani Nicholls zamieszkiwała w Shrewsbury, a tak

provincialnej osoby nie można było uznać za modną couturière. Jednakże francuszczyzny Cory nikt nie nazwałby prowincjonalną, wymowę miała tak doskonałą, że mogłaby uchodzić za paryżankę, chociaż była z krwi i kości Angielką.

Emily z rozdrażnieniem wygładziła swą czarną bombazynową suknię.

- W tej chwili nie ma mowy nawet o pani Nicholls. Będziemy musiały oszczędzać, mamó. Może w przyszłym roku, kiedy wpłyną czynsze, wystarczy nam na... - Urwała ze znużeniem, zauważając poirytowaną minę matki.

- W przyszłym roku? Och, c'est à ne pas y croire! Co, gdybyś przypadkiem nie zrozumiała, oznacza, że to kompletnie nie do wiary! - Cora miała wielką skłonność do okraszania swoich wypowiedzi francuskimi zwrotami, jako że osiemnasty rok życia spędziła w Paryżu, ciesząc się każdą chwilą pobytu w tym mieście.

- Zupełnie dobrze zrozumiałam, mamó. Nie istniała raczej taka możliwość, bym, dorastając w pobliżu mamy, nie nauczyła się francuskiego!

- A skoro już spędziłaś w moim towarzystwie tyle czasu, powinnaś również zrozumieć, że żadną miarą nie zdołam tak długo czekać na suknię! Muszę mieć wzgląd na towarzystwo ze Shropshire, więc absolutnie nie mogę przystać na to, bym miała pokazać się w czymś nie do końca à la mode. Mamó mają tysiąc osiemset piątego roku, trenów się już teraz nie nosi, a może tego nie zauważyłaś? Co sobie pomyśli miasteczko Temford, jeżeli pokażę się w starych falbankach z Bath? Albo, co gorsza, jeżeli obydwie tak się zaprezentujemy?

- Mamó, mówimy tu o spotkaniu w Noc Fajerwerków, co oznacza tradycyjną listopadową fetę w małomiasteczkowej gospodzie, a nie wielki bal debutantek w Londynie! Otwarcie nowej sali przy gospodzie „Pod królewskim dębem” zostanie uświetnione czymś w rodzaju balu, potem, kiedy na ognisku spłonie już ponownie kukła tego nieszczęsnego Guya Fawkesa, nastąpi pokaz fajerwerków, a jeszcze później wszyscy rozejdą się do domów. Ale ja w tym nie będę brała udziału, nie musi się mama więc martwić, że obydwie pokażemy się w obnoszonych sukniach.

- Przecież twoje dwanaście miesięcy w czerni już wtedy się skończy.

- Pełna żałoba może nie zyskiwać sobie aprobaty mamy, ale ja ją aprobuję. Po prostu nie wydaje mi się właściwe, bym miała wystroić się i przetańczyć całą noc niemal dokładnie w rocznicę śmierci Geoffreya. Tak czy owak nie należy to do rzeczy. Nic nie stoi na przeszkodzie, by mama wzięła w udział

w tej fecie, a wydaje mi się, że przekona się mama, iż jej stara suknia w pełni zasłuży sobie na pochwały. Nie nosiła jej mama od Bath, nie przypominam sobie również, by obecna była socjeta ze Shropshire, kiedy miała ją mama na sobie. Zresztą nawet gdyby ktoś taki tam był i ją zapamiętał, nie przyjdzie mu do głowy nic, czego by już wcześniej sobie nie pomyślał. Wszyscy wiedzą, jak zubożałyśmy.

- Och, to naprawdę fatalnie, ale jeżeli nie ma innego wyjścia, będę chyba musiała założyć ten muślin -westchnęła Cora. - Wydaje mi się jednak, moja droga, że powinnaś się tam pokazać. To doskonała okazja, byś znowu pojawiła się w towarzystwie, nawet jeżeli będzie to blisko tej okropnej daty.

- Już wyjaśniłam mamie, dlaczego nie zamierzam tam pójść. Jeżeli zmienię zdanie, mama się pierwsza o tym dowie.

- Hmm.

Emily się zirytowała.

- Można by pomyśleć, że dla mamy ta zabawa w Noc Fajerwerków jest najważniejszą sprawą w życiu! -oznajmiła i przeszła do dużego wykusza z szesnasto-wiecznym oknem witrażowym o skomplikowanym wzorze, żeby wyjrzeć na dwór. Maleńkie, oprawne w ołów szybki zniekształcały widok, rozbijając go na małe fragmenty, jak popękane lustro. Znowu padał deszcz, na dziedzińcu rozlały się kałuże. Jakaś służąca spieszyła ze stróżówki do kuchni, a jeden z psów udawał, że ją goni.

Dwór Fairfieldów w Shropshire był średniowiecznym budynkiem z pruskiego muru, bogato zdobionym, z dwuspadowym dachem; wokół niego rozpościerał się wspaniały park. Stał o kilka mil od małego miasteczka targowego, Temford. Zabudowania otaczały z trzech stron dziedziniec, otwarty od strony północnej, a całość opasana była fosą, po której pływały lilie wodne i w której żyły ryby. Dom wznosił się na wysokość trzech pięter, przy czym każde z nich wystawało po bokach nad piętro niższe, a główny dojazd prowadził po kamiennym moście przez fosę, a potem pod łukowato sklepioną bramą na dziedziniec.

W ciągu minionych wieków fundamenty domu osiadły, belkowanie się spaczyło i cały dwór zaczął wyglądać tak, jakby sobie podpił i w każdej chwili mógł kiwnąć się w tę czy w tamtą stronę, przeskoczyć fosę i zataczając się, ruszyć przez park. To istny cud, że nie tylko wciąż stał, ale mógł tak jeszcze stać przez długie wieki.

Wykładany dębową boazerią salon znajdował się na drugim piętrze; po jednej stronie miał wykusz, po drugiej okna wychodzące na fosę i położony

na pagórkach park. W salonie stały wielowiekowe meble, wisiały stare tapiserie i obrazy, a jedynym nowszym sprzętem był klawesyn, który Cora kupiła na rok przed śmiercią swojego zięcia.

Opłakany stan finansów dworu wyszedł na jaw dopiero po zgonie Geoffreya Fairfielda, a obecnie sytuacja była tak fatalna, że Emily miała uzasadnione podstawy, by bać się, iż sobie nie poradzi. Patrzyła markotnie przez park w kierunku Temford, które skupiało się wokół średniowiecznego zamku, strzegącego brodu na rzece Teme.

- Och, ten brak pieniędzy jest nieznośny. - Cora była coraz mocniej rozdrażniona.

- Zgadzam się, ale musimy sobie radzić najlepiej, jak umiemy. - Cieniutkie, czarne wstążeczki na czarnym koronkowym czepeczku dziennym Emily zatrzepotały, kiedy odwracała się, by spojrzeć na matkę. - A obawiam się, że oznacza to całkowite spuszczenie z tonu, jeśli chodzi o modę.

Cora nie zareagowała, ale przygarbiła się trochę w ramionach, a oczy opuściła tak, jakby przemilczała wiele z tego, co miała do powiedzenia.

Emily złagodniała.

- Proszę, niech mama spróbuje zrozumieć. Stroje... czy może raczej ich brak... to tylko częśćka moich problemów, przecież muszę mieć wzgląd także na inne sprawy. Spadło na mnie zarządzanie majątkiem, w czym mam bardzo niewiele doświadczenia, a muszę się jeszcze troszczyć o edukację Petera i o jego dobro. - Peter był jej trzynastoletnim synem, obecnie przebywającym w Harrow, chociaż jak długo jeszcze uda się łożyć na jego kosztowne wykształcenie, to się dopiero okaże.

Cora się odwróciła.

- „Przemysłne plany i myszy, i ludzi w gruzy się wałają...”*

*„Do Myszy” R. Burns, tłum. St. Barańczak.

- Słucham?

- Mm? To Burns, moja droga. „Do Myszy”.

- Wiem. Zastanawiam się tylko, dlaczego mama to powiedziała.

- Wszystko jedno. - Cora przywołała na twarz pełen werwy uśmiech. - Musisz mi wybaczyć, moja droga, zdaję sobie sprawę, jaka ostatnio bywałam uciążliwa.

- To mama użyła słowa „uciążliwa”, nie ja.

Cora zaczęła bawić się szalem, skręcając go i zwijając.

- Po prostu trudno pogodzić się z tym, że straciłyśmy niemal wszystko przez niewiarygodną niegospodarność Geoffreya. Jego finansowa

nieporadność jest całkiem zdumiewająca, ale dałoby się ją może naprawić, gdyby tak niepotrzebnie nie zginął...

- Geoffrey nie umarł naumyślnie, mamó. - W głosie Emily pojawił się ostrzejszy ton.

- Nie, oczywiście, że nie, ale przyjął jednak rzucone przez sir Rafe'a wyzwanie na ten głupi konny wyścig! - Okoliczności śmierci zięcia nie przestawały gnębić Cory; prawdę mówiąc, gnębiła ją większość spraw związanych z Geoffreyem. Geoffrey Fairfield mógł nosić jedno z najbardziej szanowanych nazwisk w całym Shropshire, ale ona uważała go za artystę-marzyciela, który bardziej troszczył się o hazard i swoje ukochane malowanie portretów niż o zapewnieniu żonie i dziecku środków do życia. A już jego bliskie związki ze wstrętnym sir Rafe'em były, zdaniem Cory, absolutnie nie do przyjęcia.

Musiała się pohamować, by nie skrzywić się na samą myśl o sir Rafe'ie. Przed około pięciu laty pan ten kupił zamek Temford na swoją wiejską rezydencję. Jego majątek od bardziej skromnych ziem Fairfield Hall oddzielała tylko droga, prowadząca na zachód, z Temford do Walii. Miał lat czterdzieści i bez wątpienia był dobrą partią, ale nigdy u jego boku nie pojawiła się żadna lady Warrender, która mogłaby temperować ekscesy męża. Cora nie miała wątpliwości, że powodem była jego miłość do Emily - chociaż może słowo „chuć” dokładniej oddawałoby emocje, które odczuwał. Matka Emily uważała, że nie ma takiej podłości, do której sir Rafe nie zniżyłby się, by zdobyć to, czego pragnął, i że kultywował przyjaźń z Geoffreyem tylko po to, by spróbować uwieść Emily. Stale nawiedzał dwór, dumiała Cora, i zlecił nawet panu domu namalowanie swojego portretu, ale przez cały wodził rozpalonymi, przebiegłymi oczami za piękną żoną Geoffreya.

Emily nie była całkiem gotowa, by dać się wciągnąć w dyskusję o sir Rafe'ie, nie życzyła sobie również rozmawiać na temat Geoffreya, którego bardzo kochała pomimo jego wielu wad.

- Proszę, niech mama już nic nie mówi, nie jestem w nastroju. W sprawie tego, co się stało, każda z nas musi pozostać przy swoim zdaniu. Sir Rafe przez ostatnie sześć miesięcy przebywał w Londynie i wydaje się prawdopodobne, że spędzi tam jeszcze następne pół roku, a biednego Geoffreya nie ma tu, by mógł się bronić, prawda?

- Bronić się? - Ton Cory był miażdżący. - Moja droga dziewczyno, Geoffreyowi Fairfieldowi nawet na to nie starczało charakteru! Jeżeli sprawy

układały się nie po jego myśli, po prostu czmychał pospiesznie na górę, do długiej galerii, by tam malować! A chociaż tak się zarzekał i zaprzeczał, przybierając istne pozory świętego, w tej chwili jest już jasne jak słońce, że kiedy wymykał się do zamku sir Rafe'a na karciane przyjęcia, ponosił wielkie straty!

- Proszę, mamó. - Emily wiedziała, że to prawda, nie trzeba jej tego było mówić.

Cora wyprostowała się na całą swoją wysokość.

- Och, bardzo dobrze, nie powiem nic więcej, pozwolę sobie tylko zauważyć, że obydwie wyjątkowo niefortunnie wybrałyśmy mężów. - Z irytacją przeciągnęła palcem po klawiszach klawesynu, a potem podniosła się, szeleszcząc fiołkoworóżową taftą. Matka i ojciec Emily nie zgadzali się ze sobą w żadnej sprawie. Ojciec miał despotyczny charakter i roztrwoniał majątek żony na kochanki, a ich ilością zakasowałyby samego Karola II. Wdowa po nim na pogrzeb męża nie przywdziała żałoby.

Emily rozsierdziła się, że matka jednym tchem wymienia mężów ich obu.

- Mamó, ufam, że nie chce mama porównywać Geoffreya i papy?

- No cóż, żaden z nich nie świecił przykładem, prawda?

- Papa nie zostawił mamie w ogóle nic. Geoffrey przynajmniej zostawił ten dom.

- Rzeczywiście zostawił, ale byłoby dużo lepiej, gdyby oprócz tego zostawił wystarczające fundusze, by nim zarządzać w odpowiedni sposób!

Emily na końcu języka miała ciętą uwagę na temat nieskorych do pomocy matek, przekonanych, że kosztowne londyńskie krawcowe są na czasie, ale się powstrzymała.

Cora podeszła do córki i stanęła obok niej w wykuszu.

- Geoffrey zupełnie nie nadawał się na właściciela majątku i nie umiał nim zarządzać, to prawda. Wybaczyć mu jednak nie mogę, że zawsze stawiał siebie na pierwszym miejscu.

- Wcale nie!

- O, tak. Był młodszym synem, więc kiedy dorastał, mógł nie spodziewać się, że kiedykolwiek odziedziczy dwór. Ale kiedy już go odziedziczył, powinien był przyłożyć się do interesów, zamiast oddawać się swej namiętności do malowania w stopniu praktycznie wykluczającym wszystko inne poza hazardem. A ty, panno, nie powinnaś nigdy była poślubić mężczyzny, który częściej myślał o sztalugach i portretach niż o tym, jak zadbać o rodzinę. Wiem, że byt przystojny, uroczy, łagodny i ogólnie miły

towarzysko, ale takie zalety nie wystarczą. On samolubnie marzył o niebieskich migdałach, a ty, biedactwo, musisz teraz twardo stąpać po ziemi.

Emily rzuciła matce ironiczne spojrzenie.

- Jeśli już mówimy, mamó, o niebieskich migdałach, to mama okazała się marzycielką co najmniej równie wielką jak on, a może nawet większą. Jak mama może spodziewać się, że sprawię jej nową wieczorową suknię, kiedy ja nie wiem nawet, czy będzie mnie stać, by w przyszłym semestrze wysłać Petera do szkoły?

Cora się wzdrygnęła.

- Jest aż tak źle?

- Tak. Doszło do tego, że pan Mackay obecnie radzi mi, by wszystko sprzedać i zamieszkać w jakiejś skromniejszej rezydencji. Może w jednym z domów w Temford. - Pan Mackay, bankier Fairfielków, mieszkał w stolicy hrabstwa Shrewsbury, i przez ostatnie miesiące był istną opoką i ostoją dla Emily. Robił, co mógł, by powstrzymać wierzycieli, którzy inaczej groziliby Fairfield Hall sądem.

Cora była przerażona.

- Dom w Temford? - Zmarszczyła nos z niesmakiem, ponieważ poza zamkiem Temford nie mogło pochwalić się żadną rezydencją, którą uważałaby za odpowiednią dla osób ich stanu.

- Pan Mackay przejął wiele naszych długów, mamó. Powiedzmy raczej: moich długów, ponieważ to ja jestem wdową po Geoffreyu. Tak czy owak, nawet przy najlepszych chęciach nie uda mu się bez końca odpędzać widma ubóstwa i głodu od naszych drzwi, muszę więc zastanowić się, jakie mi możliwości zostały.

- Możliwości?

- Tak, mamó. Rozumie mama, da się znaleźć wyjście z tej sytuacji... - Emily mówiła z wielką ostrożnością, bo wiedziała, że matce nie spodoba się to, co miała do powiedzenia.

- Co masz na myśli? - W głosie Cory pojawiła się podejrzliwa nuta.

- Wczoraj dostałam wiadomość od sir Rafe'a. Cora zamarła.

- I?

Emily wzięła się na odwagę.

- Pragnie mi się oświadczyć, kiedy skończy się moich dwanaście miesięcy żałoby.

Rozdział 2

- Oświadczyć? - powtórzyła Cora słabym głosem. –

Och, ziścił się mój najbardziej koszmarny sen, urzeczywistniły wszystkie najgłębiej skrywane lęki... Proszę cię, powiedz, że tylko żartujesz, Emily.

- Nie żartowałam z czegoś takiego, mamó. Poza tym, jeżeli mama mi nie wierzy, mam to na piśmie. - Emily otwarcie spojrzała matce w oczy.

Cała krew odpłynęła Córce z twarzy.

- Nie spotkałam nigdy człowieka równie godnego pogardy, jak sir Rafe Warrender! Przecież jego dewizą jest: La fin justifie ies moyens, cel uświęca środki. Nie potrafię wyobrazić sobie, by coś mogło lepiej do niego pasować!

- To nie on wybierał tę dewizę, mamó. Jest w jego rodzinie od setek lat.

Cora zignorowała uwagę córki.

- Peter też go nie znosi, wiesz o tym, prawda? Och, Emily, chyba nie myślisz go przyjąć.

- Muszę się nad tym zastanowić, mamó. Przy naszym stanie finansów nie mogę pozwolić sobie na luksus odprawienia go od ręki.

- Och, jakże żałuję, że kiedy pojechałam, by zobaczyć się z Brockhamptonem... - Cora urwała, odwróciła się i przycisnęła dłonie do policzków.

Emily popatrzyła na nią ze zdumieniem.

- Brockhampton? Ma mama na myśli sir Quentina Brockhamptona? - Wiedziała, że sir Quentin jest znakomitym londyńskim prawnikiem, ale pojęcia nie miała, co mógłby mieć wspólnego z tym wszystkim. - Nie wiem, o czym mama mówi. Dlaczego pojechała mama zobaczyć się z sir Quentinem?

Cora nie odpowiedziała, tylko chwiejnie podeszła do okna i przycisnęła czoło do witrażowych szybek.

- Mamó?

- Nie mam ci nic więcej do powiedzenia, moja droga. „Przemysłne plany...” i tak dalej.

Emily poczuła się kompletnie zagubiona.

- Mówi mama zagadkami.

- Bo już tylko zagadka mi została.

Na twarzy młodej kobiety odmalowała się konsternacja i troska.

- Nie mam pojęcia, dlaczego wspomniała mama przy tej rozmowie o sir Quentinie Brockhamptonie, ale żywię głębokie przekonanie, że chociaż nie lubi mama sir Rafe'a, jego zamiary wobec mnie są uczciwe.

- Uczciwe? Och, mówisz jak pierwsza naiwna, Emily! Jak możesz być taka ślepa? - zawołała Cora napastliwie. - Z rozmysłem sprowadzał Geoffreya z uczciwej drogi, a za każdym razem, kiedy pozował do tego nieszczęsnego portretu, przyglądał ci się tak rozognionym spojrzeniem, że dziw, iż cały nie stanął w płomieniach! Ty byłaś jedyną przyczyną, dla której zawracał sobie głowę Geoffreym. Kiedy sir Rafe Warrender zwabiał go do swego zamku na karty, robił to po to, by uzyskać władzę nad nim, a ostatecznie i nad tobą! -Cora rozkręciła się na dobre. - Czy ty sobie wyobrażasz, że sir Rafe'owi naprawdę zależało na portrecie? Geoffrey był znakomity, ale nie był geniuszem jak pan Lawrence, któremu sir Rafe pozował zaledwie dwa lata wcześniej. Portret pędzla Geoffreya posłużył mu za podstęp, by dostać się pod ten dach, a jeżeli tego nie rozumiesz, to jesteś kompletnie głupia!

- Mamo! - Emily była do głębi wstrząśnięta.

- Proszę cię, nie poświęcaj nawet jednej myśli temu małżeństwu, Emily, bo nie możesz i nie wolno ci zawierzyć sobie i Petera sir Rafe'owi Warrenderowi.

Emily musiała chwilę pomilczeć, żeby się opanować, a kiedy się ponownie odezwała, głos jej brzmiał spokojnie i stanowczo.

- Skoro mama wspomniała o Peterze, porozmawiajmy o nim. Jestem za niego odpowiedzialna, mam, podobnie jak jestem odpowiedzialna za te niepopłacone rachunki, które na mnie spadły. Powtarzam, po prostu nie mogę sobie pozwolić na to, by lekkomyślnie odrzucić sir Rafe'a.

- Peter wolałby zebrać na ulicy, niż patrzeć na twoje nieszczęście. A jeżeli wyjdiesz za sir Rafe'a, to będziesz nieszczęśliwa, uwierz mi.

- Myli się mama.

- Te intymne radości, których zaznałaś z Geoffreym, zmieniają się w naprawdę bardzo zamierzchłe wspomnienia! Sir Rafe Warrender unieszczęśliwi cię bez reszty.

- Proszę, mam... - Emily była zażenowana.

- To prawda. Jesteś moją córką, więc znam cię równie dobrze jak siebie samą. Jako kobieta światowa mogę ci całkiem otwarcie powiedzieć, Emily Fairfield, że potrzebujesz dynamicznego, namiętnego mężczyzny, który co noc udowodni ci, jak bardzo ciebie uwielbia, i który da ci tyle samo

rozkoszy, ile dostanie od ciebie. A sir Rafe wykorzysta cię wyłącznie dla własnej satysfakcji.

Policzki Emily spłonęły rumieńcem.

- Naprawdę nie powinna mama mówić takich rzeczy - wymamrotała.

- Czemu nie? Jesteśmy same, moja droga, a matka powinna móc rozmawiać z córką bez ogródek. Ja zdecydowałam się na okropne małżeństwo, a potem pozwoliłam, by z mojego życia odszedł ukochany... - Głos Cory załamał się, bo głęboko pogrzebane wspomnienie wypłynęło nagle na powierzchnię.

- Mamy... mamy ukochany? - powtórzyła ze zdumieniem Emily, bo nigdy wcześniej o czymś takim nie słyszała.

Cora się opanowała.

- Tak, moja droga, i w związku z tym wiedziałam, co mówię, kiedy odradzałam ci małżeństwo z Geoffreyem Fairfieldem. Było oczywiste, że nie jest odpowiednim mężczyzną dla ciebie, a chociaż przyznam, że pewnie musiał znać kilka łózkowych sztuczek, pod innymi względami był samolubem. Czy chcesz mi przyznać rację, czy nie, w sprawie twojego pierwszego małżeństwa nie pomyliłam się i teraz też się nie mylę. Trudno byłoby znaleźć kogoś mniej odpowiedniego niż sir Rafe Warrender! Na jego plus zapisać można tylko pieniądze i tytuł, a jakąż będą one miały wartość w ciemną noc, kiedy zapragniesz miłości? Gdyby cię uwielbiał, a nie tylko po prostu pożądał, gdyby stawiał twoje szczęście przed swoim, gdyby choć raz uwzględnił Petera w swoich planach, dużo mogłabym mu przebaczyć. Ale wiem, co z niego za szubrawiec.

- Mamo, dni, kiedy pragnęłam miłości, już minęły. Corę zgroza przejęła, kiedy usłyszała taką rezygnację.

- Emily Fairfield, masz lat trzydzieści trzy, a nie sto trzydzieści trzy! - Chwyła córkę za rękę i pociągnęła ją na drugą stronę pokoju, w stronę rzeźbionego, kamiennego kominka, w pobliżu którego wisiało wyblakłe lustro, osadzone w starodawnej ciemnej dębowej ramie. - Popatrz na siebie, moja droga, i powiedz mi, co widzisz.

- To się mija z celem, nie zdoła mnie mama przekonać.

- Zrób, o co proszę. Emily westchnęła.

- Bardzo dobrze. Widzę przygniecioną brzemieniem okoliczności wdowę, której szczęście skończyło się z początkiem listopada ubiegłego roku, kiedy jej mąż zginął, spadłszy z konia. Wdowa ta ma trzynastoletniego syna i musi

go sama wychować. Och, i musi również znosić kompletny brak przezorności swojej matki.

Cora lekko się uśmiechnęła.

- A ja widzę śliczną młodą kobietę, którą w życiu może czekać jeszcze wiele szczęścia. Widzę niespotykane delikatną twarz o kształcie serca, złotobrazowe włosy, których długie pasma nigdy nie powinny być paść ofiarą nożyc, widzę cerę tak świetlistą, że w młodości sama byłabym nią zachwycona, widzę piękne orzechowe oczy, które wciąż potrafią przyprawić większość panów o bicie serca, i wdzięczną figurę, której nie powinno się ukrywać pod czarną bombazyną ani chwili dłużej niż to konieczne! Widzę też łagodny charakter, a takiego nie wolno narażać na zetknięcie z koszmarem w postaci sir Rafe'a Warrendera!

- Pochlebia mi mama, jak sądzę - zamruczała Emily.

- Nie, moja droga, po prostu mówię prawdę.

- Niemniej jednak...

- Nie skończyłam jeszcze - przerwała jej Cora. -A na koniec, kiedy patrzę na ciebie, widzę serdeczność i żywiołowość, które potrzebują bardzo szczególnego mężczyzny, tego jednego jedyne, o jakim marzy w głębi serca większość kobiet. Ja takiego znalazłam, ale pozwoliłam mu odejść. Była to najgorsza decyzja, jaką podjęłam w życiu, i do teraz codziennie jej żałuję.

Emily odwróciła się ze zdumieniem, pragnąc zadać matce pytanie, ale Cora zmusiła ją do ponownego spojrzenia w lustro.

- Popatrz na siebie, Emily. Ten twój jeden jedyny jest gdzieś i wiem, że go znajdziesz. Uwierz mi, że nie nazywa się on Warrender! Zaczekaj i zobacz, co przyniesie ci przyszłość...

- W tym cały problem, mamó. Ile razy muszę mamie powtarzać, że nie stać mnie na to, by czekać? Nasze długi narastają z dnia na dzień, o czym pan Mackay z niechęcią musiał mi przypomnieć.

Cora puściła córkę.

- A więc jesteś zdecydowana? - zapytała z rezygnacją.

- Chyba muszę być, mamó.

- Odrzucasz szansę na szczęście, podobnie jak ja przed laty. - Cora smutno zapatrzyła się na deszcz. -Och, tak bym chciała, żeby był tu Feliks.

- Ale Feliksa tu nie ma, a ja naprawdę nie rozumiem, jaką różnicę sprawiłaby jego obecność - powiedziała Emily. Feliks Reynolds był dalekim kuzynem matki, dużo starszym od niej, i większość życia spędził za granicą.

Zupełnie nie potrafiła zrozumieć, dlaczego matka zawsze w momentach kryzysowych pragnęła zasięgnąć jego rady, przecież nigdy nie zajmował jakiegoś poczesnego miejsca w jej życiu. Był badaczem dalekich krain, a ostatnie wiadomości o nim przysły przed pięcioma laty, kiedy pewien kapitan, z którym Feliks zaprzyjaźnił się w Caracas, przywiózł od niego list z Wenezueli.

Kapitan przyjechał do Fairfield Hall i zatrzymał się tam na kilka tygodni, a Cora zasypywała go pytaniami o Feliksa. Dyskusje o obcych krainach i tajemniczych cywilizacjach tak zainteresowały Petera, że od tamtej chwili widział w Feliksie człowieka, którego chciałby naśladować. Emily mogła tylko mieć nadzieję, że chłopiec sam straci zapał, bo na pewno nie chciała, by jej jedyny syn wyruszył na koniec świata, narażając się na nieznane niebezpieczeństwa.

Córce udało się uśmiechnąć.

- Masz oczywiście rację. Nawet gdyby Feliks jeszcze żył, miałby już dobrze ponad siedemdziesiąt lat, a zresztą i tak nie wiem, czy nie zmienił zdanie w sprawie... - Urwała.

- W jakiej sprawie?

- Złożył obietnicę, rozumiesz. Powiedział, że coś zrobi, ale chyba nie zrobił. To oczywiste, chyba że...

- Tak? - podpowiedziała Emily, serdecznie pragnąc, by matka wyjawiała wreszcie, o czym właściwie mówi.

- Sir Quentin Brockhampton mógł... Och, nie ma sensu w ogóle o tym rozmawiać, tak czy inaczej nie istnieje przecież żaden dowód.

- Na litość boską, mamo, niech mama wyjaśni, o co mamie chodzi!

Cora milczała, jej oczy nabrały tak dziwnego wyrazu, pojawiło się w nich tyle tęsknoty za czymś, co utraciła, że Emily nagle zdała sobie sprawę, jaka jest prawda.

- Czy Feliks był tym mamy jedynym jedynym? - zapytała łagodnie.

- Tak - szepnęła Cora, a z oczu jej popłynęły łzy. - Och, Emily, nigdy się nie dowiesz, jak bardzo żałuję, że z nim nie pojechałam, kiedy mnie o to błagał.

Emily się spłoszyła.

- Żeby pojechała mama z nim? Na jakąś ekspedycję? - Udało jej się trochę opanować. - Nie wydaje mi się raczej, by takie życie miało mamie odpowiadać. Nad Amazonką nieczęsto spotyka się bankietowe sale.

- A tobie się zdaje, że ja się do niczego innego nie nadaję, prawda? Że przyjemność sprawiałby mi tylko kalendarz wypełniony do granic towarzyskimi wydarzeniami? Pozwól sobie powiedzieć, że ten rok, który spędziłam w Paryżu jako młoda dziewczyna, zaszczeplił we mnie coś, co Niemcy nazywają Wanderlust. Tak się składa, że od tamtego czasu nie byłam już za granicą, ponieważ wyszłam za mąż, a potem musiałam mieć wzgląd na ciebie, ale nigdy nie przestałam marzyć o podróżach. Gdybym mogła zawrócić czas, nie zawahałabym się rzucić przezorności na cztery wiatry. Wypłynęłabym na oceany świata z Feliksem. Pasowaliśmy do siebie, ale ja wzdragałam się przed tym ostatecznym krokiem, ponieważ byłam żoną i matką. Nie bardzo mogłam zabrać ze sobą dziecko na wyprawę do Ameryki Południowej.

Emily wpatrywała się w matkę szeroko otwartymi oczami.

A Cora wpatrywała się w padający deszcz i widziała utracone szczęście, którego już nigdy nie zdoła odzyskać.

- Gdybym złączyła swój los z Feliksem, odniosłabym w życiu sukces. Och, moja miłość do niego nie jest już tą ogromną namiętnością, jaką była kiedyś, ale nigdy całkiem nie zaniknie. Feliks zawsze będzie zajmował wyjątkowe miejsce w moim sercu.

- Nie potrafię sobie wyobrazić mamy w roli nieustraszonego badacza. Czy naprawdę wdrapywałaby się mama na Andy albo wycinałaby sobie mama szlak przez tropikalną dżunglę? Jakoś to się wydaje do mamy niepodobne.

- Niepodobne jest to do tej mnie, którą się stałam. Ale z pewnością właśnie taka mogłam być.

Emily poczuła się winna, że wcześniej tak krytykowała matkę.

- Wiem, że docinałam mamie dzisiaj zupełnie okropnie, ale bardzo mamę kocham. Wie mama o tym, prawda?

- Tak, kochanie. - Cora poklepała ją po ręce.

- A czy zamierza mi mama wyjaśnić tę tajemnicę, związaną z sir Quentinem Brockhamptonem?

- Nie.

Emily westchnęła, ale skinęła głową.

- Nie mogę mamy do niczego zmuszać.

- Ani ja ciebie, jak się zdaje. Jeżeli podjęłaś już decyzję w sprawie sir Rafe'a Warrendera, pozostaje bardzo niewiele do powiedzenia, mogę cię tylko błagać, byś nie zrobiła czegoś pochopnego. Ociągaj się najdłużej, jak będziesz mogła, zanim go w końcu przyjmiesz.

- Zaczekam, dopóki nie skończy się te dwanaście miesięcy.
- Ale nawet wtedy się nie spiesz - naciskała Cora.
- Mamo, nasze długi mi na to nie pozwolą.
- Przecież coś może się wydarzyć!
- Ale może się również nie wydarzyć. Sir Rafe rzucił mi linę ratunkową.

Jeżeli jej nie chwycę, to ja... my wszyscy... pójdziemy na dno.

Cora ze wszystkich sił starała się nie stracić opanowania.

- Coś musi się wydarzyć, Emily. Będę się ze szczerego serca modliła, by w okresie od teraz do listopada coś uratowało cię od zagrożenia, jakie stanowi sir Rafe Warrender! - I chwytając po obu bokach spódnicę, pospiesznie wyszła z pokoju.

RS

Rozdział 3

Tego samego dnia, po drugiej stronie świata, w Peru, John Lincoln - dla swoich przyjaciół Jack - stał w położonej na zboczu pagórka hacjendzie, na obszernym, obudowanym, wychodzącym na Limę balkonie.

- Niech mnie pan już więcej nie prosi, Feliksie, bo wie pan, że w żaden sposób nie mogę pana teraz zostawić - powiedział spokojnie, z rozmysłem nie odwracając się, by zająrzeć do dosyć mrocznego choć przewiewnego pokoju, gdzie Feliks Reynolds leżał oparty na poduszkach w wielkim rokokowym łóżu.

- Ale już nic więcej nie możecie dla mnie zrobić, mój chłopcze, ani ty, ani Cristoval. Nawet indiański służący Cristovala, Manco, nie zdoła swoimi inkaskimi lekami i magią przyspieszyć rekonwalescencji po tej chorobie, a kiedy ja tu będę powolutku wracał do zdrowia, wy powinniście z Cristovalem kontynuować normalne życie.

- Postąpimy tak, jak uznamy za stosowne, a nie tak, jak pan zechce nam rozkazać. - Jack nieustępliwie wyglądał przez nieoszkłone, zakryte drewnianą kratą okno i przyglądał się, jak właściciel hacjendy, serdeczny przyjaciel i jego, i Feliksa, wydaje rozkazy dwóm Indianom, mającym pod swoją opieką ogrody. Don Cristoval de Soto był kreolskim szlachcicem i potrafił wywieść swój rodowód od jednego z pierwszych hiszpańskich konkwistadorów. Przez ostatnie dwadzieścia z przeżytych pięćdziesięciu pięciu lat był wdowcem, a przez ostatnie dwanaście miesięcy - bliskim towarzyszem dwóch Anglików. Przed kilkoma tygodniami z radością oddał do ich dyspozycji swoją hacjendę, z powodu słabego zdrowia Feliksa.

Hacjenda była bogato zdobionym budynkiem w hiszpańskim stylu kolonialnym, z jedwabnymi oponami na ścianach, złoconymi meblami i brukowanymi ogrodami niezwyklej wprost urody. Na tej półkuli miesiąc maj oznaczał początek zimy i Limę przesłaniała gęsta, mżąca deszczem mgła, znana pod nazwą garua albo peruwiańska rosa. Gdyby nie to, Jack mógłby zobaczyć nie tylko stolicę, ale i dalej na zachód położony port Callao, jakieś siedem czy osiem mil od brzegów Pacyfiku. Co tydzień albo nawet częściej ta część świata drgała podczas lekkich trzęsień ziemi. Prawdziwe niszczycielskie trzęsienia zdarzały się raz czy dwa razy na stulecie i wszystko tu wydawało się nietrwałe może poza zwieńczonymi śniegiem szczytami i starożytnymi tajemnicami Inków, kryjącymi się w wysokich pasmach Andów.

Peru było zdumiewającym krajem, ale Jack zatęsknił znowu za Anglią. Status wygnańca męczył go. Jeżeli już musi być mgła, wolałby, żeby była to mgła angielska, taka, jaka często unosi się w lesie w rzeński, jesienny poranek, podświetlona słońcem, które się zaraz rozjarzy, a nie ten nasączający wszystko wilgocią opar, który nigdy tak do końca nie zmieniał się w deszcz. Feliks ze swej strony nigdy nie miał dość Peru i nawet teraz, kiedy opuściło go zdrowie, nie tęsknił za krajem, w którym się urodził. Od pewnego czasu coraz większe trudności sprawiało wspinanie się na górskie ścieżki w poszukiwaniu odległych ruin inkaskich i koniec końców musiał przyznać, że potrzebny jest mu odpoczynek. Tak więc trzej przyjaciele przyjechali na hacjendę, a tam Feliks niezwłocznie zapadł na febrę, która tak bardzo często pojawia się w regionach przybrzeżnych.

Feliks odezwał się znowu, jego głos, który jeszcze kilka tygodni wcześniej brzmiał tak stanowczo i mocno, zrobił się cichy i słaby. Starzec był drobnej budowy, włosy, niegdyś ciemne, tworzyły obecnie tylko wianuszek siwizny wokół głowy. Zielone oczy łzawiły, ale ich spojrzenie nadal było pewne.

- Przyznaj, Jack, że dręczy cię nostalgia. Szwedzki statek handlowy „Stralsund” wypływa z Callao w przyszłym tygodniu. Popłynie przez Bristol do Sztokholmu z ładunkiem srebra. Mógłbyś znaleźć się na jego pokładzie. Do diabła, człowieku, czy nie widzisz, że ja chcę, żebyś jechał?

- Cristoval i ja leżelibyśmy teraz na dnie jeziora Titicaca, gdyby nas pan nie wyciągnął, więc proszę się nie spodziewać, że pana opuszczę. - Jack się uśmiechnął. Cóż za dziwaczna z nas trójca, pomyślał: starszy angielski dżentelmen, który z wyboru spędzał całe życie na wędrówkach, młody angielski dżentelmen, wygnaniec wbrew swojej woli, i samotny kreolski szlachcic, który marzył o podróżach, ale nigdy w żadną nie wyruszył. Zbliżyła ich do siebie przed rokiem katastrofa na jeziorze Titicaca. Do tamtej chwili Jack podążał bez celu swoją własną drogą, wiodąc życie, które pełne było przygód, ale niczemu nie służyło. Feliks i Cristoval otworzyli przed nim nowe perspektywy i w końcu chciał wrócić do Anglii, żeby poskładać znowu w całość kawałki swej roztrzaskanej egzystencji, która stała niewiele więcej niż słabo pamiętanym snem.

Feliks odwrócił głowę, by przyjrzeć się sylwetce młodego przyjaciela, rysującej się na tle kraty.

- Uparty z ciebie człowiek.

- Coś mi się zdaje, że jest nas tu dwóch takich - odpowiedział Jack, wchodząc z powrotem do pokoju. Miał trzydzieści pięć lat, był wysoki,

szczupły, ale i muskularny, szeroki w ramionach i wąski w biodrach. Jego oczy żywym błękitem przywodziły na myśl południowe oceany, a cerę miał ogorzałą od wielu miesięcy spędzonych na peruwiańskim słońcu, od którego włosy wypłowiwały mu na jasny blond. Cechowała go pewna surowość, coś, co wskazywało, że z zamiłowania jest poszukiwaczem przygód, a przecież zaledwie przed pięciu laty był eleganckim młodzieńcem, stał na świeczniku londyńskiego towarzystwa z wyższych sfer i był obiektem westchnień niejednej ślicznotki. I z ogromną dumą nosił na palcu wielki sygnet, nazywany pierścieniem spod Agincourt, który przypadł w udziale jego rodzinie w 1415 roku, kiedy Henryk V, który nosił ten klejnot podczas bitwy, podarował go przodkowi Jacka w uznaniu za jego wyjątkową odwagę.

To uprzywilejowane życie towarzyskie - i pierścień spod Agincourt - zostały odebrane Jackowi Lincolnowi, ponieważ sądy mylnie uznały, że to nie on jest dziedzicem rodzinnej fortuny. Prawo w całym swym majestacie wydało wyrok na korzyść jego kłamliwego kuzyna. Jackowi Lincolnowi nie zezwolono na złożenie odwołania; został bez grosza przy duszy; rozbitek życiowy, obrabowany z cennego dziedzictwa, które codziennie nosił na palcu od momentu uzyskania pełnoletniości.

Teraz pierścień spod Agincourt ozdabiał złodziejski palec jego kuzyna, a Jack nie był już ubrany podług najnowszej mody. Zamiast tego nosił skórzane spodnie i rozpiętą pod szyją koszulę, a na szyi inkaski naszyjnik z czystego złota. A kiedy rozpuścił sięgające mu do ramion jasne włosy, nie mógłby już mniej przypominać angielskiego dżentelmena, nawet gdyby się starał, a przecież dżentelmenem pozostał, i to na dodatek honorowym; zdecydowanie zbyt honorowym, by zgodzić się na opuszczenie chorego przyjaciela.

Feliks nadal przyglądał mu się bacznie.

- Czy gdybym miał się teraz dobrze, to wróciłbyś do Angli?

- To nie jest uczciwe pytanie i sam pan o tym wie.

- Uczciwe czy nie, znam teraz odpowiedź. A więc, Jack, jeżeli nie chcesz pojechać z dobrej woli, może pojedziesz, jeżeli będę cię błagał, byś oddał mi przysługę?

- Przysługę?

Feliks pokiwał głową.

- Chcę, byś pomógł mojej córce.

Jack spojrział na niego zdumiony.

- Nie wiedziałem, że pan ma córkę!

- Ona również o tym nie wie. Ma na imię Emily i mieszka w Fairfield, niedaleko Temford w Shropshire - odpowiedział Feliks z bladym uśmiechem i wyjął coś spod poduszki. Był to miniaturowy portrecik Emily, który Cora przysłała mu przed około dziesięciu laty. Namalował go Geoffrey.

Jack spojrział na śliczną twarzączkę i długie, złoto-brązowe loki, podwiązane wstążką tak, że kaskadą opadały na ramiona.

- Jest bardzo piękna.

- To prawda, a oczy, jak mi się zdaje, odziedziczyła po mnie. - Feliks popatrzył na przyjaciela. - Jack, obawiam się, że zawiniłem, bo wzięwszy do łóża żonę innego mężczyzny, cieszyłem się każdą rozkoszną spędzaną z nią sekundą. Matka Emily, Cora, jest czymś w rodzaju kuzynki, zbyt dalekiej, by zaistniały najmniejsze nawet problemy ze sprawą pokrewieństwa. To dobrze, bo tak czarującej osoby jak ona w życiu nie spotkałem. Wyszła za mąż za prostaka, który nie był jej godzien, i w swoim nieszczęściu, szukając pociechy, zwróciła się do mnie. A chociaż byłem o dobre pokolenie starszy, udzieliłem jej tej pociechy z wielkim zapalem. Wynikiem były narodziny Emily. Błagałem Corę, by wyjechała ze mną z Anglii, żebyśmy mogli zacząć nowe życie razem, ale ona uważała, że nie może tego zrobić ze względu na Emily.

- No cóż, wspinaczka po Andach nie jest życiem, jakie zalecałbym kobiecie i dziecku - zwrócił mu uwagę Jack, zwracając miniaturę, i poszedł nalać dwa kieliszki kukurydzianego trunku, znanego pod nazwą aguardiente.

- Może i nie. - Feliks poczuł, że w gardle go ściska na myśl o rodzinie, która powinna była być jego rodziną. Z radością przyjął podsuwany przez Jacka kieliszek. - Po moim wyjeździe widziałem Emily tylko raz, kiedy na bardzo krótki czas wróciłem do Anglii i udało mi się osobiście odwiedzić Fairfield Hall. Ma teraz własne dziecko, Petera. - Feliks przerwał, chcąc się opanować. - Z oczywistych powodów nigdy nie mogłem uznać jej za córkę ani jego za wnuka, ale śledziłem ich postępy dzięki listom Cory. Emily wierzy, że narodziła się z prawego łóża, a ze względu na jej reputację życzyliśmy sobie z Corą, by tak zostało.

- Potrafię to zrozumieć - powiedział Jack.

- Cora pisała do mnie zeszłej jesieni - ciągnął Feliks - ale list dotarł do mnie dopiero teraz, jako że najpierw skierowano go do Wenezueli, ponieważ to stamtąd wysyłałem jej ostatnią wiadomość. Jak się zdaje, z początkiem listopada małżonek Emily zginął, ścigając się z kimś na koniach, i zostawił żonę bardzo źle zabezpieczoną na przyszłość. Cora postąpiła zgodnie z naszą

umową sprzed wielu lat. Widzisz, powierzyłem pewną ilość pieniędzy... nie żaden majątek, ale wszystko co miałem... mojemu prawnikowi, z zaleceniem, by pieniądze zostały wykorzystane, jeżeli kiedykolwiek albo Cora, albo Emily znalazłyby się w potrzebie. No cóż, obydwie są teraz w potrzebie, ale kiedy Cora się do tego prawnika zwróciła, perfidny nikczemnik powiedział jej, że nic o tym nie wie.

- Należy zapewne założyć, że schował je do własnej kieszeni? - Jack oparł się o stół.

- Prawdopodobnie; właściwie nawet wolałbym, by tak było, ale tożsamość sąsiada Emily każe mi podejrzewać, że kryje się w tym coś więcej. Sąsiad ten nadmiernie się Emily interesuje, tak bardzo, że Cora zaczęła się niepokoić. Pisząc do mnie wyrażała silną obawę, że kiedy skończy się dwanaście miesięcy żałoby, braki finansowe rzucają Emily w jego ramiona. Sąsiad ten nazywa się sir Rafe Warrender.

- Warrender? - Jack wyprostował się gwałtownie.

- Tak. To nie żaden zbieg okoliczności, Jack, Warrender jest tym samym człowiekiem, którym nie bez powodu pogardzasz.

Jackowi żyłka zaczęła drgać na skroni, ponieważ Rafe Warrender był tym kuzynem, któremu udało się, za pomocą sfalszowanych dowodów, przekonać sądy, że to on, a nie Jack Lincoln, jest prawym dziedzicem rodzinnej fortuny.

Feliks przyglądał mu się bacznie.

- Warrender odniósł nad tobą zwycięstwo, ponieważ ma wpływy w wysokich kręgach. Obraca się wśród czołowych polityków i domyślam się, że zna niejednego wstydlawy sekret. Gdyby nie to, na pewno zakwestionowano by jego szalbierstwo z dokumentami w twojej sprawie.

- Niewielką pociechą jest dla mnie ta wiedza - odpowiedział sucho Jack.

- Rozumiem. Tak czy owak dowiedziałem się o Warrenderze od ciebie, a teraz po raz pierwszy usłyszałem o nim od Cory. Około pięć lat temu, tuż po tym, jak zwyciężył nad tobą w sądach, nabył on zamek Temford, który sąsiaduje z Fairfield Hall. Cora powiada, że jak tylko się tam pojawił, wyraźnie spodobała mu się Emily, ale ona była wierną i kochającą żoną. Teraz jest wdową, obciążoną długami i na dodatek zbiedniała. Cora przewiduje, że Warrender zaproponuje małżeństwo i w ten sposób nakłoni Emily, by wstąpiła w jego łóżko.

Jak to ty go kiedyś opisałeś? Jak jedwabisty wąż, pięknie ubarwiony, ale jadowity? Nie mogę znieść myśli, że taki człowiek poślubi moją córkę, moje jedyne dziecko... Jack, chcę byś wrócił do Anglii i powstrzymał go.

RS

Rozdział 4

- A w jaki sposób miałbym tego dokonać? - dopytywał się Jack cierpliwie. Feliks przymknął oczy i westchnął.

- Nie wiem tego, Jack, ale chcę, żebyś spróbował; a właściwie błagam cię o to. Jeżeli ja... my... nic nie zrobimy, to najprawdopodobniej Warrenderowi uda się nakłonić Emily do małżeństwa, zwłaszcza jeżeli znalazła się w tak rozpaczliwym położeniu finansowym.

- Ale jeżeli Cora jest do niego aż tak nieufnie nastawiona, z pewnością przekona Emily, by trzymała się z daleka od...

- Emily jest wdową i ma ogromne długi, a do tego dorastającego chłopca, na którego musi mieć wzgląd. Dla niej Warrender jest synonimem bezpieczeństwa, a nie głupoty.

- Czy mąż naprawdę zostawił ją w nędzy? - Na twarzy Jacka odmalowała się dezaprobata.

Feliks przytaknął.

- Zdaniem Cory, Geoffrey Fairfield był pełnym uroku utracjuszem, doświadczonym kochankiem i niezłym portrecistą, ale brak mu było zdrowego rozsądku i głowy do interesów. Cora wspomina o długach dochodzących do czterdziestu tysięcy gwinei.

- Czterdzieści tysięcy? Dobry Boże na niebiesiech...

- I teraz Emily musi walczyć o utrzymanie Fairfield Hall, troszczyć się o syna, a na dodatek zapewniać dach nad głową Córce, która, chociaż to niemal nie do wiary, po śmierci swego nędznika-męża została w chyba jeszcze gorszej niż sytuacji niż jej córka! Podsumowując, lękam się rozpaczliwie, że obawy Cory są uzasadnione i że jeżeli Warrender oświadczy się w odpowiednim momencie, to zostanie przyjęty.

- Wspominał pan wcześniej o swoim prawniku i chyba napomykał o jego związkach z Rafe'em.

- Tak. Widzisz, prawnikiem, którego przed trzydziestu laty tak fatalnie wybrałem, jest sir Quentin Brockhampton.

- Ależ on był adwokatem Rafe'a podczas mojego procesu! - wykrzyknął Jack.

- Teraz już to wiem, ale kiedy utrzymywałem z nim kontakty, sytuacja wyglądała inaczej. - Feliks odetchnął głęboko. - Widzisz, dowiedziałem się od ciebie, iż Brockhampton działa obecnie na rzecz Warrendera... a przynajmniej tak się sprawy miały pięć lat temu... i właśnie dlatego, jak tylko

dostałem ten ostatni list Cory, rozdzwoniły się we mnie wszystkie dzwonki alarmowe. Jack, bardzo się tym gryzę, że Brockhampton wyparł się wszelkiej wiedzy na temat pieniędzy, które mu powierzyłem. Gorzkie doświadczenia nauczyły cię, że Warrender chętnie nagina prawo, by otrzymać to, czego chce. Trochę to podejrzane, że mój mieszek zniknął w takiej akurat chwili, kiedy jego zniknięcie gwarantowało, iż zagrożenie Emily i Fairfield Hail nie minie. Pachnie mi to znową.

- Mnie chyba też. - Jack, poruszony, przeczesał palcami długie, jasne włosy. Od dawna starał się o swoim złodziejskim kuzynie Rafe'ie nie myśleć, próbował nie dopuścić, by gorzkie wspomnienia rzutowały na jego nastawienie do życia, ale wypowiedź Feliksa przypomniała mu o wszystkim. Wysączył kieliszek do dna i postawił go na stole. - A gdybym pojechał do Anglii, czego dokładnie pan się po mnie spodziewa?

- Na razie czas wciąż jest po naszej stronie, Jack, ale jeszcze trochę, a go zabraknie. Do listopada, kiedy skończy się żałoba Emily, mamy tylko nieco ponad pięć miesięcy. Podróż stąd do Anglii również trwa około pięciu miesięcy. Jeżeli zaokrętujesz się na „Stralsund”, będziesz mógł pojechać do Fairfield Hall i tam spróbować znaleźć jakiś sposób, by uratować ich wszystkich przed wierzycielami i Warrenderem. - Feliks wpatrywał się w Jacka, nie pozwalając mu odwrócić wzroku. - Jeżeli jesteś moim przyjacielem, nie odmówisz mi.

- Nie wyobrażam sobie, jak mógłbym ich uratować od rachunków na czterdzieści tysięcy gwinei! I czy nie przeoczył pan przypadkiem drobnego faktu, że Emily może nie życzyć sobie, by ją ratować przed Rafe'em? A może i pan, i Cora mylicie się i mój kuzyn nie ma żadnych zakusów na Emily?

Feliks położył sobie rękę na sercu.

- Wiem, że Cora się nie myli, Jack. Czuję to tutaj. - Przerwał, wciąż nie pozwalając Jackowi odwrócić wzroku. - Wiem również, że ty i Emily pasujecie do siebie.

Jack patrzył na niego szeroko otwartymi oczami.

- Co pan powiedział? - wykrztusił.

- Słyszałeś, mój przyjacielu. Jeżeli się postarasz, bez trudu podbijesz jej serce. Ożeń się z nią, Jack.

Wstrząśnięty do głębi Jack nie przestawał się wpatrywać w starca.

- Dech mi zaparło po tej pana wypowiedzi - odezwał się w końcu, potrząsając z niedowierzaniem głową. - Najpierw mówi mi pan o córce, o

której nigdy wcześniej słowem się pan nie zająknął, a potem całkiem niefrasobliwie dodaje pan, że chce, bym rozwiązał jej finansowe problemy i wziął ją za żonę!

Twarz Feliksa się zachmurzyła.

- Jack, żywię głębokie przekonanie, że Emily powinna zostać panią Lincoln. To przekonanie jest tak mocne, że od chwili, kiedy otrzymałem list Cory, nie pozwalała mi wieczorami zasnąć. Zmagałem się z demonami sumienia i teraz wiem, że się w tej sprawie nie mylę. Chcę, byś się moją córką zaopiekował, byś został jej ukochanym, mentorem Petera i opiekunem Cory. Muszę mieć pewność, że są bezpieczni, że wzięłeś ich pod swoje skrzydła. Czy nie potrafisz tego zrozumieć? Trzeba ich chronić przed Warrenderami tego świata, a tarczą masz być ty, chłopcze. - Znowu wyciągnął miniaturkę i wcisnął ją Jackowi do rąk. - Popatrz na nią, człowieku. Popatrz na nią! Czy możesz mi powiedzieć, że jej nie pokochasz?

Jack popatrzył na śliczną twarz na portreciku.

- Nie. Nie mogę również powiedzieć panu, że ją pokocham. Miłość nie przychodzi na zamówienie jak nowy kapelusz!

- Proszę tylko o jedno... nie, błagam cię, byś zrobił dla mnie przynajmniej tyle... byś pojechał do Fairfield Hall. Czy możesz mi to obiecać pod słowem? A jeżeli pojawi się miłość, a serce podpowiada mi, że tak się stanie, tym lepiej.

- Miłość w niczym nie pomoże, kiedy trzeba będzie zatroszczyć się długi. Biedny jestem wciąż jak mysz kościelna, tak samo jak wtedy, kiedy opuszczałem Anglię - przypomniał mu Jack.

- Wiem o tym, chłopcze, a mimo to proszę cię. Jack przyjrzał mu się bacznie.

- Czy jest coś jeszcze, o czym pan mi nie mówi?

- Nie. - Feliks przedstawiał sobą istne wcielenie niewinności.

- Szczwany czort z pana, Feliksie Reynolds.

- Wiem o tym, sir, wiem.

Jack uśmiechnął się z rezygnacją.

- Bardzo dobrze, obiecuję, że pojadę do Fairfield Hall i dołożę wszelkich starań, chociaż, prawdę rzekłszy, przewiduję, że nie na wiele się one zdadzą. Nie wiem również, pod jakim pretekstem miałbym się tam udać.

- To ostatnie jest proste. Napisałem do Cory i chcę, byś dostarczył jej list, podobnie jak to wcześniej zrobił tamten kapitan z Wenezueli. Nie, nie, zatrzymaj miniaturę, pragnę, byś ją miał. Patrz na nią, ilekroć zwątpisz w

celowość swoich działań. Razem z Cristovalem wypłyniecie w przyszłym tygodniu na „Stralsundzie”.

- On też jedzie? - Jack był zaskoczony.

- Tak. Już omówiłem z nim tę sprawę.

- Poruszając również pana życzenia dotyczące małżeństwa między Emily a mną? - Jack sam nie wiedział, czy ma się czuć oburzony, czy nie.

Feliks odchrząknął.

- Tak się złożyło.

- A naprawdę wysyła go pan ze mną po to, by dopilnował, żebym dotrzymał słowa?

- Absolutnie nie. Cristoval zawsze marzył o tym, by zobaczyć szeroki świat, ale nigdy nie miał śmiałości opuścić Peru. Jak może lepiej zrealizować swoje marzenia, niż płynąc z tobą do Anglii? Wątpię, czy w ogóle planuje wizytę w Fairfield Hall, zamierza raczej pozwiedzać kraj, zaczynając od Londynu. Słuchaj, Jack, będę całkowicie szczery. Nie ma najmniejszego sensu, żebyście ty czy Cristoval siedzieli teraz ze mną, bo z dnia na dzień będę coraz więcej zrzedził. - Feliks zamilkł na chwilę, oczekując na niezbyt grzeczny komentarz, ale nie usłyszał ani słowa, więc ciągnął dalej: - Został już wynajęty mulnik, który zabierze wszystkie bagaże do Callao. Nawiasem mówiąc, jak rozumiem, Manco również pojedzie z wami.

- Naprawdę? Jeżeli już nic innego, to na pewno będzie płoszył konie.

Jack wolał nie wyobrażać sobie, jakie poruszenie wzbudzi w Anglii indiański służący Cristovala! Manco grywał na flecie, kiedy tylko przyszła mu na to ochota, tańczył, kiedy uznawał, że bogowie tego pragną, a codziennie o świcie i o zmierzchu głośno śpiewał na chwałę Wirakoczy, najwyższego boga słońca. Był bardzo dumny ze swego inkaskiego pochodzenia, żył zgodnie z prawami Inków i uprawiał inkaską magię, w czym naprawdę był bardzo biegły. Gdyby uznał, że trzeba komuś wymierzyć sprawiedliwość w trybie doraźnym, nie zawahałby się tego uczynić. Biada każdemu, kto go rozgniewał, bo bardzo chętnie i bez najmniejszych oporów posługiwał się łukiem i strzałą, dmuchawką, procą... oraz czarami. Od czasu do czasu pozwalał sobie również na inkaską przyjemność żucia koki, która dawała mu niemal niewyczerpaną energię i budziła chęć do psot. Najbardziej go bawiło, jeżeli udało mu się ukradkiem dosypać komuś tego zdradzieckiego ziela do jedzenia, tylko po to, by zobaczyć, co się stanie. Nie było najmniejszych wątpliwości, że wszystkie te jego cechy, w połączeniu z

czerwono-zółtym ponczo i jaskrawą, wzorzystą czapą ze spiczastą główką i nausznikami, spowodują, iż będzie sensacją wśród Brytyjczyków!

- Będzie płoszył konie? - stęknął Feliks. - A niech tam, to takie niemądre stworzenia. Zamienię każdego z nich na lamę albo muła.

- Niestety w Anglii niewiele jest lam.

Feliks przyglądał mu się, jakby nagle znowu ogarnął go niepokój.

- Tak więc jesteśmy już umówieni, Jack?

- Tak. Dałem panu słowo i go dotrzymam. Chory uśmiechnął się i wyciągnął spod poduszki coś jeszcze. Był to mieszek, który wcisnął Jackowi w dłoń.

- Weź to. Nie ma w nim klejnotów koronnych, ale wedle mojego szacunku monety, które są w środku, mają wartość około pięciuset funtów. Wystarczy to, by zaopatrzyć cię w odpowiednią garderobę, kiedy przy-będziesz do Anglii.

- Feliksie, nie ma potrzeby...

- Nie? A mnie się zdawało, że ktoś mówił coś o myszach kościelnych.

- Mówiłem.

- W porządku, więc weź ten mieszek. Tak się składa, że wiem, iż nie posiadasz obecnie żadnych modnych strojów, tylko rzeczy, które nadają się wyłącznie do badania zabitych deskami zakątków Peru! A jeżeli masz być ozdobą wielkiego salonu w Fairfield Hall, nie powinieneś wyglądać tak, jakbyś właśnie wywędrował z dżungli albo zszedł z gór.

Jack spojrzał mu prosto w oczy.

- Co raz jeszcze każe mi poruszyć oczywistą kwestię. Opłakana sytuacja finansowa, w jakiej się znalazłem, raczej nie predysponuje mnie na męża dla Emily. Honor nie pozwala mi się o nią starać, Feliksie. Geoffrey Fairfield zostawi! ją w nędzy, a ja nie mogę tego stanu rzeczy naprawić, tak więc nie przysłużyłbym jej się, gdybym...

- Zaufaj losowi, Jack - przerwał mu Feliks.

W oczach starego człowieka było coś, co nie pozwoliło Jackowi na dalszą dyskusję, więc przyjął mieszek.

- W porządku. Wezmę mieszek, ale tylko po to, by oddać go Emily albo córce. Powiem im, że to prezent od pana. Mam swoją dumę, Feliksie, poza tym starczy mi jeszcze pieniędzy, by samemu sprawić sobie ubrania, kiedy dojadę do Anglii. Pięćset funtów to kropla w morzu czterdziestu tysięcy, ale pomoże zastawić pożywieniem stoły w Fairfield Hall.

Późnym wieczorem, kiedy Feliks zasnął, Jack założył ciepłe, brązowe ponczo, zrobione z lamiej wełny i tkane we wzory z węży i kondorów, a potem wyszedł do ogrodu na tyłach hacjendy. Powietrze było bardzo zimne, ale czyste, garńa chwilowo się podniosła, a kiedy księżyc na krótko wysunął się zza chmur, ośnieżone szczyty Andów ukazały się w całej swojej wspaniałości.

Manco rozsiadł się na ziemi przy fontannie i wygrywał łagodny inkaski lament na drewnianym flecie. Na ziemi obok niego leżał łuk, kołczan i pojemny mieszek z wełny wigonii. Może tylko jeden Wirakocza potrafiłby powiedzieć, co się mieściło w tym mieszk, wypchanym i ciężkim, bez którego Indianin nigdzie się nie ruszał. Jack wiedział na pewno tylko tyle, że Manco nosi w nim procę i kamienie, ale oprócz tego znajdowało się tam wiele innych tajemniczych przedmiotów, których Indianin używał przy inkaskich czarach. Pozostała broń, nóż oraz dmuchawkę Manco zawsze nosił za pasem.

Indianin był niskim, krzepkim, barczystym człowiekiem po pięćdziesiątce. Skórę miał brązową, a twarz szeroką i bezwłosą. On również założył czerwono-żółte ponczo, bo noc była chłodna. Płatki małżowin obciągały mu w dół tarczki ze złota, wyglądające spod nauszników dzierganej czapki, włosy zaczesywał do przodu, z grzywką na czole. Miał ciemne, osadzone głęboko oczy i wystający, zakrzywiony nos. Grał z beznamietnym wyrazem twarzy, ale melodia pełna była emocji.

Don Cristoval de Soto opierał się o pień wieczniezielonego drzewa molle o pięknej, kulistej koronie i patrzył w stronę odległych gór, ale wyprostował się na widok zbliżającego się Jacka.

- Ach, mój przyjacielu, tobie też trzeba nocnego powietrza? - Cristoval był szczupłym, mrocznie przystojnym mężczyzną, mniej więcej w tym samym wieku co Manco; grzywa stalowosiwych włosów zaczynała mu się nisko na czole i odczesana była do tyłu. Jego brązowe oczy spoglądały bystro i wyraźnie widać było po nim hiszpańskie pochodzenie. W przeciwieństwie do Jacka ubierał się w stroje modne i europejskie, podobnie jak cała reszta wyższych sfer w Limie.

Jack przyłączył się do niego pod drzewem i razem przysłuchiwali się muzyce Manco. Kiedy melodia w końcu ucichła, Indianin spojrział dostojnie na Cristovala.

- Ja koniecznie jadę do Anglii, capac Cristoval? - Capac albo lord, w taki sposób zwracał się zarówno do swego pana, jak i do obydwóch Anglików.

- Tak.

- Pizarrski dzisiaj dzień - oznajmił Manco. Pizarro był znienawidzonym przez Indianina, szesnastowiecznym hiszpańskim konkwistadorem, który zapoczątkował upadek narodu Inków, i dlatego jego nazwisko stało się ulubioną przez Manco obelgą. Indianin miał nadzieję, że panowie nie ugną się pod presją Feliksa i nie wyjadą do Anglii, którego to kraju Manco wcale nie życzył sobie oglądać. Fakt, że Jack ustąpił, oznaczał, że nie da się tego dnia określić inaczej niż „pizarrski”.

Cristoval uśmiechnął się i pokiwał głową.

- Tak, dla ciebie dzisiejszy dzień naprawdę jest pizarrski, Manco.

- Dla capac Jacka też. - Indianin niespodziewanie szeroko się uśmiechnął i spod oka chytrze zerknął na Lincolna. - Capac jedzie do Anglii, żeby palla Emily została jego żoną? - Palla znaczy pani.

Jack niezbyt był zadowolony, że Manco również wtajemniczono w plany Feliksa.

- Tak, chociaż to wyłącznie moja sprawa.

- Manco nikt nie powiedział, Manco po prostu wie - wyjaśnił Indianin, a potem znowu popatrzył na Lincolna. - Anglia ma lamy, capac Jack?

- Obawiam się, że nie.

- Hmm. Pizarrski kraj.

- Niewykluczone, że masz rację.

- Hmm. - Manco już miał podjąć grę na flecie, kiedy coś odwróciło jego uwagę, jakiś drobny, ukradkowy ruch na szczycie niewysokiego muru. To był szczur. Indianin sięgnął po swój mieszek, pogrzebał w środku, potem strzelił palcami w stronę szczura, który oddalony był o całe trzydzieści stóp. Szczur pisnął, skoczył w powietrze, a potem zsunął się na drugą stronę muru.

Jack patrzył na to zdumiony, a potem odwrócił się do Indianina.

- Jak to zrobiłeś? - zapytał, bo już nie po raz pierwszy był świadkiem takich cudów.

Manco tajemniczo się uśmiechnął.

- Inkaska magia. Manco w łaskach u Wirakoczy - powiedział, a potem podniósł flet do ust.

Kiedy nad ogrodem popłynęły znowu fale muzyki, Jack spojrzał pytająco na Cristovala, który wzruszył ramionami.

- Nie pytaj mnie, przyjacielu, bo ja również nie wiem.

Rozdział 5

Tuż przed świtem we czwartek 31 października, w Halloween, na pięć dni przed planowanymi zaręczynami Emily, „Stralsund” przybił do brzegu w Kanale Bristolskim. Pogoda była piękna, chociaż chłodna, wiała rześka bryza, wiatr wydymał żagle i mierzwił białe grzywy na falach. Mewy krążyły i krzyczały, a Jack, Cristoval i Manco stali na pokładzie przy sterburcie i przyglądali się, jak przed ich oczami przesuwa się brzeg północnego Somerset. Minęło pięć miesięcy, od kiedy statek wyruszył z Callao, i Peru wydawało się tak dalekie, że równie dobrze mogłoby znajdować się na księżycu.

Podczas spędzonych na wygnaniu lat Jack niemal zapomniał o toczącej się w Europie wojnie, ale jak tylko „Stralsund” znalazł się na Atlantyku, ciągle im coś o niej przypominało. Pod koniec podróży szwedzki statek eskortowała fregata Królewskiej Floty i wdzięczni byli jej za to, bo na horyzoncie pokazał się francuski okręt wojenny. Ale Francuzi nie zbliżyli się i nie padł ani jeden strzał.

Myśli Jacka zwróciły się ku obietnicy, którą złożył Feliksowi. Jakim cudem miał ją spełnić? Mógł dać słowo, że dołoży wszelkich starań, by rozwiązać finansowe trudności Fairfield Hall i równocześnie uratować Emily Fairfield przez ewentualnymi zakusami Rafe'a Warrendera, ale jak osiągnąć ten cel?

Nie miał nic oprócz listu Feliksa oraz mieszka z pięciuset funtami, który zamierzał dać Córce Preston. A gdyby damy przyjęły jedno i drugie z wdzięcznością, a jemu natychmiast - chociaż uprzejmie - pokazały drzwi? Co wtedy zrobić? Jeżeli ma cokolwiek osiągnąć, musi być pod ręką, mieszkać gdzieś blisko, najlepiej w samym Fairfield Hall. Bo jak inaczej, na Boga, miałby się dowiedzieć, co się tam dzieje, i podjąć właściwe kroki? A jest jeszcze jeden aspekt sprawy, nad którym musi się poważnie zastanowić, to znaczy możliwość ponownego stanięcia twarzą w twarz z Rafe'em.

- Pizarrski kraj - odezwał się nagle Manco, twarz i głos miał całkiem bez wyrazu. Gdyby go ktoś pytał, już był Anglią poważnie rozczarowany. Nigdzie nie widział żadnych porządných gór, ani jednego zwieńczonego śniegiem szczytu, żadnego ginącego w chmurach wierzchołka, i wcale mu się to nie podobało. Naciągnął głębiej czapkę za nauszniki i otulił się szczelniej ponczem.

Pod ponczem Indianin nosił brązową tunikę, bogato haftowaną w inkaskie symbole, a jego luźne, oplatane sznurem, ciemnoniebieskie spodnie sięgały kostek. Przy pasie wisiał mu wypchany worek oraz niewielki arsenał broni. W ramionach ścisną plecione z sitowia pudełko, zawierające pewne inkaskie leki i przeróżne przyprawy oraz zioła, dzięki którym jedzenie zyskiwało możliwy (według niego) do przyjęcia smak. Jack żywił niezbyt miłe przekonanie, że znajduje się tam również zapas koki. Zdarzyło się w czasie podróży, że Manco dosypał jej pewnemu współpasażerowi, flamandzkiemu pastorowi, a ten natychmiast przeistoczył się z religijnego bigota w miłośnika sprośnych piosenek, które wy-ryczał ze szczytu głównego masztu podczas burzy. Indianin popatrzył z nadzieją na Cristovala.

- Wracamy niedługo do domu, capac.

Cristoval uśmiechnął spod grzywy siwych włosów, które rozwiewał wiatr. Miał na sobie grubą pelerynę, a pod spodem szkarłatny surdut i jasnobrązowe spodnie. Kiedy będą wysiadali, na pewno nie wywoła swym przyzwoitym strojem wielkiego poruszenia, w przeciwieństwie do Manco. Starannie zawiązany fular trzepotał wokół jego szyi; atlantyckie wichry dawno już przekonały Cristovala, że nie jest rzeczą mądrą nosić cylinder na pokładzie statku.

- Wrócimy jak przyjdzie pora, Manco. Pamiętaj tylko, że są rzeczy, których w Anglii po prostu się nie robi.

- Rzeczy, capac?

- Nie wolno ci strzelać z łuku do ptaków ani do niczego innego, ani powalać jeźdźców z procy.

Manco popatrzył spode łba, ale nie powiedział nic. Cristoval odwoływał się do mocno niepokojącego incydentu, podczas którego pewien albatros co prawda umknął cały i zdrowy, ale kapitan Gustavus ze „Stral-sundu” stracił swój trójgraniasty kapelusz! Los się do nich uśmiechnął, bo Gustavus miał poczucie humoru, inaczej Manco zostałby wysadzony na ląd w najbliższym porcie.

- Nie wolno ci też - ciągnął Cristoval - wyciągać noża, by nim grozić komuś, kto cię denerwuje, ani szturchać dam, które przypadkiem poruszają się wolniej, niż ty byś sobie życzył.

Indianin uniósł jedną brew do góry.

- Dama ślamazara.

Jack uśmiechnął się szeroko.

- Damom wolno się poruszać niespiesznie, Manco, zwłaszcza kiedy przechodzą przez ciasny luk, taki jak tamten. Ale obojętne co robią, nie wolno ci ich szturchać w tylną część ciała.

- Hmm.

Jack westchnął.

- A jak już rozmawiamy o takich sprawach, to Brytyjczycy nie jadają świnek morskich.

- Nie?

- Nie. A jeżeli przyłapię cię na tym, że częstujesz całkiem niewłaściwe osoby szczyptą koki, to skonfiskuję cały zapas. Pobożni flamandzcy pastorowie niewątpliwie należą do grona niewłaściwych osób. Chcę, żebyś dał mi słowo, że nikogo nie będziesz koką częstował, czy to jasne?

Manco miał taką minę, jakby ktoś właśnie od niego zażądał, żeby napił się wody prosto z rowu, ale skinął głową.

- Manco daje słowo.

- Dobrze.

Indianin znowu spođe łba popatrzył na wybrzeże.

Uwaga Jacka również się na nim skupiła. Patrzył na Anglię z mieszanymi uczuciami, bo był tu teraz kimś obcym. Zjaśniałe od słońca włosy trzepotały mu wokół ramion, ponczo trzaskało na wietrze równie gwałtownie jak żagle nad ich głowami, złoty naszyjnik połyskiwał na opalonej szyi. Angielski dżentelmen? Kto by w to uwierzył, patrząc na niego w tej chwili? Z pewnością nie Emily Fairfield, bo z wyglądu bardziej przypominał pirata, pływającego po szerokich morzach niż gościa, popijającego herbatkę w eleganckiej bawialni! Ale zanim spotka się z nią po raz pierwszy, zamierzał dokonać niezbędnych zmian. Będzie na sobie miał eleganckie ubranie, włosy przytnie zgodnie z najnowszą modą i zaprezentuje sobą istne wcielenie wszystkich pożądaných w wyższych kręgach społecznych cech.

Owinał się mocniej ponczem, bo wiatr był porywisty i przelatując z wrzaskiem nad pokładem, unosił w powietrze pianę znad fal; poczuł, że jakoś mu się robi lżej na sercu. Wrócił domu, było to miłe uczucie.

Kiedy „Stralsund” przemierzał ostatnie już mile, dzielące go od Bristolu, Emily siedziała sama w Fairfield Hall i czekała na wizytę sir Rafe'a Warrendera. Bezchmurne niebo nad Shropshire miało ten sam odcień błękitu, co nad Kanałem Bristolskim, ale pogoda była całkowicie bezwietrzna. Zdarza się czasami jesienią taki idealny dzień, niemal ponadczasowy w swojej łagodności, kiedy w sadach wiszą na drzewach

ostatnie z dojrzałych jabłek, okrągłe i różowe, a dym z kominów unosi się pionowo w górę.

Sir Rafe powrócił do zamku Temford poprzedniego dnia i przysłał wiadomość, żeby spodziewała się go tego ranka. Jak tylko Cora i Peter dowiedzieli się, że sąsiad ma ich odwiedzić, oboje zaplanowali, że znajdą się gdzie indziej. Peter od razu po śniadaniu wyszedł powłóczyć się po parku, jak to miał ostatnio w zwyczaju, a Cora pojechała kolaską do sklepów na temfordzkim rynku, żeby poszukać nowego obszycia do wieczorowej sukni, jako że listopadowa feta miała się odbyć już za niecały tydzień.

Emily przed kilkoma miesiącami odebrała Petera z Harrow; chłopiec nie krył, że ma jej to za złe i że się nudzi. Zrobił się markotny i trudny, zupełnie do siebie niepodobny, a wolny czas spędzał przede wszystkim na podpatrywaniu ludzi. Przypominał tropiącego ofiarę drapieżnika i wszyscy czuli się tą jego działalnością zagrożeni. Do Fairfield Hall przytykał hortus conclusus, założony w średniowieczu, okolony murem ogród tajemny. Bardzo to było irytujące, kiedy właśnie tam, gdzie tak miłe było uczucie przytulności i odosobnienia, zauważała jakąś postać, która ukradkiem przemykała się jej za plecami i chowała za krzewami i drzewami! Albo kiedy, usiadłszy przy biurku, by ułożyć błagalny list do wierzyciela, nagle uświadamiała sobie, że Peter na paluszkach wślizgnął się do pokoju, by ukryć się za zasłoną.

Wszystko to jakby sprzysięgło się, by przekonać matkę chłopca, że małżeństwo z sir Rafe'em jest jej jedynym wyjściem. Nie tylko musiała zwrócić ciężącą na niej ogromną górę długów, ale widziała, że Peter potrzebuje stanowczego wpływu ojca. Nie miała powodów wierzyć, że matka słusznie wyrobiła sobie tak złą opinię o sir Rafe'ie. W końcu to nie przestępstwo - pożądać żony innego mężczyzny; przestępstwem nie jest również zapraszanie tego mężczyzny, by brał udział w karcianych przyjęciach. Ani wyzwanie go na konny wyścig.

Po majowej konfrontacji z matką Emily przez pięć miesięcy się wahała. Niekiedy wydawało jej się, że niezależnie od tego, co się wydarzy, pozostanie wdową, że będzie się starała zachować wszystko tak, jak było za życia Geoffreya, i tego się będzie trzymała. Ale niekiedy przyszłość tak bardzo ją przerażała i tak trudno przychodziło jej podejmować decyzje, że kilka razy bliska była napisania do sir Rafe'a do Londynu, iż bez dalszych ceregieli przyjmuje jego oświadczenia.

Teraz wahanie się skończyło. Codzienny widok naburmuszonego, pełnego urazy Petera znakomicie pomógł jej się skoncentrować i zmusił do spojrzenia prawdzie w oczy: sir Rafe stanowił ratunek nie tylko dla niej, ale również dla jej syna. Egzystencja Petera musi znowu stać się bezpieczna i stabilna; chłopiec potrzebuje powrotu do Harrow, do swoich wielu tamtejszych przyjaciół oraz dawnego sposobu życia. A jedyny sposób, w jaki jego pełna niepokoju matka mogła mu to zapewnić, zasadzał się na zaślubieniu sir Rafe'a.

Emily czekała podenerwowana na obiecaną wizytę, a minuty wlokły się nieprawdopodobnie powoli. Poszła więc na górę, do długiej galerii na najwyższym piętrze, żeby wypatrywać przybycia sir Rafe'a. Po raz pierwszy od niemal dokładnie roku miała na sobie kolorową suknię, wrzosową. Mówiąc ściśle, do końca dwunastomiesięcznego okresu żałoby brakowało jeszcze jednego dnia, ale Emily postanowiła, że na to spotkanie nie będzie wkładała niczego w przygaszonym kolorze. Z pewnością byłoby hipokryzją przywdziewać nawet połowiczną żałobę, jeżeli rozmowa miała obracać wokół podjętego przez nią postanowienia, by ponownie wyjść za mąż. Mimo to czuła się nieswojo, jakby jakoś zawiodła Geoffreya albo nawet zaczęła wyrzucać go z pamięci.

Wybrana suknia miała trzy lata i wykończona była trenem, w tej chwili jeszcze bardziej niemodnym niż w maju, kiedy prośba matki o nowe kreacje od londyńskiej couturière doprowadziła sprawy do punktu kulminacyjnego. Wrzosową toaletę uszyto z pięknie tkanej wełenki, miała długie rękawy i zabudowana była wysoko pod szyją. Delikatny kolor użyczał policzkom Emily pozorów rumieńca, jakby nie mogła się już doczekać na coraz bliższe spotkanie. Ale ona wcale nie niecierpliwiła się, tylko z rezygnacją przyjęła jedyne rozwiązanie swoich problemów.

Nie mogąc sobie znaleźć miejsca, spacerowała tam i z powrotem po nierównej, drewnianej podłodze galerii i marzyła o tym, żeby mieć już za sobą ten dzień. Za nią włókł się brązowo-biały szal z kaszmiru. Po okrągłym roku w czerniach i szarościach kolor sukni ciągle narzucał się jej myślom. Czy nie powinna jednak przebrać się w coś bardziej powściągliwego? Może w tę z oliwkowego muślinu? Och, sama nie wiedziała już, co ma zrobić... Dlaczego sir Rafe'a jeszcze nie ma, zastanawiała się. Może w ostatniej chwili zmienił decyzję? Może poznał kogoś bardziej godnego pożądania, ma inną narzeczoną, która przyniesie mu nie tylko siebie, ale również majątek. Wątpliwości nękały Emily jedna po drugiej, a z każdą jej żołądek kurczył się

coraz bardziej. Zrobiło jej się zimno, zaczynała lekko podzwaniać zębami. Była tak zdenerwowana, że czuła się całkiem chora!

Galeria miała siedemdziesiąt pięć stóp długości i zajmowała całe zachodnie skrzydło trzeciego piętra. U góry nie było sufitu, tylko grube belki i kratownice dachu. Okna zajmowały wszystkie ściany poza wschodnią i słońce świeciło tam przez niemal cały dzień. Przy tak dobrym oświetleniu była wymarzoną miejscem na pracownię malarską Geoffreya.

Jego rzeźby leżały tak, jak je zostawił tamtego dnia, kiedy zginął. Jutro minie rok, dumiała, a przecież wydaje się to tak dawno. Farby, pędzle, szmatki, stosy płócien -wszystko robiło takie wrażenie, jakby tylko na moment się wymknął i miał lada chwila wrócić. I tak przecież było: miał zamiar wrócić szybko tamtego pierwszego listopada, wyszedł tylko dlatego, że założyli się z sir Rafe'em, iż zamienią się końmi i będą się ścigać do starej, stojącej na granicy ziem Fairfield Hall, nieużywanej stróżówki i z powrotem. Ale jeśli chodzi o umiejętności jeździeckie, Geoffrey był co najwyżej średni, a nad czystej krwi karosem sir Rafe'a z trudem dawało się zapanować.

Emily wyprostowała się i głęboko zaczerpnęła powietrza. Nie chciała myśleć o tym wyścigu, nie teraz, kiedy miała oddać rękę właścicielowi czarnego konia. Sir Rafe nie ponosi winy za śmierć Geoffreya; nie widział nawet samego wypadku, bo stracił jej męża z oczu w przygranicznym lasku. Dojechał do starej stróżówki, nie znalazł śladu po rywalu i wrócił do Fairfield Hall, sądząc, że Geoffrey go prześcignął. Później od zmysłów odchodził z rozpaczą, mówiąc, że nigdy nie powinien był zawierać takiego zakładu. Ale nie powinien był tego robić również Geoffrey, którego trudno byłoby nazwać chociażby kompetentnym jeźdźcem.

Dreńczona niespodziewanym uczuciem braku lojalności Emily rozejrzała się po galerii. Próbkami prac Geoffreya zdobiły całe pokryte boazerią ściany, miejsce w miejsce, a zwłaszcza pozbawioną okien ścianę wschodnią, gdzie wisiały portrety Emily, jej matki, Petera i nawet podobizny kilku służących. Był tam również wspaniały autoportret samego Geoffreya, który wydawał się wodzić za nią oczami od chwili, kiedy weszła na galerię.

Podeszła bliżej, by mu się przyjrzeć.

- Och, Geoffreju, tak mi ciebie brak - szepnęła, patrząc na wrażliwą, niemal piękną twarz męża.

W żyłach Fairfieldów płynęła francuska krew; kiedyś nazywali się Beauchamps. U Geoffreya galijskie cechy rodzinne wybiły się chyba na plan

pierwszy. Był niezrównany, istne ciemnookie, ciemnowłose uosobienie francuskiego romansu, niekiedy melancholijny, niekiedy radosny, zawsze kochający. Potrafił pieścić ją jednym spojrzeniem, podniecić szeptem, doprowadzić na skraj ekstazy jednym pocałunkiem. I więcej miał namiętności w czubkach palców niż sir Rafe Warrender prawdopodobnie w całym swoim ciele. Nie było dnia, żeby nie tęskniła za Geoffreyem; a noce okazały się tak puste i samotne, że kiedyś nie potrafiłaby sobie nawet czegoś takiego wyobrazić. I będzie wciąż za nim tęskniła, nawet jeżeli poślubi sir Rafe'a, którego niedokończona podobizna nadal stała na sztalugach na drugim końcu galerii, gdzie wielkie, wychodzące na południe okno dawało zawsze Geoffreyowi najlepsze światło.

Emily niechętnie przeszła przez całą galerię, by spojrzeć na ostatnią pracę męża. Sir Rafe spoglądał z płótna wyniośle, jakby żądał, by porównała go z mężczyzną, którego straciła. Ale za bardzo się różnili, zarówno pod względem charakteru, jak i wyglądu. Bacznie przyjrzała się sir Rafe'owi. Geoffrey niemal skończył już malować jego głowę, ale reszta była tylko szkicem w ołówku, równocześnie niedbałym i szczegółowym. Portretowany miał owalną twarz i regularne rysy. A przecież oblicze to, o szerokich, pięknie zarysowanych ustach i jasnoniebieskich oczach, które spoglądały niemal przebiegle spod ciężkich powiek, wydawało się dziwnie pozbawione wyrazu. Włosy były jasnokasztanowe, rzędzące nieco na skroniach, a chociaż sir Rafe przekroczył już czterdziestkę, figurę miał nadal szczupłą, na razie bez śladu otyłości w pasie.

Geoffrey wyobraził go stojącego przy fotelu, który nadal znajdował się w rogu galerii. Pięknie zarysowana dłoń spoczywała na złotym hafcie obicia - tylko że ona tam nie spoczywała; zaciskała się na bogatym materiale, jakby ogłaszając, że bierze w posiadanie cały, do ostatniej nitki. Geoffrey dobrze to uchwycił, bo sir Rafe do wszystkiego podchodził w taki zaborczy sposób. Wkrótce i ją to spotka. Jak się poczuje, kiedy weźmie ją taki mężczyzna? Czy wbrew wszystkim opowieściom mamy liczne doświadczenia zrobiły z niego zręcznego kochanka? Czy może akt miłosny w jego wykonaniu będzie czymś zdawkowym, przypominającym sprawne złączenie jednego z jego ogierów z klaczą? I czy ma to jakiegokolwiek znaczenie? Po co zajmować się takimi sprawami, skoro nie angażuje serca w ten związek? Wykorzystuje sir Rafe'a jako środek prowadzący do celu, czy więc będzie mogła z czystym sumieniem narzekać, jeżeli on wykorzysta ją w ten sam sposób?

Rozdział 6

Emily czekała na sir Rafe'a, udręczona zdenerwowaniem i pytaniami, na które nie było odpowiedzi, a tymczasem jej trzynastoletni syn, Peter, leżał leniwie na gałęzi, zwieszającej się na jeziorkiem w lesie, który porastał północny skraj parku. W rękę trzymał linkę od wędki. Jej drugi koniec zanurzał się w wodzie. Szpaki śpiewały przenikliwie w koronach drzew, gardłowe głosy bażantów dochodziły gdzieś z jesiennych paproci, porastających niemal całą polankę. Lustrzana powierzchnia jeziorka upstrzona była żółtymi, czerwonymi, bursztynowymi i brązowymi liśćmi. Od czasu do czasu chłopiec widział ryby, przemykające w zielonej głębinie niczym srebrne iskry.

Powietrze w lesie pachniało jesienią, taką dziwnie orzeźwiającą mieszaniną zapachu więdnących roślin i dymu z płonących w ogrodach ognisk, a tym przypadku jednego ogniska, tego przy stróżówce, stojącej o kilkaset jardów od drogi z Temfore do Walii. Tuż za drogą zaczynał się przyzamkowy majątek sir Rafe'a, a wjeżdżało się tam wprost z rynku miejskiego Temford przez zdobne herbami bramy.

Syn Emily przypominał bardzo swego ojca, miał te same ciemne włosy i raczej francuskie rysy, ale jego oczy były orzechowe jak u matki, jak u Feliksa Reynoldsa... Peter nie był wysoki ani mocno zbudowany, ale z jego ładnej, chłopięcej twarzy można było wyczytać, że kiedyś stanie się przystojnym mężczyzną. Miał na sobie krótką, brązową kurtkę, beżowe spodnie i wysokie buty. Buty te lśniły czystością, kiedy wychodził z domu, ale teraz były mokre, zabłocone i bardzo poobijane.

Peter nie potrafił zapomnieć o tym, jaki jest niewysoki i drobny i że brak mu jakichkolwiek imponujących osiągnięć w sprawach cielesnych. Umysł miał bardzo bystry i lotny, ale kiedy trzeba było biegać, jeździć konno czy robić coś, co wymagało siły i wytrzymałości, nie spisywał się najlepiej. Żałował, że nie przypomina bardziej syna stróża, krępego Archie'ego Bradwella, który potrafił biegać jak zając, jeździć jak kozak i podnosić ciężary, które Peterowi Fairfieldowi z trudem udawało się przesunąć o cal. Archie był również świetnym rybakiem. Gdyby to on leżał w tej chwili na gałęzi, miałyby już worek pełen tłustych ryb. A worek Petera był całkiem pusty. Zawsze był pusty. Gdyby obydwaj znaleźli się na bezludnej wyspie, bez dwóch zdań przeżyłby Archie Bradwell, nie Peter Fairfield. Jaki sens

miało płynne opanowanie łaciny, jeżeli będzie musiał umrzeć z głodu, bo nie umie łapać ryb!

Nie dalej jak wczoraj doszło znowu do upokarzającego spotkania z synem stróża. Stało się to w wąskiej dolince przy bystrzu, gdzie rzeka Teme, która płynęła przez majątek Fairfieldów, rwała między kamieniami. Peter przechodził ostrożnie z jednego głazu na drugi, ale stracił równowagę i wpadł do wody. Nie wiedział, że Archie przygląda mu się z drugiego brzegu, dopóki nie usłyszał, jak ryczy ze śmiechu, patrząc, jak panicz wypełza z wody przy mostku dla koni jucznych, gdzie go zniósł nurt. Peter czuł się tak zażenowany, że biegł całą drogę do domu. Archie'e'go Bradwella nie znosił najbardziej ze wszystkich i gdyby choć raz udało się mu go pokonać, poczułby się naprawdę bardzo szczęśliwy!

W tej akurat chwili Peter za bardzo był głodny, by myśleć o swoim rywalu. A do zjedzenia miał tylko jedno jedyne jabłko, które przed półgodziną ukradł z ogrodu przy stróżówce. Tak naprawdę zjadłby z apetytem przypieczoną bułeczkę z rodzynkami, a wiedział, że dostałby ją, gdyby wrócił do Fairfield Hall, ale nie dałby się tam zaciągnąć nawet dzikim koniom, dopóki sir Rafe Warrender nie zakończy swojej wizyty. Tak więc jabłko musi mu wystarczyć. Miał tylko nadzieję, że okaże się dobre, tyle było kłopotów, żeby je ukraść!

Musiał przeleźć przez otaczający ogród mur w miejscu, w którym widać go było ze stróżówki, a ten wściekły kundel Bradwella, mieszaniec charta z owczarkiem szkockim, zauważył go w chwili, kiedy chłopiec już miał się wymknąć. Paskudnemu psisku udało się podskoczyć i zatopić zęby w bucie Petera; ścisnął but tak kurczowo, że minęła co najmniej minuta, zanim chłopcu udało się kundla strząsnąć i bezpiecznie opaść na drugą stronę muru. Niestety, zębiska przebiły skórę i kiedy Peter uciekał przez podmokłe tereny między ogrodem stróżówki a skrajem lasów, błotnista woda obficie zmoczyła mu prawą stopę. Teraz przesiąknięta pończocha była zimna, a cała stopa czuła się okropnie. Jakby tego jeszcze było mało, Bradwell przyłapał go na kradzieży, co znaczyło, że o złych uczynkach panicza zostanie powiadomiona mama albo może babcia. Znowu dostanie reprimendę tak samo jak wczoraj; i za co, przecież tylko zakradł się za plecy babci w chwili, kiedy akurat postanowiła sprawdzić, czy podwiązka dobrze się trzyma. To nie jego wina, że uniosła spódnicę i pokazała górę pończochy! I nie jego wina, że ludzie są tacy głupi i mają mu za złe, jak ich podpatruje.

Peter westchnął i usadowił się trochę wygodniej. Na jezioro spadło jeszcze więcej liści, lądowały bezgłośnie i tworzyły delikatne, współśrodkowe kola na wodzie. Jakaś ryba plusnęła, zakłócając wzór, a potem pomknęła dalej, zupełnie jakby się z nim drażniła. Peter poczuł się urażony. Gdyby ryby potrafiły się śmiać, ta na pewno zwijałaby się ze śmiechu.

Wyjął ukradzione jabłko z kieszeni, wypolerował o rękaw i zaczął jeść. Przykro mu było, że nie może sobie znaleźć miejsca, że tak ma wszystkiego dosyć i że przez cały czas jest w paskudnym humorze. Wiedział, że martwi tym matkę, ale po prostu nie mógł nic na to poradzić. W szkole wchłaniał wiedzę na lekcjach o antyku i geografii tak, jak bibuła wsysa atrament; a teraz przez cały dzień nie miał w ogóle nic do roboty. Chował się w tym majątku i znał każdy jego skrawek tak dobrze, że już nic nie mogło go zaciekawiać. Aż palił się do tego, by podróżować, jak babci daleki kuzyn, Feliks, który zapuszczał się w różne ciekawe zakątki na końcu świata. Jak można zadowalać się pobytem w Shropshire, kiedy do zbadania ma się całą Amerykę Południową? Czegoś tak prowincjonalnego i nieważnego jak Temford nigdy nie da się porównać z cudami Inków i Azteków!

Skończył jabłko, odrzucił ogryzek i wytarł dłonie o spodnie. Potem oderwał spojrzenie od jeziora i popatrzył na stary, powalony pień, który leżał na środku polanki, sękaty, pokryty mchem i porośnięty hubami. Wciąż trudno mu było uwierzyć, że ojciec umarł, bo uderzył głową w ten pień, kiedy zrzucił go koń sir Rafe. Jutro będzie rocznica tego okropnego dnia, a mama ubrała się na różowo już dzisiaj. To nie w porządku, zwłaszcza że zrobiła to dla sir Rafe'a!

W oczach Petera zalśniły łzy. Tak bardzo tęsknił za ojcem, że aż go to bolało, a cała sytuacja rozwścieczała go do tego stopnia, że często miał ochotę pójść na górę do długiej galerii i zniszczyć pędzle oraz płótna aż do ostatniego. Zamrugał ze złością oczami, powstrzymując łzy. Nie rozplacze się, bo teraz to on jest głową rodziny i będzie nadal głową rodziny, nawet gdyby mama poślubiła sir Rafe'a! Zagryzł wargę. Chyba żaden chłopiec nie potrafiłby wyobrazić sobie gorszego koszmaru niż taki narzucony siłą ojczym. Proszę, niech mama zmieni decyzję, modlił się. Niech oprzytomnieje i znajdzie jakiś inny sposób, żeby wszystko naprawić.

Już miał zleźć z drzewa, ale zawahał się, bo usłyszał, że zbliża się jakiś koń. Szybko wdrapał się z powrotem na swoją gałąź i rozplaszczył się na niej, żeby zobaczyć, kto jedzie. Może to Archie? Miał nadzieję, że tak. Nie-

wykluczone, że trafiłaby mu się okazja, by się na nim odegrać za to niepowodzenia przy bystrzu. Ale na polankę wjechał sir Rafe Warrender. Dosiadał tego samego, pamiętnego, kościstego, rasowego karosza, nad którym równie trudno było zapanować teraz jak przed rokiem; karosz szarpał wędzidło i przez cały czas stawiał jeźdźcowi silny opór. Sir Rafe ściągnął konia przy powalonym pniu i lekko ześlizgnął się z siodła, w żelaznym uchwycie trzymając wodze. Miał na sobie sosnowozielony surdut i kremowe bryczesy, który to strój elegancy dżentelmeni uznawali za niezbędny do jazdy konnej. Jego kasztanowe włosy błyszcząły w jesiennym słońcu.

Peter siedział cicho jak mysz po miotłą, a sir Rafe zaczął szukać czegoś w okolicach pnia. Był bardzo dokładny, opadł nawet na czworaki, by zajrzeć pod spód. Czego on szuka, głowił się chłopiec. Zresztą wszystko jedno, bo nie udało mu się niczego znaleźć. Sir Rafe podniósł się znowu z obrzydliwym przekleństwem i pochylił, by otrzepać bryczesy z liści. Stał tam przez chwilę, potem wsunął rękę do prawej kieszeni surduta, wyciągnął z niej coś i popatrzył na to, co trzymał w lekko stulonej, okrytej rękawiczką dłoni. Peterowi mignęło coś małego i białego. Palce sir Rafe'a konwulsyjnie się na tym czymś zacisnęły, przymknął na moment oczy, a potem schował biały okruch z powrotem do kieszeni.

Następnie poszerzył nieco obszar poszukiwań, odchyłał paprocie, dźgał mech i liście czubkiem szpicruty. Minuty mijały, a on wciąż nie znajdował tego, czego szukał. I znowu wyrwało mu się przekleństwo, dosiadł zniecierpliwionego konia i odjechał szybko w kierunku Fairfield Hall, położonego o ponad milę dalej na południe.

Dopiero kiedy odgłos kopyt końskich zamarł całkowicie w oddali, Peter zszedł z drzewa. Przepelniony ciekawością podszedł pospiesznie do powalonego drzewa. Ślady sir Rafe'a i jego konia wyraźnie odbiły się na miękkiej ziemi. Chłopiec przeszukał chyba każdy zakamarek i szczelinę i niczego nie znalazł, a potem stanął z rękami na biodrach i przyglądał się pniowi, jakby podejrzewał, że z rozmysłem ukrywa to, czego szukał sir Rafe. Jakże żałował, że nie wie, co to było. I co za mały, biały okruch nosił pan zamku Temford w kieszeni surduta.

Zaburczało mu nagle w brzuchu. Ukradzione jabłko w najmniejszym stopniu nie zaspokoilo jego apetytu. Wszystko jedno, czy sir Rafe jest we dworze czy nie, nie ma innego wyjścia, trzeba wracać do domu. Jeżeli szczęście się do niego uśmiechnie, uda mu się wślizgnąć do kuchni tak, by go nikt nie zauważył, a kucharka na pewno da mu coś do zjedzenia. Może

przypieczone bułeczki z rodzynkami! Odwrócił się i opuścił polankę biegiem.

RS

Rozdział 7

Jak tylko Emily zobaczyła, że sir Rafe podjeżdża pod dom, pospiesznie zeszła z długiej galerii na dół. W wielkim salonie zgromadziła wszystko, co mogło jej być potrzebne do haftu, i kiedy w kilka minut później gościa wprowadzono do środka, prezentowała istne wcielenie pracowitości i opanowania.

- Ach, sir Rafe'ie, jakże miło pana znowu widzieć - oznajmiła i odłożyła igłę, udając, że już od dłuższego czasu zajmuje się haftem. Potem wyciągnęła rękę, a on podniósł ją szarmancko do ust. Był uderzająco zimny w dotyku i Emily musiała sama siebie upomnieć, że przecież dopiero co przyjechał, a na dworze panuje wczesnojesienny chłód.

- Moja droga pani Fairfield, jakże uroczo pani wygląda - powiedział półgłosem sir Rafe, zaglądając jej w oczy; trzymał wciąż dłoń Emily w jakiś taki sposób, że przypomniał jej się portret z galerii.

- Miło z pana strony, że pan tak mówi. Czy miałby pan ochotę się czegoś napić? - Przywołała na usta uprzejmy uśmiech i delikatnie oswobodziła palce z jego uścisku.

- Po takiej przejażdżce kieliszek brandy byłby mile widziany.

- Proszę się poczęstować, sir. - Pokazała na karafkę na stoliku za sofą.

Sir Rafe podszedł do stolika i nalał sobie sporą porcję trunku.

- Mam nadzieję, że znajduję panią w dobrym zdrowiu, pani Fairfield? - rzekł i po chwili ciągnął dalej: - Miło zobaczyć panią nie w czerni, i to na dzień przed terminem. Czy pozwoli pani, bym poczuł się zaszczycony?

Emily uśmiechnęła się znowu, z pewnym zakłopotaniem, i pomijając odpowiedź, zapytała:

- A jak tam było w Londynie?

- Nieźle. Pitt znowu zachorował. Nadmiar portwaj-nu. Panuje powszechne przekonanie, że nie przeżyje następnego roku.

- Mam nadzieję, że to nieprawda, bo pan Pitt jest wielkim człowiekiem. Ze względu na Anglię to on powinien stać u steru w starciu z Bonapartem.

Sir Rafe rzucił jej przelotne spojrzenie, ale nic nie powiedział.

Emily odchrząknęła.

- Czy pana przyjaciele z Ministerstwa Spraw Zagranicznych mają jakieś wiadomości z Europy?

- Sir Lumsley Carrowby powiada, że dochodzą stamtąd sprzeczne pogłoski. Niektórzy twierdzą, że Francuzi odnieśli zdumiewające

zwycięstwo nad olbrzymimi siłami Austrii; inni obstają przy tym, że nawet nieudolni Austriacy nie zdołaliby aż tak sromotnie przegrać bitwy.

- A gdzie ta bitwa miała się odbyć? - zapytała Emily.

- Pod jakąś miejscowością, która chyba nazywa się Ulm. Nie potrafię powiedzieć z całą pewnością, ale jeżeli te pogłoski są prawdziwe, to Francuzi ruszyli teraz na Wiedeń. Carrowby wydawał się sądzić, że mogą być prawdziwe.

Emily zetknęła się kiedyś z sir Lumsleyem Carrowbym, który był bliskim przyjacielem sir Rafe'a i często gościł w jego zamku. Zajmował w Ministerstwie Spraw Zagranicznych wysokie stanowisko i wiedział o wojnie niemal wszystko, ale niekiedy okazywał pewną niedyskrecję w sprawach, które może lepiej byłoby zachować w tajemnicy.

- A jak pan sądzi, sir Rafe? Czy zgadza się pan z sir Lumsleyem? - zapytała.

- Sam nie wiem, pani Fairfield, jednak mam poważne wątpliwości, czy komuś uda się rzucić wyzwanie temu Korsykańczykowi i wygrać.

Emily nie pochwałała komplementów pod adresem Bonapartego.

- My mu rzucimy wyzwanie i wygramy, sir, na to może pan liczyć. Niech sobie reszta Europy błądzi i ponosi klęski, ale Anglia nie ustąpi. Pan Pitt nie ustąpi. Lord Nelson przegoni Francuzów na morzach, a nasza armia na lądzie.

Sir Rafe się uśmiechnął.

- Ileż w pani zaciętości i patriotyzmu - zamruczał.

- To oczywiste, sir, za żadną cenę nie trzymałabym z Bonapartem. Moja matka również nie.

- Ach, niezrównana pani Preston. Jakżeż ona się miewa? Mam nadzieję, że cieszy się dobrym zdrowiem? A pani syn?

- Oboje są w doskonałej formie, sir Rafe. Peter jest jak zwykle w parku, a mama musiała się dziś rano zająć pewnymi niecierpiącymi zwłoki zakupami w Temford.

- Niecierpiącymi zwłoki?

- No cóż, pan zapewne nie uznałby ich za takie, sir Rafe, ale dla kobiety sprawa wykończenia sukni jest szalenie ważna. Zostało już tylko kilka dni do otwarcie nowych sal „Pod królewskim dębem”... - Emily z zakłopotaniem umilkła. Nie dało się ukryć, że jej rodzina unika Warrendera. Poczuli się nieswojo i poprawiła na sofie.

Sir Rafe obszedł sofę dookoła i stanął na wprost niej. Zapach konia czepiał się jego ubrań, zauważyła plamy z mchu na kolanach skądinąd nieskalanych spodni.

- Pani Fairfield, nieobecność pani matki i syna nie ma wielkiej wagi, ponieważ to nie do nich przyjechałem z wizytą, prawda?

Taka bezpośredniość zmaćla spokój Emily, poczuła, że rumieniec oblewa jej policzki.

- Nie, przypuszczam, że nie - przyznała.

Sir Rafe zakręcił kieliszkiem i padające od okna światło zabłysło na pierścieniu spod Agincourt, który nosił na serdecznym palcu. Na złocie wyryty był herb - róża w nietypowym, niebieskim kolorze. Emily wiedziała, że uznał ten herb za swój przed pięciu czy sześciu laty, kiedy odziedziczył sporny majątek po rodzinie matki. W wyniku tego pomyślnego zdarzenia sir Rafe nie tylko stał się dużo bogatszym człowiekiem, ale przejął również pierścień, a wyryty na nim symbol zdobił teraz jego papier listowy i widniał na chorągiewkach, powiewających z wieżyczek zamku Temford. Emily potrafiła sobie wyobrazić, jak rozczarowany musiał być ten krewniak, którego udało mu się wydziedziczyć.

Sir Rafe wsunął dłoń do prawej kieszeni, żeby pomacać kwarcowy kamyk, który zawsze tam trzymał. To był jego talizman i nigdzie się bez niego nie ruszał. Jeżeli los miał się do sir Rafe'a uśmiechnąć, ten musiał wcześniej dotknąć kamyka. A jednak na polance, kiedy było to najbardziej potrzebne, los mu nie sprzyjał... Pozbył się z myśli tego niemiłego faktu i, lekko ściskając kamyk, odezwał się znowu, przerywając tok myśli Emily.

- Porozmawiajmy otwarcie, pani Fairfield. Oświadczyłem się pani i teraz, kiedy roczny okres pani żałoby się skończył, przyjechałem po odpowiedź.

No cóż, bezpośredniości i szczerości nie można mu odmówić.

- Jest pan całkiem pewien, że pragnie mnie pan pojąć za żonę, sir Rafe? - W głębi serca marzyła o tym, by zmienił zdanie. Rozum życzył sobie czegoś wręcz przeciwnego.

Sir Rafe ogarnął ją spojrzeniem swoich bladoniebieskich oczu.

- Doprawdy, bardziej niż kiedykolwiek.

Już miała rzec, że się zgadza, kiedy obudziła się w niej przekora i zamiast odpowiedzieć, zadała mu bardzo dziwne pytanie.

- Czy pan mnie kocha, sir Rafe?

Brandy przestała wirować, palce zacisnęły się na kamyku. Sir Rafe popatrzył na nią ze zdziwieniem.

- Słucham?

- Zastanawiam się, czy żywi pan dla mnie choć trochę przywiązania, sir.

Sir Rafe powoli odetchnął.

- Zawsze żywiłem do pani przywiązanie, pani Fairfield.

- Zawsze mnie pan pożył, sir, a to nie to samo. Na wargach sir Rafe'a pojawił się cień uśmiechu.

- Widzę, że pani również nie owija sprawy w bawełnę. Bardzo dobrze, przyznaję. Zawsze pani pożyłem. Zazdrościłem Geoffreyowi jego nocy i pragnę już wstąpić do pani łóżka. Czy to wystarczająco uczciwa odpowiedź?

- Jest uczciwa, sir, ale nadal nie usłyszałam ani słowa o miłości.

- A czy pani mnie kocha? - odparował. Emily się cofnęła.

- Nie - wyznała.

W oczach sir Rafe'a zamigotało jakieś światełko.

- Przyszłość leży w rękach bogów, pani Fairfield. Jedno mogę pani obiecać, w łóżku nie okazać się gnuśny. Pożyłem pani od tak dawna, że może pani liczyć na mój zapal. - Czubkami palców pogładził kamyk...

Chcąc ukryć poruszenie, Emily podniosła się pospiesznie i przeszła na drugą stronę pokoju, by wyrzucić przez okno. Na samą myśl o zapalach sir Rafe'a ogarnęła ją konsternacja. Nie miała najmniejszej ochoty, by jej dotykał! Myśl ta przejęła ją lodowatym dreszczem, poczuła się tak, jakby runęła na nią lodowata lawina faktów, zasypując wcześniejsze postanowienia, grzebiąc je pod sobą. Co mogła powiedzieć? Co ma zrobić?

Sir Rafe bacznie jej się przyglądał i wyczuł, o czym Emily myśli.

- Moja droga, wie pani chyba, że jej pomyślność leży mi na sercu, prawda? Na ten nowy ton w jego głosie Emily niepewnie się obejrzała.

- Tak, oczywiście...

- I że nigdy nie zrobiłbym z rozmysłem niczego, by panią skrzywdzić.

- Tak. - Patrzyła na niego z napięciem, zastanawiając się, do czego zmierza.

Nie kazał jej długo czekać.

- Obawiam się, że są pewne dotyczące Geoffreya sprawy, ważne sprawy, które należałoby teraz poruszyć.

- Sprawy? Jakie sprawy?

- Na początek, pani mąż miał wiele karcianych długów, o których pani nie wiedziała, długów dalece wykraczających poza te czterdzieści tysięcy, które już nad panią wiszą. Pani fortuna, jak się zdaje, nieczęsto mu sprzyjała.

Emily serce zamarło w piersiach.

- Dalece przekraczających? - wyszeptała. Sir Rafe przytaknął.

- Jego skrypty dłużne były, powiedzmy, dosyć szeroko znane. Ja sam mam ich sporą liczbę. Udało mi się wyperswadować pozostałym dżentelmenom, których ta sprawa dotyczy, by chwilowo powstrzymali się ze swymi żadaniami, ale ich cierpliwość nie może się ciągnąć w nieskończoność.

Emily patrzyła na niego z przerażeniem.

- Co pan mówi, sir Rafe? Ile mój mąż był winien?

- Oczywiście nie musi się pani tym martwić, moja droga.

- Ależ muszę! Oczywiście, że muszę! Jeżeli zażądamy spłaty tych skryptów, odpowiedzialność za nie spadnie na mnie!

Sir Rafe lekko się uśmiechnął.

- Jeżeli zostanie pani moją żoną, moja droga, to ta odpowiedzialność spadnie na mnie, a mnie stać na to, bym je spokojnie zapłacił. - W mrokach kieszeni gładził kciukiem powierzchnię kamyka, modląc się, by ten zadziałał na jego korzyść.

Emily zrozumiała; nie mógł już sprawy przedstawić jaśniej. Jeżeli za niego wyjdzie, wszystkie długi Geoffreya, łącznie z tymi, o których dowiedziała się w tej chwili, zostaną w całości spłacone; jeżeli mu odmówi, jej sytuacja niewyobrażalnie się pogorszy.

Sir Rafe postawił kieliszek przy karafce i również podszedł do okna, a potem z tej samej kieszeni, w której miał kamyk, wyciągnął świstek papieru.

- Proszę, niech się pani temu przyjrzy, moja droga. Dowodzi to, że mówię pani prawdę.

Emily niechętnie wzięła papier. Pełne zawijasów pismo Geoffreya było łatwe do rozpoznania i świadczyło, że jej mąż winien był sir Lumsleyowi Carrowby tysiąc pięćset gwinei.

- Tysiąc pięćset gwinei? - szepnęła.

- Może pani to podrzeć, pani Fairfield, bo z Carrowbym już się rozliczyłem.

- Tak więc zamiast być dłużniczką sir Lumsleya, jestem dłużniczką pana?

- Wyjrzała znowu za okno w chwili, kiedy Peter akurat wybiegał z lasu i kierował się do domu.

- Proszę na to nie patrzeć w ten sposób, moja droga. Fakt, że pani o tych sprawach mówię, świadczy, w jak wielkim mam ją szacunku. Jeżeli mnie pani poślubi, z radością wyrównam wszystkie długi, jakie Geoffrey kiedykolwiek zaciągnął. A było ich wiele, proszę mi wierzyć. - Przerwał,

najwyraźniej zastanawiając się, czy powiedzieć to, co mu przyszło na myśl, czy nie.

Emily rozwiązała ten problem za niego.

- Proszę mówić dalej, sir Rafe, bo widzę, że jest jeszcze jakaś sprawa wielkiej wagi, o której pana zdaniem powinnam się dowiedzieć.

- Rzeczywiście jest pewna ważna sprawa, ale wzdragam się o niej wspomnieć z obawy, że źle mnie pani zrozumie. Nie życzę sobie, by wyglądało na to, że... że szantażem zmuszam panią do małżeństwa.

- Szantażem? - Emily nagle zrobiło się zimno. Co jeszcze zrobił Geoffrey? Co jeszcze mógł zrobić?

Sir Rafe odchrząknął.

- To bardzo poważna sprawa, pani Fairfield, i proszę mi wierzyć, że nie przekazuję jej pani z lekkim sercem, ale chcę, by pani świadoma była, że dokładam wszelkich starań, by być wobec pani w pełni uczciwym.

- Proszę powiedzieć mi, o co chodzi, sir Rafe.

- Bardzo dobrze. Wie pani, że sir Lumsley Carrowby pracuje w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, a i wielu innych panów, których goszczę na moim zamku, jest również politykami. Wśród nich bywają nawet członkowie gabinetu. Wszyscy oni są ludźmi bardzo wpływowymi, patriotami, którzy oddaliby życie za swój kraj. Niestety, lojalność Geoffreya wobec własnego kraju pozostawiała wiele do życzenia.

Serce Emily obróciło się w kamień.

- Co pan przez to rozumie? - wyszeptała.

- Za wiele chyba francuskiej krwi płynęło w żyłach pani świętej pamięci męża. Wieczorem, na dzień przed swoją śmiercią, brał udział w jednym z karcianych przyjęć u mnie na zamku; przyłapałem go na przeglądaniu osobistych papierów Carrowaya. Zmusiłem, by dokumenty odłożył na miejsce, i poprosiłem, by natychmiast opuścił zamek. Ze względu na panią i na Petera nie wszcząłem alarmu.

Rozdygotana dłoń Emily powoli uniosła się do gardła.

- Nie! - wyszeptała ledwie dosłyszalnie. - Nie, nie uwierzę w coś takiego o Geoffreyu...

- To trudna do przełknięcia prawda, moja droga. Przyjechałem tu następnego dnia, by się z nim rozmówić. Przyznał się do zdrady, ale nie zgodził się rozmawiać o niczym na terenie domu, bojąc się, że pani lub pani matka możecie coś usłyszeć. Wymyśliliśmy, że wymienimy się końmi i będziemy się ścigać; był to tylko nędzny pretekst, pozwalający wymknąć się

z domu bez wzbudzania niepożądanych podejrzeń. Geoffrey pomknął na moim karoszu jak wiatr i przyznam, że sądziłem, iż zamierza uciec. Wierzchowiec, na którym jechałem, nie mógł się z karoszem równać i zgubiłem pani męża w lesie. Kiedy wróciłem do Fairfield Hall, a po nim nadal nie było śladu, poczułem się całkowicie pewien, że wolał się ulotnić niż stanąć wobec skandalu związanego ze zdemaskowaniem. Oczywiście nie miałem racji, ponieważ zginął, zrzucony przez mojego konia.

Emily wpatrywała się w Warrendera; była zbyt oszołomiona tym, co mówił, by się choć słowem odezwać. Nie wierzyła w to, nie chciała w to uwierzyć. Nie Geoffrey. A przecież bywały chwile, kiedy wyrażał poparcie dla niektórych francuskich celów. Chcąc ukryć udrękę, odwróciła się znowu do okna. Peter był coraz bliżej domu. Wiatr rozwiewał mu włosy, poły kurteczki trzepotały, teraz kopnął kępkę trawy, jak to mają w zwyczaju chłopcy. Wyglądał tak bardzo młodo, tak bezbronne...

Rafe odstawił pusty kieliszek, a potem znowu wsunął dłoń do kieszeni, z pewnym niepokojem dotykając kamyka. Pomóż mi! Działaj!

- Czy nie ma pani nic do powiedzenia?

Emily przełknęła, była tak bliska płaczu, że prawie słowa nie mogła wykrztusić.

- Bardzo... bardzo jest mi trudno uwierzyć, że Geoffrey mógłby zrobić coś tak strasznego, sir Rafe.

- Oczywiście, że trudno pani w to uwierzyć, moja droga; byłoby nawet nienaturalne, gdyby pani myślała inaczej. Ale chociaż fakty są tak bolesne, są również prawdziwe. - Stał za nią i delikatnie ujął jej rękę.

Działalność Geoffreya już się skończyła i nic dobrego nie wyniknie z rozgrzebywania popiołów i rozsiewania ich po kominku świata. Powiedziałem pani o tym tylko dlatego, że pragnę nie mieć przed panią żadnych tajemnic. Chcę, by pani wiedziała, że będę chronił Petera przed hańbą, jaka spadłaby na niego razem z wiedzą, że jego ojciec był zbankrutowanym zdrajcą. Hipoteka będzie czysta, pani Fairfield... Emily...

To szantaż, pomyślała, choćby z całych sił udawał, że jest inaczej. Zastawiona przez niego pułapka zatrzasnęła się jak wilcze paści jakiegoś kłusownika. Teraz, niezależnie od tego, jakie ma o nim zdanie, jeżeli chce uchronić syna, musi postąpić tak, jak sir Rafe sobie życzy. Nie odwracała wzroku od Petera, a kiedy chłopiec zniknął za rogiem domu, skinęła głową.

- Bardzo dobrze, sir Rafe. Przyjmuję pana oświadczenia.

Usłyszała, jak przeciągle odetchnął.

- Ach, moja droga, uczyniła mnie pani właśnie najszcześniejszym z mężczyzn.

A siebie najniezszcześniejszą z kobiet, pomyślała, mając świadomość, że pogardza człowiekiem, którego właśnie zgodziła się poślubić.

Sir Rafe wyjął dłoń z kieszeni i odsunął się od niej.

- Moim zdaniem najlepiej będzie podać nasze zaręczyny do wiadomości publicznej, a pani ja sądzi? Otwarcie nowej sali zgromadzeń „Pod królewskim dębem” podczas listopadowej fety będzie idealną okazją.

- Och, ale ja... ja nie zamierzałam brać udziału... - zaczęła Emily, której w głowie wciąż kręciło się od sprzecznych emocji.

- No cóż, może powinna to pani przemyśleć.

I znowu Emily poczuła chłodny dotyk szantażu.

- Rok dobiega końca - ciągnął sir Rafe gładko - a pani zrzuciła już żałobę. Niech się pani zastanowi. Na fecie obecna będzie spora część hrabstwa, okazja nadaje się więc idealnie. Będziemy mogli pobrać się za specjalnym pozwoleniem w tydzień później.

Emily zaczęła czuć się tak, jakby pędziła w dół zbocza, siedząc w powozie, który wymknął się spod kontroli.

- Nie! To... to znaczy, rzeczywiście możemy powiadomić o zaręczynach podczas tej fety, na pana wyraźne życzenie, ale chciałabym poczekać trochę z samą ceremonią ślubną.

- Ależ dlaczego? Z pewnością długi należałoby pospłacać bez opóźnienia?
- Oczywiście sir Rafe'a zrobiły się chłodne.

Emily nie miała najmniejszych wątpliwości, że finansowy ratunek i uniknięcie potwornego skandalu zależą w pełni od tego, czy zastosuje się do jego woli.

- Tak, to prawda, że należałoby je pospłacać, sir Rafe, ale w wigilię Bożego Narodzenia są moje urodziny i serdecznie pragnęłabym wziąć ślub właśnie wtedy.

Twarz sir Rafe'a rozjaśniła się, uśmiechał się znowu.

- Ślub w Wigilię? Nie miałem pojęcia, że ma pani tak romantyczne usposobienie, Emily.

- Zupełnie mnie pan nie zna, sir Rafe. - Za to ja zaczynam pana poznawać, a to, co poznałam dotychczas, wydaje mi się wstrętne.

- Wystarczy tylko „Rafe” - oznajmił.

Emily krótko się roześmiała i odwróciła głowę.

- Wydaje mi się to takie... trochę dziwne, zwracać się do pana, nie używając tytułu.

- Czekają nas intymny związek, Emily, więc tytuły nie będą potrzebne.

Intymny? Jedyny intymny związek w życiu łączył ją z Geoffreyem...

- A więc wszystko ustalone? Ogłaszamy nasze zaręczyny podczas fety „Pod królewskim dębem”, piątego listopada, a sam ślub odbędzie się w wigilię Bożego Narodzenia?

- Tak. - Siłą musiała się powstrzymać, by się nie wzdrygnąć, kiedy palcami dotknął jej włosów.

- Jeszcze jedno, Emily. To chyba oczywiste, że nie życzymy sobie, by do publicznej wiadomości przedostała się informacja o zdradzie Geoffreya, ale uważam, że najlepiej będzie również te skrypty dłużne zachować w sekrecie. To nasza sprawa i tylko nasza, a sądzę, że ze względu na Petera lepiej w żaden sposób nie kłaść pamięci Geoffreya.

Emily udało się skinąć głową.

RS

Rozdział 8

Kiedy Cora wróciła z Temford z zakupami, zastała Emily w pokoju o niskim suficie, położonym bezpośrednio pod wielkim salonem. Córką czekała na nią. Na ośmiokątnym stoliku pod wykuszowym oknem, wychodzącym na dziedziniec, gdzie stangret ostrożnie zawracał kolaską, by odstawić ją do stajni, stała misa z chryzantemami. Na kamiennym kominku tańczyły płomienie i rzucały migotliwe cienie na dębową boazerię i pomalowane na zielono i białą średniowieczne tynki.

Obcasiki Cory zastukały na kamiennej podłodze, kiedy kładła paczki na stole. Jej przenikliwe spojrzenie spoczęło na twarzy córki.

- Przyjął go? - zapytała, ściągając obcisłe rękawiczki. Ubrana była w pelisę i dobraną do niej suknię, kawową, z wykończeniem koloru czerwonego wina. Na jej kapeluszu falowało strusie pióro.

- Mamo, wiedziała mama, po co on tu dziś przyjechał.

- Mimo to miałam nadzieję... - Cora urwała, bo w drzwiach, prowadzących na korytarz, który przechodził przez cały dom, od dziedzińca aż do tajemnego ogrodu na tyłach dworu, pojawił się Peter. Stał tam z twarzą bardzo bladą i spokojną, a chociaż Cora wiedziała, że powinna kazać mu odejść, nie miała serca tego zrobić. W końcu jego to również dotyczyło. Mówiła więc dalej do Emily: - Tak, wiem po co sir Rafe tu dziś przyjechał, ale wyznam ci, że żywiłam pewną nadzieję, iż do tego nie dojdzie.

- Klamka zapadła. Zaręczyny odbędą się podczas fety „Pod królewskim dębem”.

- Rozumiem. - Cora bacznie zmierzyła córkę wzrokiem. - Czy jesteś zadowolona, że postanowiłaś wziąć sobie za następnego męża tak wstrętnego osobnika?

- Nie powiedziałabym „zadowolona”. - „Zrezygnowana” pasowałoby dużo lepiej, pomyślała Emily.

Cora przyglądała się jej.

- Odpowiedz mi na pytanie, Emily. Czy jesteś zadowolona z podjętej decyzji?

- Jestem przekonana, że to właściwa decyzja. A zanim zacznie mi mama grozić palcem i przekonywać, że ten jeden jedyny czeka gdzieś, aż go znajdę, niech mama pozwoli sobie przypomnieć, że życie potrafi się ciągnąć bardzo długo. Może trafię na ten wzór cnót wszelkich dopiero, kiedy się zestarzeję, a wtedy mnie już nie będzie obchodziło, czy jest cudowny, czy

nie'. - Chwyciła spódnicę i odwróciła się do drzwi, ale zobaczywszy Petera, natychmiast się zatrzymała. - Przypuszczam, że ty również zamierasz mnie skrzyknąć? - zapytała.

Jego oczy - tak podobne do oczu Geoffreya - miały oskarżycielski wyraz.

- Tak, jeżeli mama naprawdę zamierza zostać lady Warrender. Proszę, niech mama powie, że poszuka mama innego sposobu, aby...

- Czy żadne z was ani przez moment nie zastanawiało się, co się stanie, jeżeli ja tego nie zrobię? - przerwała mu Emily.

- Poradzimy sobie, proszę mamy - zapewnił ją Peter. Cora go poparła.

- Tak, jestem pewna, że sobie poradzimy, Emily. Możemy przecież zamknąć połowę domu, sprzedać trochę..

- Nie poradzimy sobie! - wybuchnęła Emily. - Czy wy naprawdę wierzycie, że brałabym to małżeństwo w ogóle pod uwagę, gdybym nie musiała? Nie macie nawet pojęcia, jak źle się sprawy mają... dużo gorzej, niż do niedawna sądziłam!

Cora popatrzyła na nią z naciskiem.

- Wyszło na jaw coś nowego, prawda, Emily? Coś, o czym nam nie powiedziałaś?

Emily odwróciła się twarzą do matki.

- O wszystkim mama już wie - odpowiedziała kłamliwie. - Sprawa została rozstrzygnięta i nie chcę więcej słyszeć żadnych dyskusji na ten temat. Nasz związek zostanie ogłoszony na fecie „Pod królewskim dębem”, a ślub odbędzie się w Wigilię. - Zebrała znowu spódnicę w dłonie i wybiegła na korytarz, a potem do ogrodu.

Nikt nie pobiegł za nią. Przez długą, bardzo długą chwilę we dworze panowała cisza, którą przerywało tylko tykanie stojącego w kącie zegara. Cora przymknęła oczy, żeby się opanować. Kiedy je znowu otworzyła, spojrzenie jej padło na Petera, który nie ruszył się od drzwi.

- No cóż, młody człowieku, zaraz pożałujesz, że nie wymknąłeś się, kiedy miałeś po temu okazję.

- O? - Peter spojrzał na babkę nieufnie. Za który ze swoich grzechów miał teraz otrzymać reprimendę?

- Kiedy wracałam z Temford, zatrzymał mnie przy stróżówce pan Bradwell i poinformował, że kradłeś jego jabłka.

- Tylko jedno! - zaprotestował z oburzeniem chłopiec.

- Jedno, dwa czy tuzin, to występku nie zmienia. Masz już tego nie robić, rozumiesz?

- Tak, babciu. - Chłopiec wysunął dolną wargę. - Czy zamierza babcia powiedzieć mamie?

- Tym razem nie, bo wydaje mi się, że ma wystarczająco wiele spraw na głowie.

- Niczego złego nie robię - mamrotał Peter.

- Robisz, młody człowieku, bo kradniesz. A kiedy upierasz się, by skradać się ludziom za plecami i szpiegować ich, to w bardzo poważny sposób naruszasz ich prywatność. Pewnie nie wydaje ci się to ważne, ale ręczę, że nie byłbyś zadowolony, gdyby to za tobą ktoś szedł do toalety albo może nawet podglądał cię przez dziurę po sęku!

- To co innego! - wykrzyknął chłopiec, oburzony.

- Naprawdę? A jak wyznaczysz granicę między tym, co dopuszczalne, a co nie? Powiedziano mi, że podglądałeś wczoraj wieczorem pokojówkę Betsy, kiedy spotkała się ze swoim ukochanym w stajni. Czy to prawda?

Peter nie odpowiedział. Na każdym rogu tego okropnego domu czaiła się jakaś papla!

- Cóż za elokwentne milczenie - skomentowała Cora. - Nie ma wątpliwości, że to zrobiłeś. Sprawy nie najlepiej się mają, jeżeli po spełnieniu swoich obowiązków młodzi kochankowie nie mogą się spotkać bez tego, by ich ktoś podglądał. To ma się więcej nie powtórzyć, rozumiesz? Albo zaczniesz zachowywać się jak odpowiedzialny młody człowiek, albo pożałujesz. To wszystko. Możesz odejść.

Peter odwrócił się na pięcie i wypadł z pokoju, zanim zdążyła zmienić zdanie.

- Och, Peter, Peter, co się z tobą ostatnio dzieje? - wyszeptała Cora ze smutkiem.

Rozdział 9

Tego wieczoru Jack Lincoln po raz pierwszy od lat wystąpił znowu w modnym stroju. Był już po kolacji, opierał się o jasno świecącą latarnię na nabrzeżu Broad w Bristolu, na sobie miał ciemnozielony płaszcz z perlerynką, a pod nim jasnopopielaty surdut i kremowe spodnie. Na głowie pod zawadiackim kątem osadził sobie cylinder; jego ręce okrywały rękawiczki, pod pachą trzymał laseczkę. Wyglądem naprawdę bardzo różnił się od Jacka Lincolna, który zaokrętował się na „Stralsund” w Callao.

Jeden z najlepszych krawców w Bristolu, po tym, jak zaproponowano mu solidną łapówkę, wyciągnął ze swoich zapasów dwa ubrania i płaszcz, które już przygotował dla innego klienta. Dopiero co skończył nad nimi pracować, ale dżentelmen, dla którego były przeznaczone, zachorował i przez najbliższy miesiąc albo dwa nie mógł stawić się do ostatniej miary. Krawiec wiedział, że spokojnie przez ten czas zdąży przygotować następne ubrania i bez oporów rozstał się ze swoim dziełem, bardzo zadowolony z tak niespodziewanego i lukratywnego interesu.

Następnie Jack nabył koszule, fulary, kapelusze, rękawiczki, stroje nocne i wszystkie inne akcesoria, mogące przydać się eleganckiemu dżentelmenowi. Teraz znowu wyglądał na modnego młodzieńca z wyższych sfer - może z wyjątkiem włosów, ponieważ nie zdołał zmusić się, by je obciąć. Związał je tylko na karku kawałkiem czarnej, prążkowanej, bawełnianej wstążki. Czuł, że powinien zachować jakąś niekonwencjonalną część siebie.

Mrok zapadł już kilka godzin temu i na nabrzeżu Broad, znanym jako ulica Statków, wreszcie zrobiło się cicho. Powietrze nocne było zimne, oddech Jacka unosił się chmurką w świetle latarni, ale młody człowiek nie czuł chłodu. Nabrzeże rozrosło się wzdłuż koryta rzeki Avon, która sięgała aż do serca miasta. Tutaj różnica między przyływem a odpływem wynosiła dwadzieścia pięć stóp, co zapewniało dobre warunki nawet największym z dalekomorskich statków. Maszty i olinowanie może i stu jednostek sterczały nad wodą jak gęsty las, wśród nich znajdował się również maszt „Stralsunda”. Był właśnie odpływ, więc pokład opadł sporo poniżej nabrzeża. Wcześniej, podczas przyływu, uniósł się tak wysoko, że nie można było nań zajrzeć.

Jack rozpiął płaszcz, zahaczył kciuki o pas spodni i przyglądał się scenie, którą miał przed sobą. Naprzeciw przycumowanych statków znajdowały się szeregi sklepów, gospody i domy o dwuspadowych dachach, a między nimi i

skrajem wody rozciągał się brukowany kocimi łbami teren, na którym układano w stosy baryłki z melasą i rumem, a obok beczułki z tytoniem i bele jedwabiu.

Dziecięcy śmiech kazał się Jackowi obejrzeć przez ramię. Kilku poprzebieranych małych chłopców o poczernionych twarzach przebiegło obok niego, trzymając w rękach podskakujące latarnie z rzepy. To, że jest Halloween, widać było wszędzie, gdzie spojrzął, nawet w tym pełnym krzątaniny porcie. W oknach większości domów przy nabrzeżu wisiały latarnie. Ich migotliwe twarze bardzo przeraziły Manco, kiedy zobaczył je tuż po kolacji. Wyjaśnienie, na czym polegają obchody wigilii Wszystkich Świętych, wcale nie pomogło. Festiwal umarłych? Niegodziwe duchy, włóczące się po nocy? Manco znał już wystarczająco wiele niegodziwych duchów pochodzenia inkaskiego i nie miał ochoty spotykać jeszcze tych, których obawiał się również kościół chrześcijański! Uciekł do swego łóżka na poddaszu gospody i przysiągł, że się stamtąd nie ruszy, póki ze świtem zagrożenie się nie skończy.

Czyjeś kroki zadudniły na drewnianej, solidnej desce, która prowadziła z pokładu „Stralsunda” na nabrzeże, i na brzeg zszedł kapitan Gustavus.

- Dobry wieczór, kapitanie - zawołał do niego Jack. Szwedzki kapitan odwrócił się, potem podszedł do niego.

- Dobry wieczór, Lincoln - powiedział swoją nienaganną angielszczyzną. - Czyżby już pan zatęsknił za „Stralsundem”? - Kapitan był niskim, szerokim w barach mężczyzną, o rumianej cerze, bystrych, niebieskich oczach i ochrypłym głose. Nie tyle chodził, ile przetaczał się z boku na bok, ale ten osobliwy krok nie wynikał ze spędzonych na morzu lat, tylko raczej z faktu, że kapitan jedną nogę miał odrobinę dłuższą niż drugą. Ubrany był w podróżną, obszytą futrem opończę, a na głowie miał nowy trójgraniasty kapelusz. Jack również szeroko się uśmiechnął.

- Do cholery, Gustavusie, dość mam już tej pana przeciekającej krypy, starczy mi na całe życie.

- Pozwoli się pan poinformować, że to jeden z najlepszych statków na całym oceanie.

- Niech więc nieba mają w opiece całą resztę. Kapitan roześmiał się i nałożył rękawice.

- Wybieram się teraz do Londynu i zamierzam spędzić tam w luksusach tydzień czy coś koło tego, zanim popłynę dalej do Sztokholmu. Ale obawiam się, że potem będę musiał znowu wyruszyć do Limy.

- Przez cały czas kursuje pan tą samą trasą?

- To monotonne, ale dochodowe. - Gustavus głęboko zaczerpnął powietrza. - Zakładam więc, że nie będę mógł cieszyć się pana towarzystwem, kiedy wyruszemy?

- Nie.

- A co z don Cristovalem i tym Indianinem, którego ciągnie wszędzie ze sobą?

- No cóż, tego nie potrafię powiedzieć. Don Cristoval nie nadmieniał, jak długo zamierza się tu zatrzymać, ale Manco najchętniej wróciłby już do domu. Doszedł do wniosku, że Anglia mu się nie podoba, i to jeszcze zanim wpłynęliśmy na Avon.

- Mam nadzieję, że ten Manco tu zostanie, bo jest jednym z ostatnich pasażerów, jakiego pragnąłbym znowu zobaczyć. - Kapitan postukał w swój nowy kapelusz, wspominając los, jaki spotkał poprzednie nakrycie głowy. Jack parsknął śmiechem.

- Wystarczy raz go zobaczyć i nigdy się go nie zapomni, to cały Manco - powiedział cicho. Indianin, zgodnie z przewidywaniem, wzbudził powszechne zdumienie, bo kiedy zszedł na brzeg, natychmiast odśpiewał głośny pean na cześć Matki Ziemi, którą nazywał Mama Pacha. Następnie doprowadził do tego, że cały ruch na nabrzeżu kompletnie zamarł, bo wykonał uroczysty taniec w podzięce za bezpieczną podróż. I dopiero potem zgodził się towarzyszyć pozostałym do gospody „Pod Królową Indii”, którą polecił im kapitan Gustavus.

Kapitan odwrócił się, kiedy jakiś powóz zaturkotał po nabrzeżu, a następnie zatrzymał się przed pobliskim składem dostawcy okrętowego.

- Ach, podjechała już moja karetka pocztowa. Pożegnam się więc, Lincoln. At god lyckan. Niech się panu szczęści. - Dwaj mężczyźni uścisnęli sobie prawice i Szwed pospiesznie odszedł.

Kiedy turkot karetki ucichł w mroku, Jack się ponownie zamyślił. Dobrze było znaleźć się znowu na stałym lądzie, zwłaszcza że była to angielska ziemia. I dobrze było znowu skosztować angielskiego jedzenia. Tylko tu można dostać takie smakołyki, jak pieróg nadziewany wołowiną, z ostrą żółtą musztardą i lekkim jak piórko ptysiowym ciastem, które wyrosło na ponad cal grubości. Och, jak mu smakowała dzisiejsza kolacja, która zaczęła się od wędzonej makreli z sosem chrzanowym, potem był ten pieróg, a na koniec szarlotka, przyrządzona z najkwaśniejszych antonówek i podana ze

słodkim kremem. Wrócił myślą do czasów, gdy siedział przy ognisku pod andyjskim księżycem i marzył o właśnie takim posiłku...

Cristovalowi posiłek również smakował, ale Manco, czego nawet mówić nie trzeba, odnosił się do wszystkiego z dezaprobatą. Wyciągnął swoje plecione z sitowia pudełko, wyjął przyprawy i zioła w wielkim wyborze, i zajął się przyprawianiem każdego dania, jakie przed nim postawiono. Wyglądało to bardzo nieapetycznie, ale Manco zjadł wszystko.

- Szuka pan towarzystwa, sir? - zapytał uwodzicielski, kobiecy głos. Jack odwrócił się i zobaczył damę lekkich obyczajów, która stała obok niego w różowej muślinowej sukni i okrywała się białym wełnianym szalem. Dłonie oparła wyzywająco na biodrach, jej malowane usta układały się w zapraszający uśmiech. Miała niewiele ponad dwadzieścia lat, tak przynajmniej przypuszczał, i dość była nawet ładna z tymi słomkowożółtymi włosami i apetycznie zaokrąglonymi kształtami, zbyt skąpo okrytymi jak na taką zimną noc. Zauważył, że stara się, by nie było widać, że dygocze.

- Nie, dziękuję - odparł.

Nie poszła sobie, tylko zmierzyła go zuchwałym spojrzeniem. Spodobało jej się to, co zobaczyła, nawet te długie, jasne włosy wydały się pociągające, bo z nimi wyglądał interesująco odmiennie, a nawet troszkę podniecająco.

- Jest pan pewien, sir? Umiem zadowolić mężczyznę...

- Powiedziałem nie, i tak chciałem powiedzieć - oznajmił stanowczo i poszukał w kieszeni monety. - Proszę to wziąć i kupić sobie coś ciepłego do jedzenia. Jeszcze trochę, a pani zamarznie.

Dziewczyna zawahała się, ale wzięła monetę.

- Mogę przyjść później, jeśli by pan chciał.

- Mam inne sprawy na głowie tej nocy.

- Kim ona jest?

- Ona? - Popatrzył na nią bez zrozumienia.

- Ta, o której pan myśli. To musi być jakaś kobieta. Jack się uśmiechnął.

- Tak się składa, że myślałem o pierogu z wołowiną, ale gdyby to była jakaś dama, miałaby na imię Emily.

- Szczęściara z tej pana Emily. - Odwróciła się i pospiesznie odeszła.

„Pana Emily”? Jack poczuł się rozbawiony. Jak mogła być „jego Emily”, skoro nie wiedziała nawet o jego istnieniu? Pewnie się zresztą wkrótce dowie, bo zamówił na następny dzień karetkę pocztową, żeby zawiozła go do Shropshire. Potrwa to ze dwa dni, zanim dojedzie do Fairfield Hall. A kiedy on będzie się zajmował tą sprawą, Cristoval i Manco wybiorą się do

Londynu. Nie wiedział, czy się z nimi jeszcze zobaczy, czy kiedykolwiek ich jeszcze spotka.

RS

Rozdział 10

Jack nie dojechał jeszcze do Fairfield Hall, kiedy Cristoval i Manco znaleźli się już w Londynie, a tam udali się natychmiast do najbliższej kawiarni, by się nieco odświeżyć po podróży. A przynajmniej do najbliższej kawiarni udał się Cristoval; Manco pozostał na zewnątrz. Indianin zdążył już nabrać przekonania, że Brytyjczycy parzą kawę, która tak samo nie nadaje się do picia, jak ich potrawy nie nadają się do jedzenia, wołał więc napić się świeżej wody z pobliskiego poidła dla koni. Ta czynność wzbudziła pewne zainteresowanie wśród przechodniów - a także pewne oburzenie konia, który akurat przypadkiem zaspakajał pragnienie w tym samym poidle.

Następnie Manco rozsiadł się po turecku na chodniku przy drzwiach do kawiarni. Wyjął flet i zaczął grać na chwałę Wirakoczy, którego jasna kula słała ciepłe promienie z nieskazitelnie błękitnego nieba. Natychmiast zgromadził się tłum gapiów, nie wyłączając kilku małych oberwańców, którzy, chichocząc, tłoczyli się wokół Indianina. Jeden z przejeżdżających powozów przyhamował, a za nim następne, na rozkaz rozpartych w nich dżentelmenów, którzy z ciekawością przyglądali się dziwnej postaci w kolorowej czapce i ponczo.

Cristoval starał się udawać, że nie ma absolutnie nic wspólnego z Indianinem. Znalazł sobie stolik w spokojnym kącie, ostatni nie zajęty jeszcze na całej sali, położył przed sobą egzemplarz „The Times” i uśmiechnął się do ładniutkiej kelnerki, która przyniosła mu dużą filiżankę czarnej, słodkiej kawy. Potem rozsiadł się wygodnie, by odpocząć po wielogodzinnej podróży z Bristolu. Tylko że niełatwo było odpoczywać, kiedy zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz kawiarni panowało coraz większe zamieszanie. Wszystkich fascynował jaskrawo ubrany Indianin, tłum na chodniku rozrastał się z chwili na chwilę i nie minęło wiele czasu, a kompletnie zablokowana została cała ulica. Szewc, który miał warsztat po sąsiedzku z kawiarnią, bardzo się oburzał na tę przerwę w interesach i wyszedł na zewnątrz poprosić gapiów, by się rozeszli. Kiedy nie byli uprzejmi się do prośby zastosować, wysłał swojego chłopaka po miejscowego posterunkowego. Manco grał dalej, nie zwracając na nic uwagi, zatopiony w inkaskich melodiach, i wydawał się kompletnie nieświadom tego, co dzieje się wokół niego.

Cristoval był jednak tego świadom. Zaczynały go coraz bardziej męczyć kłopoty, w które pakował się Manco wszędzie, gdzie się znaleźli. Indianin

nie ułatwiał mu życia na „Stralsundzie”, narobił kłopotów „Pod Królową Indii” w Bristolu, a gdy zatrzymali się na krótko w Bath, padł plackiem prosto do kałuży, kiedy napotkali zreumatyzowanego, niesionego w lektyce inwalidę. Zdaniem Manco tylko wielcy, szlachetni Inkowie noszeni byli w takich lektykach, więc zdumiony inwalida uraczony został uroczystym i pełnym szacunku pokazem czołobitności.

Indianin napytał im biedy na każdym etapie podróży, jak nie w taki, to w inny sposób. W Chippenham ugryzł go niesympatyczny pies, należący do równie niesympatycznego gospodarza z Wiltshire. Manco bez namysłu w rewanżu ugryzł psa, a kiedy wywołało to oburzenie gospodarza, Indianin zapowiedział, że jego również ugryzie, jeżeli nie zabierze tego pizarrskiego psa i sobie nie pójdzie. Na szczęście gospodarz zrozumiał, że mądrzej będzie się nie spierać. A teraz znowu ta awantura w Londynie.

Cristoval, wzdychając, popijał kawę, która była zdumiewająco dobra. Wszyscy obecni na sali wyciągali szyje, by widzieć, co dzieje się na ulicy, gdzie pojawił się już miejscowy posterunkowy i zaczął zaprowadzać porządek. Posterunkowy był pulchnym, zadufanym w sobie służbistą z wystającym brzuchem. Wymachiwał laseczką i gestykulował nią, każąc się tłumowi cofnąć. Manco grał, nie zwracając na nic uwagi. Cristoval odczuwał silną pokusę, by wsadzić Indianina na pierwszy wracający cło Peru statek, ale obawiał się, że zanim Manco osiągnie cel podróży, sprowokuje kogoś do morderstwa.

Tak się zatopił w swoich myślach, że niemal nie podniósł wzroku, kiedy jakiś dżentelmen zapytał, czy nie przeszkadzałoby mu, gdyby się przysiadł do jego stolika.

- Nie, nie, proszę siadać, oczywiście - odpowiedział, gestem zapraszając nowo przybyłego, by zajął stojące naprzeciw krzesło.

- Zawsze tu taki ruch - skomentował cienki, dosyć nosowy głos.

- Jeżeli zawsze podają tak doskonałą kawę, potrafię z łatwością zrozumieć, dlaczego tak się dzieje - rzekł Cristoval, w końcu podnosząc wzrok, by spojrzeć na siedzącego vis-a-vis mężczyznę. Był to dżentelmen mniej więcej w jego wieku, przygarbiony, o bardzo ziemistej cerze, z długim nosem, na którym przycupnęła para okularów. Nosił pudrowaną perukę i ciemne ubranie i trzymał plik listów i dokumentów, które starannie ułożył na stole.

- Naprawdę mam szczęście - uśmiechnął się - że znalazłem miejsce, kiedy na zewnątrz panuje takie zamieszanie. Siedzi tam jakiś dzikus z fujarką.

Dzikus z fujarką? Manco czułby się mile połączony, pomyślał Cristoval.

Mężczyzna rozsiadł się wygodniej.

- Londyn robi się zupełnie okropny, sir. Zawsze człowiek trafi na jakieś utrapienie.

Cristoval uśmiechnął się i pokazał na papiery.

- Wydaje się pan mieć wiele pracy, sir.

- Mam, ale się nie skarżę. Prawo to wymagający zawód. Dzisiaj jednak mógłbym się obejść bez takiej ilości roboty.

- Szczególnie dzisiaj, sir? Mężczyzna przytaknął.

- Nagle okazało się, że muszę wyruszyć w niespodziewaną podróż. To wielka niedogodność. - Uświadomił sobie, że powinien być się przedstawić, i wyciągnął rękę. - Sir Quentin Brockhampton, do usług, sir.

- Don Cristoval de Soto - odpowiedział Cristoval. Ujął podaną dłoń, równocześnie zastanawiając się z ożywieniem. Sir Quentin Brockhampton? Coś sobie niejasno przypominał...

Sir Quentin podniósł oczy na dziewczynę, która pojawiła się przy stoliku.

- Waszą najlepszą turecką kawę i kilka ciastek migdałowych, żeby przygotować żołądek do podróży.

I nagle Cristoval przypomniał sobie, dlaczego nazwisko tego człowieka wydaje mu się znajome. Sir Quentin Brockhampton, który nagle i niespodziewanie przestał cokolwiek wiedzieć o pieniądzach, jakie dał mu Feliks dla Cory Preston. Z pewnością w Londynie nie mogło być dwóch prawników, noszących ten sam tytuł i nazwisko.

Sir Quentin spojrział na niego z zaciekawieniem.

- Z pana nazwiska, wyglądu i głosu sędzę, że nie może być pan Anglikiem, sir. Czy wolno mi spytać, skąd pan przybywa?

Cristoval zawahał się, z jakiegoś powodu nie miał ochoty powiedzieć prawdy.

- Pochodzę z Hiszpanii, sir - odrzekł.

- Ach, Hiszpania. To kraina doskonałych win.

- Czuję się zaszczycony pana opinią, sir. Podano turecką kawę i migdałowe ciasteczka. Sir

Quentin sięgnął po filiżankę, ale potrącił przy tym rękawem plik dokumentów, które ześlizgnęły się na blat.

Kilka z nich spadło na podłogę i Cristoval pochylił się, by je pozbiierać. Pierwszy list, który podniósł, zaadresowany był do sir Quentina w miejscu zamieszkania. Napisał go sir Rafe Warrender z zamku Temford. Następne nazwisko, które aż nazbyt swojsko brzmiało! Wykazując błyskawiczny

refleks, Cristoval wsunął list w zanadrze, a następnie wyprostował rękę, by podać sir Quentinowi pozostałe papiery, które pozbierał. Sir Quentin wyraził swoją wdzięczność.

- Szalenie to uprzejmie z pana strony, don Cristoval. Obawiam się, że my, prawnicy, nieodmiennie wykazujemy skłonność do noszenia nadmiernej ilości dokumentów przy sobie.

- Lepiej o kilka za wiele niż za mało, sir Quentin.

- Rzeczywiście, rzeczywiście - zaszemrał jego rozmówca.

Na zewnątrz koncentrujące się wokół Manco zamieszanie trwało, a nawet przybierało na sile. Coraz bardziej rozwścieczony posterunkowy nie uzyskał niczyjej pomocy, kiedy przyszło do usuwania ludzi z ulicy. Tłum się opierał, a muzyka, którą Manco wygrywał na flecie, nie miała już nic wspólnego z jakąkolwiek melodią; składała się teraz z około sześciu nut, wygrywanych po kolei, raz za razem. Indianin wstał i poruszał się ostrymi, urywanymi ruchami w czymś w rodzaju tańca, unosząc stopy w rytm wygrywanych nutek.

Ludzie, którzy utknęli w miejscu, zaczęli się niecierpliwić, złościли się i krzykiem domagali wolnej drogi, a tu nagle nie wiadomo skąd pojawił się mały, biało-czarny terierek i rozszczękał się co sił w płucach. Posterunkowy zaczął okładać go swoją laską i nagle muzyka Manco urwała się na środkowej nucie. Indianin po omacku poszukał w swojej torbie czegoś, co tam trzymał, potem strzepnął palcami w kierunku miejscowego despoty, który usiadł tak gwałtownie, że niemal dech mu zapało.

Na ten widok ludzie ryknęli śmiechem, nikt nie zdawał sobie sprawy, że właśnie byli świadkami inkaskiej magii. Pomyśleli po prostu, że posterunkowy się wywrócił, a ponieważ wcale nie czuli do niego sympatii, przyklasnęli jego ciężkiej doli. Terierek wpadł w jeszcze większe podniecenie, rzucał się na prawo i lewo i kłapał zębami na kostki posterunkowego. Posterunkowy usiłował wstać, ale mu się nie udało. Zaklął i znowu zamachnął się laską, która bezzwłocznie wyfrunęła mu z ręki i wylądowała na dachu jednego ze stojących na ulicy powozów. Terierek podskakiwał, usiłując się do niej dostać, a to z kolei przestraszyło konie. Ruszyły z kopyta, zanim stangret miał szansę je opanować, a tłum pospiesznie się przed nimi rozstąpił.

Rozległ się gwizdek i na miejscu wydarzeń pojawiło się dwóch policjantów z Bow Street. Zaczęło się pandemonium, bo ludzie rozpraszali się we wszystkie strony, nie życząc sobie, by zatrzymano ich w związku z

zakłóceniem spokoju. Posterunkowemu udało się w końcu podnieść; on również rzucił się do ucieczki, świadom, że właśnie przydarzyło mu się coś niemiłego i wyjątkowo niefortunnego.

Policjanci ruszyli w pościg za kilkoma znanymi kieszonkowcami, którzy pracowicie krzatali się w tłumie, i stopniowo na ulicy zapanował jaki taki porządek. Manco ze spokojem zajął znowu miejsce na chodniku, przyłożył flet do warg i zaczął wygrywać łagodną, kojącą melodię. Tym razem nikt nie zwracał na niego uwagi.

Wszyscy obecni w kawiarni przyglądali się z zainteresowaniem tym wydarzeniom, a kiedy zamieszanie ucichło, podniósł się znowu gwar rozmów i zagłuszył grę Indianina. Sir Quentin spojrzął na Cristovala.

- Zdumiewające - oznajmił.

Cristoval miło się uśmiechnął. Mniej interesował go w tej chwili Manco, a bardziej uzyskanie jak największej ilości informacji o tym prawniku, którego nazwisko w przeszłości wiązało się z Jackiem Lincolnem, a w chwili obecnej z Emily Fairfield.

- Wspominał pan coś o niedogodnej podróży? - podsunął.

- Tak. Do Shropshire.

Nie można powiedzieć, by Cristoval poczuł się zaskoczony. Właściwie nawet się takiej odpowiedzi spodziewał.

- Muszę spotkać się z dżentelmenem o nazwisku sir Rafe Warrender - ciągnął sir Quentin. - Sprawa jest dosyć pilna.

- Mam nadzieję, że nie żadne złe wiadomości?

- Sam nie jestem pewien, czy dobre, czy złe; właściwie nie mogę nawet mieć pewności, czy są prawdziwe, niemniej jednak odnoszę wrażenie, że powinienem tę informację przekazać, ponieważ osoba, od której ją otrzymałem, wydaje mi się godna zaufania.

- A więc musi pan postąpić tak, jak panu nakazuje sumienie, sir Quentin - oznajmił Cristoval, serdecznie żałując, że nie może dowiedzieć się, co to za informacja.

- I tak zrobię, don Cristoval, tak zrobię. - Sir Quentin popijał kawę. - Wie pan, pod pewnym względem ta podróż może się nawet okazać pożyteczna.

- O?

- Jest pewna dama...

- Ach. - Cristoval odchylił się do tyłu. - Sprawy sercowe, czy tak, sir Quentin?

Prawnik zawahał się, potem przytaknął.

- W samej rzeczy, don Cristoval, chociaż obawiam się, że moje akcje nie stoją w tym momencie zbyt wysoko. Spotkałem tę damę tylko raz, a informacje, które musiałem przy tej okazji przekazać, nie przypadły jej wcale do smaku. Jednak szczerze wierzę, że kiedy się znajdę w Shropshire, będę miał okazję odnowić z nią znajomość.

- Życzę panu szczęścia - półgłosem powiedział Cristoval. - A czy dama ta nosi jakieś nazwisko?

- W rzeczy samej, nosi. Preston, pani Cora Preston. W pół godziny później obydwaj mężczyźni pożegnali się przyjaźnie. Cristovalowi nie udało się uzyskać od prawnika żadnych więcej informacji. Zaczekał, aż sir Quentin wyjdzie, a potem wyjął skradziony list, by go przeczytać.

Zamek Tern ford, Shropshire. 4 grudnia 1804 Mój drogi Brockhampton,

Z wielką przyjemnością załączam tratę wystawioną na mój bank na kwotę dwóch tysięcy gwinei jako zapłatę za oddane mi usługi. Jestem pana dłużnikiem, a następane dowody wdzięczności przekażę, kiedy dama będzie już moja. Tymczasem wdzięczny byłbym, gdyby nadal wykorzystywał pan wszelkie dostępne panu środki, by zaciskać finansową pętlę wokół majątków GF.

Może być pan pewien, iż nie pożałuje pan swojej decyzji, by mi w tej sprawie okazać pomoc.

Pozostaję z wyrazami szacunku etc.

Warrender

Cristoval wpatrywał się z niedowierzaniem w delikatny papier, ozdobiony u góry błękitną herbową różą, należącą w rzeczywistości do Jacka Lincolna. Warrender pisał w sześć tygodni po śmierci Geoffreya Fairfielda, który z pewnością musiał być tym GF, o którym wspominał. Było to również na krótko po wizycie Cory u sir Quentina w sprawie pieniędzy, które złożył u niego Feliks, zanim wyjechał z Anglii. Najwyraźniej to właśnie fakt, że prawnik wyparł się wszelkiej wiedzy na ich temat, nie przypadł tej damie wcale do smaku.

Jakie to „oddane usługi” mógł mieć na myśli sir Rafe Warrender? Czy fakt, że pieniądze Feliksa ulotniły się w samą porę? A może naciski ze strony wierzycieli Geoffreya Fairfielda? Sam list niczego nie dowodził, ale wiele dawał do myślenia. Och, gdyby mógł dowiedzieć się, jaka to ważna informacja okazała się na tyle pilna, że usprawiedliwiała natychmiastowy wyjazd prawnika do zamku Temford.

Cristoval złożył list i schował go do kieszeni. Trafił na sir Quentina Brocknamptona w londyńskiej kawiarni czystym przypadkiem, a nie należał do ludzi, którzy lekceważyliby takie wskazania losu. I nagle prawnik nie był już jedyną osobą, która uznała wizytę w Shropshire za wskazaną. Bez dalszych ceregieli Cristoval wyszedł z kawiarni.

Manco pospiesznie się podniósł.

- Jedziemy zobaczyć się z capac Jackiem? - powiedział, a jego ton sugerował, że raczej oznajmia, niż pyta.

Cristoval przytaknął, nie próbując dowiedzieć się, skąd Indianin o tym wie.

RS

Rozdział 11

Kiedy w Londynie tak się sprawy miały, Jack przejechał przez Temford i przez rzekę Teme i ruszył drogą, która prowadziła na zachód do Walii. Żyzne, pagórkowate, należące do zamku Temford ziemie leżały bezpośrednio na północ od drogi. Na południu znajdował się majątek Fairfield, zasłonięty przygranicznymi drzewami. Karetka pocztowa minęła od dawna nieużywany wjazd, rozpadającą się stróżówkę z okresu Tudorów, która, jak uznano, nie nadawała się już do remontu. Napis na bramach głosił, że goście powinni udać się do następnego wejścia, około pół mili dalej.

Karetka podjechała jeszcze kawałek, las zrobił się rzadszy i między drzewami Jackowi mignęła zdumiewająca rezydencja z pruskiego muru. Natychmiast opuścił szybę i kazał się forysiowy zatrzymać. Ten poirytowany zaklął, ale posłuchał, i z godną pochwałą płynnością zahamował mocno sfatygowany podróżą pojazd na skraju drogi, przy żywopłocie, kolorowym od szkarłatnych i czarnych jagód i obłoków dzikiego klematisu.

Jack wysiadł i znalazł w żywopłocie szparę, przez którą mógł popatrzeć na dom. Podobnie jak to wcześniej robiło wielu innych, nie mógł się nadziwić, że z pozoru tak rozchwierutany budynek potrafił oprzeć się trudnej próbie czasu. A kiedy się przyglądał, zobaczył, jak jakaś kobieta w szmaragdowozielonym stroju

jedzie w kierunku lasów i znika za drzewami. Czy była to Emily, czy jej matka?

Zdjął cylinder i przeciągnął palcami po długich blond włosach, które dla wygody rozpuścił. Potem wrócił do karetki i polecił forysiowi jechać dalej. Mruknąwszy coś szorstko pod nosem, mężczyzna tupnął i ponaglił zmęczone konie.

Przy drugiej stróżówce las rósł gęsto i tworzył nieprzeniknioną ścianę, za którą zniknął zasypany liśćmi podjazd. Kiedy karetka się zatrzymała, z domu wyszedł stróż, Bradwell. Był roslym, wieprzowatym z wyglądu mężczyzną, łysiejącym, o różowej twarzy i nosie, który porównać można tylko do ryja. Przyglądał się podejrzliwie, kiedy Jack wychylał się z pojazdu i mówił:

- Nazywam się Jack Lincoln i mam list do pani Preston.
- Dostarczę go, sir - powiedział Bradwell, podchodząc do drzwi karetki.
- Zobowiązano mnie, bym dostarczył go do rąk własnych tej damy - odparł Jack, a potem dodał: - Przyjechałem właśnie z Peru.
- Peru? A gdzie to jest? Bliżej Kornwalii?

- Obawiam się, że jeszcze trochę dalej. Właściwie to na drugim końcu świata. - Jack uśmiechnął się, a potem zauważył, że w oknie na piętrze drgnęła firanka i wyrzął stamtąd jakiś chłopak. Był wysoki i dobrze zbudowany i miał szczerą, przyjazną, wiejską twarz.

Oczy Bradwella się rozszerzyły.

- Na drugim końcu świata?

- Tak jest.

- No, w takim razie...

- Myślę, że powinniście już otworzyć tę bramę. A może do waszych obowiązków należy decydowanie, kto może, a kto nie może złożyć w Fairfield Hall wizyty?

Ostrzegawczy ton wywarł pożądany skutek, Bradwell pospiesznie otworzył bramę i gestem zaprosił ich do środka. Konie znowu ruszyły z kopyta, a kiedy powóz opuścił drogę i wjechał na podjazd, opadłe liście pryskały na boki spod kół.

Jeźdźcem, którego Jack zauważył, była Emily; dojechała już na skraj polanki, gdzie zginął Geoffrey. Zobaczyła powalone drzewo, leżące wśród paproci, i jezioro, nad którym pochylał się dąb, z którego Peter tak lubił łowić ryby. Nie mogła zmusić się, by jechać dalej.

W myślach boleśnie dzwoniły jej echa przeszłości - Geoffrey się do niej uśmiechał, kochał się z nią, droczył, trzymał ją za rękę, kiedy spacerowali po ogrodach, wychwalał geniusz Bonapartego. A gdzieś głęboko przebiegły głos Rafe'a nie przestawał szeptać... trochę za wiele francuskiej krwi płynęło w żyłach pani świętej pamięci męża. W wieczór przed swoją śmiercią brał udział w jednym z karcianych przyjęć u mnie na zamku i przyłapałem go na przeglądaniu osobistych papierów Carrowby'ego. Zmusiłem go, by dokumenty odłożył na miejsce, i poprosiłem, by natychmiast opuścił zamek. Ze względu na panią i na Petera nie wszcząłem alarmu... Czy to prawda? Czy Geoffrey mógł szpiegować dla Francuzów?

Jakiś bażant bez żadnego ostrzeżenia poderwał się hałaśliwie z poszycia i przeleciał tuż przy głowie klaczy z całym furkotem i łopotem, jakiego potrafią narobić te ptaki. Klacz stanęła dęba; Emily straciła równowagę, świecące przez listowie słońce oślepiło ją. Upadła z głośnym krzykiem i tak mocno uderzyła o ziemię, że zaczęła tracić świadomość. Kapelusz potoczył się na bok i zatrzymał się dopiero wtedy, kiedy szal zaplątał się w paprocie.

Leżała na ziemi i nie była w stanie się ruszyć. Jej krótkie, złocistobrazowe włosy poruszały się lekko w delikatnych podmuchach wiatru, który leniwie

wiał nad polanką. Światło dnia zaczęło przygasać, ostatnią rzeczą, jaką zapamiętała, był migotanie czegoś małego i błyszczącego na powalonym drzewie. A potem straciła przytomność.

Samotna dereszowata klacz cwałem wypadła z lasu, przecinając drogę tuż przez karetkę Jacka. Wystraszony foryś musiał gwałtownie skręcić i przyhamować, by uniknąć zderzenia. Jacka rzuciło do przodu.

- Co do wszystkich...? - wykrzyknął, a potem otworzył drzwiczki i wyskoczył na ziemię. - Co się stało?

Podenerwowany foryś zsiadł już z prowadzącego konia i usiłował go uspokoić.

- Jakiś koń poniósł, sir. Przeleciał przez podjazd z dziesięć jardów przede mną.

- Poniósł? - powtórzył Jack, któremu natychmiast przyszła na myśl dostrzeżona w lesie amazonka.

- Tak, panie. Dereszowata klacz - z damskim siodłem - dodał.

Jack poznał ją z opisu.

- Skąd przybiegła? - zapytał ostro, wpatrując się w jesienny las i usiłując dojrzeć tam coś szmaragdowozielonego.

- Gdzieś stamtąd, sir. - Foryś pokazał ręką.

Nie zwlekając dłużej, Jack rzucił się między drzewa i szybko trafił na ślady klaczy na miękkiej ziemi. Poszedł za nimi, przystając od czasu do czasu, żeby przyłożyć dłonie do ust i zawołać „Halo?”. Ale odpowiedzi nie było. Ślady prowadziły coraz głębiej w las i kiedy się obejrzał, nie zobaczył już podjazdu ani karetki. Zawołał znowu, nasłuchując uważnie. Wciąż nic.

Ale Emily go usłyszała. Męski głos zamącił lekko jej nieświadomość. Poruszyła się. Otworzyła oczy. Miała wrażenie, że paprocie górują nad nią, a jeszcze wyżej wznosiły się drzewa, które czubami omiatały chyba samo niebo. Gdzie jestem? Co się stało? zastanawiała się.

Z daleka dochodził głos jakiegoś mężczyzny. A może z bliska? Nie potrafiła powiedzieć.

- Halo? Czy mnie pani słyszy?

- Sły... słyszę pana - wyszeptała.

- Halo?

- Jestem tutaj - powiedziała. Jej samej wydawało się, że mówi całkiem wyraźnie, ale naprawdę słowa niewiele były głośniejsze od szeptu. W końcu naprawdę powróciła do przytomności. - Tutaj! Jestem tutaj! - wykrzyknęła, z

trudem usiłując podnieść się do pozycji siedzącej. Las zawirował wokół niej i szybko zamknęła oczy.

- Proszę mi odpowiadać! - wykrzyknął mężczyzna.

- Jestem na skraju polanki, tutaj - zawołała i z ulgą zobaczyła, że ktoś spieszy do niej, mijając krzaki ostrokrzewu, na których jagody poczerwieniały już świątecznie.

Jack pokonał kilka ostatnich jardów biegiem i ukląkł przy niej na ziemi. Poznał ją natychmiast z miniaturki, chociaż ścięła włosy. Jej krucha uroda niemal dech mu zaparła; wpatrywał się w Emily, niezdolny oczu od niej oderwać. Była przepiękna, bezbronna; żadna kobieta nie miała prawa być aż tak godna pożądania. Nic dziwnego, że chciał jej dla siebie Rafe. Uświadomił sobie, że się na nią gapi, i udało mu się odnaleźć język w gębie.

- Czy... czy nic się pani nie stało?

- Chyba nie - odpowiedziała, zastanawiając się, kim on może być. Zauważyła modny krój ubrania, ale i dziwnie długie włosy. Był pełen sprzeczności, jak wiking, przebrany podczas napaści w saksoński strój, by zmylić wroga, jak korsarz, żeglujący pod nie swoją banderą. Wydał jej się fascynujący i więcej niż tylko przystojny, bo zauważyła w nim nutkę czegoś niebezpiecznego, nieznanego...

Strzepnął jej liść z policzka.

- Czy myśli pani, że mogła pani zrobić sobie krzywdę?

- Chyba nie. Tylko że bardzo mocno się uderzyłam.

- Co się stało?

- Bażant wyfrunął z poszycia tuż przed łbem mojego konia. - Jakby na potwierdzenie jej słów, ptak odezwał się gdzieś bardzo blisko ochrypłym, zgrzytliwym wołaniem, które wydawało się nie pasować do lasu. Kiedy jego głos ucichł, popatrzyła znowu na Jacka.

- Czy mogę poznać pana nazwisko, sir?

- Lincoln. Jack Lincoln, do usług, pani Fairfield. Oczy Emily pojaśniały ze zdumienia.

- Pan wie, jak się nazywam?

- Widziałem... pani portret. - Świadom był, że powoli, delikatnie oplątuje go jej urok, z każdą mijającą sekundą więząc coraz mocniej. I kto tu komu bez trudu podbije serce?

- Mój portret? - Geoffrey malował ją przy kilku okazjach i sprzedał kilka portretów, więc pan Lincoln podobiznę oglądać mógł w dowolnym miejscu. Ale co robił na jej ziemiach?

Zanim zdążyła go zapytać, odezwał się znowu.

- Czy zdoła pani utrzymać się na nogach?

Wstał i wyciągnął rękę, którą ujęła z wahaniem. Palce Jacka uspokajająco zamknęły się wokół jej dłoni, podciągnął ją delikatnie do góry. Emily zachwiała się lekko, a on natychmiast podtrzymał ją w talii. Pachnie lawendą i to do niej pasuje, pomyślał.

- Już dobrze, jestem przy pani - przemawiał do niej łagodnie.

- To niemądre... ale czuję się tak, jakbym miała nieswoje nogi.

Jack wziął ją na ręce i chciał zanieść na polankę, gdzie powalone drzewo wydawało się jakby stworzone do tego, by na nim usiąść i odpocząć. Ale kiedy Emily uświadomiła sobie, co Lincoln zamierza zrobić, ogarnęła ją nagle panika.

- Nie! Nie tam!

- Dlaczego? Co się stało? - Jack zatrzymał się i przytulił ją nieco mocniej, jakby tym gestem chciał ochronić ją przed czymś, czego się lękała.

- To tam zginął mój mąż, Geoffrey - wyszeptała.

- Proszę mi wybaczyć... nie miałem pojęcia - wyjąkał. Zapragnął przycisnąć tę kobietę do siebie ze wszystkich sił i chronić ją już zawsze. Rozejrzał się pospiesznie dookoła i zobaczył porośnięty mchem brzeg, na którym - był tego pewien - wiosną kwitły pierwiosnki. Kiedy niósł ją tam, nie mógł wprost uwierzyć, że tak absurdalna, głupio romantyczna myśl przemknęła mu przez głowę. Wystarczyło jedno spojrzenie jej niewiarygodnych orzechowych oczu, by zmienić Jacka Lincolna, poszukiwacza przygód, w Jacka Lincolna, chorego z miłości młodzika! Ale jaką rolę w życiu Emily odgrywa Rafe Warrender? zastanawiał się. Czy widzi w nim ona niegodziwca o czarnym sercu, czy może rycerza-wybawcę w lśniącej zbroi?

Emily uśmiechnęła się z wdzięcznością, kiedy Jack położył ją łagodnie na mchu, a potem popatrzyła ze smutkiem na powalone drzewo.

- Geoffrey spadł z konia na tej polance, tak samo jak dzisiaj ja, tylko że ja miałam więcej szczęścia. Może tamten wypadek też spowodował jakiś bażant; nigdy się naprawdę nie dowiemy. Po prostu znaleziono go przy tym starym drzewie. Spadając, uderzył o nie głową. - W tym momencie przyszło jej coś na myśl i popatrzyła na Jacka skonsternowana. - Jak to się stało, że na poszukiwania wyruszył właśnie pan, panie Lincoln? Jeżeli już ktoś miałby to zrobić, spodziewałabym się raczej ludzi z majątku, a nie kogoś kompletnie obcego.

- Pani klacz poniosła i przebiegła tuż przed moją karetką.

- I wybiegła na drogę? Och, nie... - Emily z miejsca zaniepokoiła się o klacz.

- Proszę się o nią nie obawiać - odpowiedział szybko Jack. - Nie byłem na drodze, kiedy to się stało, tylko na dojeździe, bo zmierzałem właśnie do dworu.

Oczy Emily rozjaśniły się z zaskoczenia.

- Do Fairfield Hall? Ale kim pan właściwie jest, sir? I co pana tu sprowadza?

- Przywiozłem list, który muszę dostarczyć.

Och, chyba nie mógł być następnym wierzycielem! Ale sformułowanie takiego wniosku narzucało się samo, ponieważ do dworu przychodziły obecnie jedynie takie listy, w których żądano spłaty tego czy innego rodzaju.

Jack zauważył lęk Emily i starał się ją uspokoić.

- Proszę nie obawiać się, by miała to być niemiła wiadomość, pani Fairfield, pani podejrzenia są jak najdalej od prawdy. List jest do pani Preston od Feliksa Reynoldsa

- Od Feliksa? - Lęk zniknął z jej oczu.

- Miałem to szczęście, że poznałem go w Peru około osiemnastu miesięcy temu i spędziłem rok w jego towarzystwie. Kiedy opuszczałem go, by wrócić do Anglii, dał mi list do pani Preston, a oprócz tego podarunek dla niej.

- Ufam, że ma się dobrze? Tyle już minęło czasu, od kiedy mama miała od niego ostatnią wiadomość, że bardzo się martwiła.

- Kiedy wyjeżdżałem z Limy, nie odzyskał jeszcze pełni sił, ale był już na dobrej drodze do wyzdrowienia.

- Czy ma pan jakieś pilne plany na najbliższe dni, panie Lincoln? A może mógłby się pan zatrzymać u nas na jakiś czas? - zapytała nagle Emily. - Mama bez najmniejszej żenady będzie wyciągała z pana wszelkie wiadomości o Feliksie, podobnie jak to robiła w przypadku dostarczyciela poprzedniego listu. Musiał upłynąć ponad miesiąc, zanim pozwoliła temu nieszczęsnemu kapitanowi uciec!

Czy naprawdę zainstalowanie się pod dachem Fairfield Hall mogło być aż takie proste? zastanawiał się Jack. Okazało się niemal zbyt proste...

- No cóż, żadne konkretne sprawy nie wymagają w tej chwili mojej obecności - odrzekł.

- Więc nalegam, by przyjął pan gościnę u nas, sir. Poza tym jestem pana dłużniczką. - Ich oczy spotkały się i Emily poczuła, że lekko się czerwieni. Zrobiło jej się nieswojo i odwróciła wzrok - Proszę mnie źle nie zrozumieć, panie Lincoln, nie mam zwyczaju zapraszać obcych ludzi w gościnę. Tylko że Feliks tak wiele dla mamy znaczy, a...

- Nie potrzebuje się pani tłumaczyć, pani Fairfield, naprawdę rozumiem. Pani matka również bardzo wiele znaczy dla Feliksa. Oczywiście, że zatrzymam się u pań na kilka dni.

Emily zastanawiała się, na ile dobrze Jack zna przeszłość Feliksa. Wystarczająco dobrze, by wiedzieć o jego dawnym romansie z jej matką? Z oczu swojego wybawiciela nic nie mogła wyczytać, chociaż... Wydało jej się, że dostrzega w nich pewne wahanie, jakby wiedział coś, o czym nie chciał mówić. Tak, mógł wiedzieć, że Feliks i mama byli kochankami.

Jack zastanawiał się, co by tu powiedzieć, żeby zakończyć milczenie, które zapadło między nimi.

- Czy czuje się pani już lepiej?

- Tak, chociaż wyznam, że trochę po tym upadku osłabłam.

- Moja karetka stoi niedaleko. Zaniosę panią.

- Nie trzeba, jestem pewna, że sobie poradzę.

- Nalegam - powiedział, spojrzeniem dając do zrozumienia, że nie będzie tolerował dalszej dyskusji.

Przez dłuższą chwilę patrzyli sobie w oczy i Emily ustąpiła.

- Jeżeli tego pan sobie życzy, sir..

- Życzę sobie.

W jednej chwili chwycił ją na rękę, a przytuliwszy do siebie, poczuł, że już nigdy jej nie chce wypuścić, a już na pewno nie chce jej przekazać w objęcia takiego gada jak Rafe Warrender. Feliks mówił, że ma przeczucie, że Emily powinna zostać panią Jackową Lincoln; teraz Jack podzielał jego przekonanie...

Emily dobrze było w jego objęciach, ponieważ po raz pierwszy do śmierci Geoffreya poczuła się bezpieczna. Rafe nie miał na nią takiego wpływu, bo chociaż obiecywał bezpieczeństwo, jego ledwo zawołane groźby wyznaczały cenę, którą powinna za nie zapłacić. Przyszły mąż nie pobudzał jej zmysłów, ale temu człowiekowi się to udało - temu podniecającemu wikingowi--korsarzowi, który chwycił ją na rękę, jakby nic nie ważyła. Po raz pierwszy od śmierci Geoffreya świadoma była siebie, swoich uczuć i potrzeb, swojego pożądania.

Rozdział 12

Kiedy karetka podjechała pod Fairfield Hall, panowało tam właśnie poruszenie: samotna klacz Emily przed chwilą przybiegła pod bramę i kilku mężczyzn już miało ruszać przeczesywać grunta w poszukiwaniu pani.

Peter popędził do stajni po swego kucyka, Cora kręciła się niespokojnie pod bramą, a mężczyźni dosiadali koni. Matka Emily miała na sobie kremową muślinową suknię i z nieprzytomnym wyrazem twarzy zwijała w palcach frędzle kremowo-brązowego szala, wyobrażając sobie straszliwy los, jaki mógł spotkać jej córkę. I nagle na dziedziniec wjechała karetka, a Cora, zobaczywszy, że Emily nic się nie stało, z ulgi załapała się łzami.

Jack szybko wysiadł z karetki i wziął Emily na ręce, by ostrożnie postawić ją na ziemi. Uśmiechnęła się z wdzięcznością i przyjęła jego ramię, by się na nim oprzeć. Cora pospiesznie podeszła do nich. Tak się martwiła o córkę, że niemal nie spojrzała na towarzyszącego jej mężczyznę.

- Emily, najdroższa! Co się stało? Kiedy twój koń wrócił bez ciebie, ja...

- Nic mi nie jest, mamó - przerwała jej uspokajająco Emily. - Jakiś bażant spłoszył klacz i spadłam, ale pan Lincoln wystąpił w roli dobrego Samarytanina.

- Pan Lincoln? - Cora popatrzyła na niego z wdzięcznością, w końcu odrywając się od córki na tyle, by zauważyć eleganckie ubranie, ale i niespodziewanie długie włosy mężczyzny. Co za intrygujący paradoks, pomyślała, kim on, u licha, może być i skąd się tu wziął, by pospieszyć Emily na ratunek?

Emily odwróciła się do stojących wokół ludzi.

- Możecie wrócić do swoich obowiązków, sami widzicie, że jestem cała i zdrowa.

Pokiwali głowami, dotknęli czapek, potem wyprowadzili konie z dziedzińca z powrotem do stajni, które znajdowały się za domem.

Emily pospiesznie przedstawiła Jacka.

- Panie Lincoln, to jest moja matka, pani Preston, dla której przywiózł pan list.

- List? - powtórzyła Cora.

- Pan Lincoln poznał w Peru Feliksa - wyjaśniła Emily.

W oczach Cory zapłonęła radość.

- Naprawdę? Och, tout vient à point à qui sait attendre! Emily się uśmiechnęła.

- Tak, wydaje się, że w tej chwili rzeczywiście wszystko przyszło do tego... a raczej do tej, która czeka.

Cora nie mogła zapanować nad sobą.

- Czy on się dobrze czuje, panie Lincoln? Proszę mi to powiedzieć.

- Kiedy się z nim żegnałem, był w trakcie rekonwalescencji, bo wcześniej zaraził się febrą, która tak często grasuje na wybrzeżu w okolicach Limy.

- Ale zdecydowanie wracał już do zdrowia? - Tak.

- Czy mogę mieć nadzieję, że otrzymał mój list? Ten, który pisałam do niego w zeszłym roku?

- Tak, i bardzo zależało mi na tym, by zapewnić panią, że dotrzymał tej... umowy, którą z panią wcześniej zawarł. - Jack nie chciał, by Cora dowiedziała się, że Feliks dopuścił go do jej wielkiej tajemnicy, więc dokładał starań, by udawać, że tak się nie stało. - Nie wiem oczywiście, czego ta umowa dotyczyła, ale Feliks polecił, bym przekazał pani, że jeżeli wina leży po czyjejs stronie, to nie po jego, tylko sir Quentina Brockhamptona.

Cora wyglądała na zadowoloną i równocześnie rozgniewaną.

- Och, tak się cieszę, że mi pan to powiedział, panie Lincoln. Obawiałam się, że mogliśmy mieć do czynienia z przypadkiem *loin des yeux*, *loin du coeur*.

- Co z oczu, to i z myśli? Nie w przypadku Feliksa, zapewniam panią. - Jack wyjął mieszek. - Życzył sobie, by to pani oddać. Obawiam się, że jego zawartość żadną miarą nie pozwoli pokryć długów, które, jak wiem, nękają Fairfield Hall, ale jest to wszystko, czym Feliks w danej chwili rozporządzał, i może pomoże choć trochę.

Cora przyjęła mieszek i rozsunęła wiązadła. Usta jej rozchyliły się, kiedy zobaczyła, jakie monety są w środku.

- Ja... ja nie znam tych monet, sir. Nie potrafię ocenić ich wartości...

- Szacuję, że gdyby je pani wszystkie wymieniła na szterlingi, otrzyma pani w przybliżeniu pięćset funtów.

Cora zwróciła błyszczące oczy na Emily.

- Och, moja droga, pozwoli nam to zaspokoić rozwścieczonych kupców z Temford i jeszcze załatwić jedną czy dwie z najbardziej pilnych spraw w banku!

Jack uświadomił sobie, że nie oddał jeszcze listu Feliksa, więc pospiesznie go wyjął.

- Byłbym zapomniał...

Cora przycisnęła list do piersi, w oczach jej zamigotały łzy.

- Panie Lincoln, nigdy pan się nie dowie, jak wiele ten list dla mnie znaczy. Już tak długo nie miałam od niego wiadomości, że zaczynałam obawiać się... Zresztą to bez znaczenia, bo wreszcie wiem, że przynajmniej jakiś czas temu miał się dobrze, a przed wieloma laty nie zmienił zdania. - Zamknęła mieszek. - Jakże bym pragnęła, by wystarczyło tych monet, żeby nie dopuścić tego wilka Warrendera do progu mojej córki, ale obawiam się, że okoliczności nam nie sprzyjają.

Emily rzuciła jej niepewne spojrzenie.

- Mamo...

- Ja widzę w nim wilka, moja droga - oświadczyła Cora buntowniczo.

- Ratunek finansowy to ratunek finansowy - odpowiedziała lapidarnie Emily.

Jack wiele wyczytał z tej wymiany zdań i upadł na duchu. Obawy Cory co do intencji Rafe'a najwyraźniej były uzasadnione, ale jak ustosunkowała się do sprawy Emily? Czy patrzyła na Rafe'a z sympatią, czy rezygnacją? Ta uwaga na temat ratunku finansowego mogła świadczyć, że niezbyt ciepło o nim myśli, ale Jack Lincoln nie powinien snuć żadnych domysłów, dopóki nie zyska pewności. Co do jednej sprawy zyskał już jednak niezachwianą pewność: Rafe Warrender odgrywał jakąś rolę w Fairfield Hall.

- Nie pozwolę - odezwała się znowu Cora - by sir Rafe i jemu podobni popsuli mi radość z listu Feliksa i jego podarunku. Prześlę wiadomość do naszego nieocenionego pana Mackaya z prośbą, by pojawił się tu przy pierwszej nadarzającej się okazji. - Popatrzyła na Jacka, czując, że powinna udzielić wyjaśnień. - Pan Mackay jest naszym bankierem w Shrewsbury i robił wszystko, co w jego mocy, żeby nam pomóc. A teraz musicie mi oboje wybaczyć, ale list Feliksa pali mnie w palce. Po prostu muszę oddalić się do swoich pokoi i go przeczytać. - I bez dalszych ceregieli pospieszyła do domu. Emily pamiętała o dobrych manierach.

- Mam nadzieję, że nie zmienił pan zdania i zatrzyma się pan u nas, panie Lincoln. Sam pan widzi, jak uszczęśliwił pan mamę.

- Nie zmieniłem zdania - zapewnił ją Jack. Emily się uśmiechnęła.

- To dobrze. Każę służbie wypakować pana rzeczy z karetki. Zaprowadzą pana do gościnnego pokoju, jak tylko go przygotują. - Zrobiła krok w kierunku domu, ale nagle dziwnie zakręciło jej się w głowie.

Instynktownie wyciągnęła dłoń w kierunku Jacka, który natychmiast chwycił ją znowu na rękę.

- Powinno się posłać po lekarza, pani Fairfield - powiedział, wnosząc ją do środka. Szczupła, ciemnowłosa walijska pokojówka Emily, Gwyneth, zbiegała właśnie po schodach. Przeraziła się, widząc, że jej panią ktoś niesie na rękach.

- Proszę pani? Och, proszę pani...! - zawołała, a jej brązowe oczy rozszerzyły się z niepokoju.

- Nic mi nie jest - obstawała przy swoim Emily, wstyd jej trochę było, że jest taka słaba.

Ale Jack miał inne zdanie na ten temat.

- Proszę nie zwracać uwagi na swoją panią - powiedział do pokojówki. - I proszę niezwłocznie posłać kogoś po lekarza.

- Tak, sir. - Gwyneth przykucnęła w ukłonie, potem chwyciła w obie dłonie szarą, wełnianą spódnicę i pospieszyła w stronę kuchni, by znaleźć kogoś, kto pojechałby do Temford.

Jack ruszył z Emily w kierunku schodów.

- Proszę mnie skierować do pani pokojów - polecił, a ona potulnie się do tego polecenia zastosowała. W minutę później kładł ją już delikatnie na wielkim łóżu z czterema słupkami i aksamitnymi zasłonami, które kiedyś dzieliła z Geoffreyem Fairfieldem. Popatrzył na nią z wysokości swego wzrostu. Leżąc na złocistej, brokatowej kapie wyglądała na tak zagubioną i samotną, że zapragnął porwać ją w ramiona i pocałunkami odpędzić od niej smutek. Pokusa, by to pragnienie zrealizować, była tak silna, że pospiesznie cofnął się o krok, jakby odsuwając się o te kilka stóp, mógł jakoś się zabezpieczyć. Posłał jej krótki uśmiech.

- Właściwie nie powinienem tu w tej sytuacji przebywać razem z panią, więc panią zostawię. Bez wątpienia Gwyneth za chwileczkę wróci.

Ale kiedy odwracał się już, by wyjść z pokoju, chwyciła go za rękę.

- Panie Lincoln...? - Tak?

Popatrzyła w jego zielone jak morze oczy.

- Dziękuję panu za wszystko, co pan dzisiaj zrobił.

- Bardzo niewiele zrobiłem, pani Fairfield.

- Tak może się panu wydawać, ale ja na to patrzę inaczej.

- Ja... - urwał, bo w tym momencie do pokoju wbiegł Peter.

- Mamo? Och, mammo! Kiedy ta klacz wróciła bez mamy...! - Chłopiec rzucił się w ramiona matki.

Jack wycofał się i delikatnie zamknął za sobą drzwi. Potem wrócił do schodów i przystanął. Dobrze się tutaj czuł, zupełnie jakby zaakceptował go

sam dom, jakby chciał, żeby Jack w nim pozostał. A przynajmniej takie miał wrażenie. Ale przecież w Fairfield Hall pojawił się po to, by spełnić daną Feliksowi obietnicę, że dołoży wszelkich starań, by uwolnić Emily od długów - oraz od Rafe'a Warrendera. W jaki sposób miał tego dokonać, wciąż jeszcze nie miał najblidszego pojęcia, zwłaszcza że wielką niewiadomą pozostawały uczucia Emily, ale przynajmniej zyskał kilka dni. Będzie mógł układać plany działania - i spędzać czas w towarzystwie Emily...

Już miał zejść na parter, gdzie właśnie wnoszono jego bagaże z karetki, kiedy przypadkiem obejrzał się na korytarz za swoimi plecami. Nie zauważył wcześniej, że tam znajdują się pokoje Cory. Drzwi były lekko uchylone. W szparze zobaczył Coreę, która siedziała na podokiennej ławie z listem Feliksa na kolanach. Patrzyła przez park w kierunku zamku Temford, rysujący się w oddali ponad pagórkami.

Leciutko się uśmiechała. Był to uśmiech znaczący, można by wręcz pomyśleć, że dzieliła z kimś jakiś sekret. Patrząc na ten uśmiech, Jack poczuł się dziwnie niepewnie.

RS

Rozdział 13

Doktor zapewnił Emily, że nie poniosła żadnego uszczerbku na zdrowiu podczas upadku z konia i że wszystko, czego jej trzeba, to odrobina odpoczynku. Jego zdaniem na pewno poczuje się wystarczająco dobrze, by zejść na dół na wieczorny posiłek, a następnego dnia zdrowa będzie jak ryba.

Kiedy doktor wyjechał, Cora tak zabiegała o to, by posiedzieć z córką i upewnić się, że nic jej nie jest, że zabawianie gościa przypadło w udziale Peterowi. Nie żeby chłopiec uważał to za ciężki obowiązek. Wręcz przeciwnie, jak tylko zorientował się, że Jack podróżował po szerokim świecie, a zwłaszcza po tajemniczym Peru, nie mógł się doczekać chwili, kiedy będzie z nim mógł spędzić trochę czasu.

Jesienny dzień zaczynał się już zmierzchać. Jack i Peter spacerowali po położonym na niższym poziomie tajemnym ogrodzie, który założono w czasach elżbietańskich. Było to miejsce pełne osobliwego spokoju, kameralne, odgrodzone od reszty świata wysokim, ceglany murem. I chociaż można tam było zajrzeć, będąc w domu, to kiedy spacerowało się po ścieżkach, świat zewnętrzny wydawał się bardzo daleki. Na ścieżkach między starannie przyszczyżonymi zimozielonymi krzewami kładły się w poprzek długie cienie, a wszechobecny jesienią zapach dymu napływał od ogniska, na którym płonęły liście, palone przez ogrodników za szklarniami, na południe od domu, za fosą.

Twarz Petera aż płonęła z zaciekawienia podróżami Jacka, a jemu chwilami wydawało się, że z oczu chłopca wygląda niespokojny duch Feliksa. Chłopiec nie przypominał ojca ani właściwie nawet matki, ale wydawał się młodocianym wcieleniem dziadka, przepełniało go to samo pragnienie wędrówek i wypraw. Jack zdawał już sobie sprawę, że ten zakątek Shropshire nigdy nie zdoła zatrzymać Petera Fairfielda, nie zdoła go nawet zatrzymać cała Anglia. Dopiero szeroki świat wystarczy komuś, kto marzy o odkryciach. Ponad wszystko jednak chłopca Emily pociągało będzie Peru, a to z powodu Inków.

Dla Petera przodkowie Manco oraz cuda, jakie zostawili po sobie, miały tak kapitalne znaczenie, że nie usiłował nawet ukrywać ogromnego rozczarowania, iż Indianin nie przyjechał do Fairfield Hall razem z Jackiem. Na samą myśl o spotkaniu kogoś, kto naprawdę pochodził od Inków, chłopca ogarniało nieopanowane podniecenie. Peter chłonał opowieści o zwieńczonych śniegiem Andach, ukrytych dolinach, zagubionych ruinach i

osobliwych rytuałach z takim zapalem, że Jack poważnie wątpił, czy tej nocy w ogóle zaśnie.

Przysiedli na jakiś czas na ławce w niewielkiej altanie, z której rozciągał się widok na ogród. Altana miała dopiero około stu lat. Zamiast dachu wznosiła się nad nią wsparta na jońskich kolumnach kopuła. Wewnątrz znajdowała się kamienna ława, która trochę przypominała niski sarkofag. Zachodzące słońce świeciło jaskrawo, a w powietrzu wyczuwało się nadchodzącą zimą.

Peter podniósł pełen nadziei wzrok na Jacka.

- Czy sądzi pan, że don Cristoval i Manco mogą tutaj przyjechać?

- Obawiam się, że nie.

- Och. - Peter ciężko, przeciągle westchnął. - A gdybym... gdybym poprosił mamę, a ona by się zgodziła, czy zaprosiłby ich pan?

Jack się uśmiechnął.

- Nie zapominaj, że ja sam przyjechałem tu tylko na kilka dni...

- Wiem, ale gdyby zatrzymał się pan na dłużej? - przerwał mu Peter.

- Nie zamierzałem się z nimi kontaktować, Peterze, ale jeżeli zatrzymam się tu na dłużej, jeżeli otrzymam jakąś wiadomość od Cristovala i jeżeli twoja matka i babka będą temu pomysłowi przychylnie, to dam ci słowo, że wystosuję takie zaproszenie.

Peter szeroko się do niego uśmiechnął.

- To byłoby cudownie! Tak bardzo chciałbym poznać Manco. Pomyśleć tylko, prawdziwy Inka...

- Indianin inkaskiego pochodzenia - poprawił go Jack

- To wystarczająco blisko - odparł Peter, nadal się uśmiechając. Przeszedł go dreszcz. - Zimno coś tutaj dziś, prawda?

- Przydałoby ci się ponczo - rzekł Jack.

- Ponczo? To coś w rodzaju peleryny, prawda?

- Tak, i do tego bardzo ciepłej. Zabrałem swoje ze sobą, gdybyś chciał je zobaczyć.

- Zobaczyć? Och, tak, proszę! Jack znowu się uśmiechnął.

- Jest twoje, Peterze. Podarunek z Peru. Chłopiec poczuł się do głębi był poruszony.

- Pan... pan to naprawdę mówi na serio?

- Oczywiście. Musisz pamiętać, że to nie inkaskie ponczo, na to jest stanowczo za nowe. Mam jednak coś, co naprawdę pochodzi od Inków. -

Jack rozwiązał fular, rozpiął koszulę i pokazał chłopcu złoty naszyjnik, którego nie przestał nosić.

Peter patrzył na naszyjnik lśnącymi oczami.

- Och, ależ to pierwszorzędne! Przyjdzie dzień, że ja też będę miał taki naszyjnik. Pojadę do Peru i znajdę skarb, na który nie trafili konkwistadorzy. A może odkryję jakieś zapomniane miasto?

Jack zadał sobie pytanie, co mogła myśleć Emily o ambicjach swojego syna.

- Jestem pewien, że twoja mama nie byłaby zachwycona, gdybyś miał odjechać tak daleko.

Peter buntowniczo wysunął do przodu dolną szczękę.

- Mamy nie będzie to obchodziło, bo niedługo poślubi sir Rafe'a.

- O? - Jack poczuł, jak serce szarpnęło mu się w piersiach. Domyślał się już, że sprawa małżeństwa wisi w powietrzu, ale kiedy usłyszał to na własne uszy...

- Babcia i ja nienawidzimy sir Rafe'a, bo jest paskudny pod każdym względem, ale mama chce tego związku. Mają się zaręczyć podczas listopadowej fety z okazji otwarcia sali zgromadzeń „Pod królewskim dębem”, a sam ślub ma się odbyć w urodziny mamy w Wigilię Bożego Narodzenia.

W Wigilię? Jack poczuł się wstrząśnięty do głębi. Dobrzy bogowie, pomyślał, zupełnie jakby wydarto mi z ramion coś najdroższego na świecie. A przecież prawie nie znał Emily Fairfield! Pierwszy raz zobaczył ją na oczy kilka godzin temu, ale już wiedział, że ją kocha. Fortuna kołem się toczy. Feliks przepowiadał, że serce Emily będzie można podbić z łatwością, a tymczasem to dotychczas niewzruszone serce Jacka Lincolna poddało się bez walki. Stał się jeńcem Emily, nieba by jej przychylił, spełnił każde pragnienie... Tylko że ona pragnęła wyjść za Rafe'a Warrendera....

- Twoja matka musi bardzo kochać sir Rafe'a, skoro gotowa jest poślubić go mimo uczuć, jakie ty i babka żywcie do niego - odezwał się.

- Nie, mama go nie kocha. Babcia powiada, że to będzie coś, co Francuzi nazywają mariage de convenance.

Jack miał ogromną ochotę zerwać się z ławki z okrzykiem triumfu! Nie kochała Rafe'a! A więc nie wszystko stracone! Ale powiedział tylko:

- Rozumiem.

Jego dosyć absurdalne poczucie zwycięstwa ulotniło się niemal natychmiast. Skoro planowane narzeczeństwo było faktem, Rafe musi złożyć

wizytę w Fairfield Hall, gdzie spotka się twarzą w twarz z niespodziewanym gościem Emily i Cory. Jack spychał dotychczas myśl o tym nieuchronnym spotkaniu na samo dno pamięci. Teraz tego pożałował. Żałował nawet, że nie przyznał się do pokrewieństwa z Rafe'em, jak tylko padło jego nazwisko. Ale w tej chwili było już za późno. Odpowiedni moment minął, a on zamieszkał pod dachem kobiety, która miała zostać lady Warrender! Będzie musiał uporać się z tym problemem, kiedy do spotkania z sir Rafe'em dojdzie, a tymczasem zajmie się złożoną Feliksowi obietnicą.

Niedługo potem wrócili z Peterem do domu, ponieważ słońce prawie już zaszło i zrobiło się zdecydowanie chłodno. Odpocząwszy trochę w przeznaczonych mu, wygodnej sypialni na trzecim piętrze, Jack przygotował się do kolacji. Zanim zszedł na dół, przyjrzał się sobie w lustrze i pomyślał, że wędrowiec, który badał ulice Cuzco i żeglował po jeziorze Titicaca, odszedł gdzieś bardzo daleko. Tego wieczoru znowu wyglądał na godnego szacunku młodego człowieka, a ponieważ długie włosy związał na karku i patrząc wprost w lustro, nie widział ich, miał przed sobą tego Jacka Lincolna, który był kiedyś jednym z najbardziej wziętych mężczyzn w Londynie.

W wieczorowym stroju musiało mu być chyba do twarzy, bo chociaż krytycznie się sobie przyglądał, czarny jedwabny surdut i białe jedwabne spodnie pochlebiały jego szczupłej, wysokiej, muskularnej sylwetce. Zgodnie z nakazem mody wieczorowy surdut był zbyt ciasny, by dało się go zapiąć, i odsłaniał białą atlasową kamizelkę oraz wykończoną koronkami koszulę. Moda nakazywała również, by surdut zwęzał się od pasa w dół, przechodząc na plecach w poły, a z przodu ukazując opięte jedwabiem biodra i uda, jak również inną, bardziej intymną część anatomii. Jack uśmiechnął się nieco ironicznie, ponieważ od powrotu do Anglii słyszał wiele wypowiedzi na temat nieskromnej mody kobiecej, ale niemal ani słowa na temat mody męskiej, która jego zdaniem była równie szokująca.

Skierował się w stronę schodów, by zejść na dół, i na górnym podeście spotkał Corę, okrytą ciemnozieloną jedwabną suknią i pięknie haftowanym szalem. Z opiętego rękawiczką nadgarstka zwisał wachlarzyk z kości słoniowej, szyję matki Emily oplatały perły. Odrobina różu nadawała ciepły odcień jej ustom, w srebrne włosy wpięła egretę. Nadal jaśniała urodą i Jack bez trudu potrafił zrozumieć, dlaczego Feliks tak ją kochał.

- Ależ pan elegancko wygląda, panie Lincoln - oznajmiła, wdzięcznie pochylając głowę.

Jack się uklonił.

- Pomimo moich, niestety tak długich, włosów? - odpowiedział z uśmiechem.

- Do twarzy panu w nich, nie ulega kwestii. - Cora bawiła się wachlarzem.

- Feliks pisze o panu w samych superlatywach.

- Czuję się tym zaszczycony, pani Preston, bo uważam, że to najwspanialszy ze znanych mi ludzi.

- Och, ja również, panie Lincoln, ja również. - Cora przerwała. - Dziwne, że słowem nie wspomniał w swoim liście o tym mieszk.

- O? - Jack spojrzał jej prosto w oczy.

- Pewnie to nie ma znaczenia. Wystarczy sam fakt, że go przysłał. Już napisałam do pana Mackaya, zalecając mu, by przyjechał tu jak najszybciej. Wyślę kogoś z tym listem z samego rana i będę spodziewała się wizyty następnego dnia. - Cora znowu się uśmiechnęła. - Czy Feliks dużo o mnie mówił, panie Lincoln? - zapytała.

- Tak, z ogromnym uczuciem i tęsknotą - odpowiedział uczciwie Jack.

- Doceniam pana szczerą, sir.

Szczerą? Przecież krążył wokół faktów na paluszkach jak tancerz w balecie!

Cora nie spuszczała z niego oczu.

- A czy wspominał o Emily? - zapytała lekko.

- Ja... - Jack z zażenowania nie wiedział, gdzie się podziać. Przeciągnął palcami po włosach. - Tak, pani Preston, mówił.

- A więc pan wie...?

- Tak - odpowiedział szybko. - Ale jeżeli obawia się pani, że z czymkolwiek się zdradzę, proszę być pewną, że pani sekret jest u mnie bezpieczny. Cora badawczo spojrzała mu w twarz.

- Wiem, że jest bezpieczny, panie Lincoln, bo Feliks nie chwaliłby tak pana, gdyby nie był pan wzorem cnót wszelkich.

- Niczym takim z pewnością nie jestem, pani Preston - odrzekł Jack z przekonaniem.

- O? - Ich oczy się spotkały. - Czy coś jest nie w porządku, panie Lincoln?

To pytanie pomogło mu się skupić.

- Hmm, absolutnie nie, pani Preston.

- Wydaje się pan nieco... Nie bardzo potrafię to sprecyzować, ale wydaje się pan, mimo wszystko... - Lekko się przy tym uśmiechała.

- Może po prostu denerwuję się czekającym mnie posiłkiem.

- Denerwuje się pan? Ależ dlaczego? - Cora wyraźnie była zaskoczona.

- Minęło już trochę czasu, od kiedy zasiadałem do stołu w towarzystwie pań.

- Sir, nie ma najmniejszej potrzeby, by się pan niepokoił - Cora postukała go lekko po ręce wachlarzem.

- Proszę mi wierzyć, że zabraknie panu czasu na to, by się denerwować, za bardzo będzie pan zajęty zaspokajaniem naszej bezgranicznej ciekawości, dotyczącej Feliksa i dalekich stron. - Położyła mu dłoń na rękawie.

- Chodźmy na dół, sir. I proszę pamiętać, vouloir, c'est pouvoir. Gdzie jest chęć, znajdzie się i sposób.

RS

Rozdział 14

Kolacja się kończyła, służba sprzątnęła obrus i podała likiery i owoce. W pokoju było ciepło od tańczącego na kominku ognia, światło świec jarzyło się na twarzach trojga współbiesiadników Jacka, a on opowiadał im o swoich podróżach po dalekich krainach.

Posiłek rozpoczął się od zupy z rukwi, potem podano witlinka i pieczeń wieprzową. Na deser było rozkosznie lekkie ciasto z konfiturą z agrestu. Skromny posiłek, ale pięknie podany i przybrany. Pomimo wyrzutów sumienia, że nie przyznał się do pokrewieństwa z Rafe'em, Jack dobrze się bawił, chociaż dręczyło go poczucie winy, kiedy odgrywał rolę idealnego gościa.

Cora i Peter niestrudzenie wypytywali go o Peru, ale Emily wydawała się nie podzielać ich zaciekawienia. Zresztą może nie do końca była to prawda, raczej z rozmysłem powstrzymywała się od okazywania zainteresowania. Jack był pewien, że przyczyną takiego stanu rzeczy jest podniecenie, ożywiające twarz Petera. Obawiała się, że jej syn, podobnie jak Feliks, opuści Anglię i nieczęsto - o ile w ogóle - będzie do niej wracał. Tak więc przysłuchiwała się rozmowie toczącej się przy stole uprzejmie, ale sama nie zadawała pytań. Miała na sobie paśową suknię z długim rękawem i diamentowe kolczyki, które połyskiwały w świetle świec. Przyglądała się rozentuzjazzowanemu Peterowi z nieuchronną bo-

leścią, jaką odczuwa kochająca matka, kiedy nagle przyszłość staje jej przed oczami wyraźniej niż dotychczas i wcale nie wydaje się upragniona.

Jack rozumiał Emily i kiedy Cora i Peter wdali się w dyskusję - a raczej sprzeczkę - na jakiej wysokości nad poziomem morza leży jezioro Titicaca - pochylił się w jej kierunku.

- Większość wędrowców wraca, pani Fairfield. Feliks należy do wyjątków, potwierdzających regułę.

Rumieniec zażenowania zabarwił policzki Emily.

- Najwyraźniej umie pan czytać w myślach, panie Lincoln.

- W tych okolicznościach to nic trudnego. Emily uśmiechnęła się nieco ironicznie.

- Żadna kobieta nie lubi słyszeć, że jest otwartą księgą.

- Nie otwartą księgą, pani Fairfield, tylko kochającą matką.

- Jeżeli Feliks ma być wyjątkiem potwierdzającym regułę, co powiedzieć o panu?

- O mnie?

- Proszę mnie poprawić, jeżeli się mylę, ale chyba spędził pan wiele lat zagranicą?

- Nie z własnej chęci opuściłem kraj - odrzekł Jack po chwili.

- O? - Emily stanęli przed oczami depreczący panu Lincolnowi po piętach, upominający się o należność wierzyteli, bo przeważnie oni właśnie byli powodem, dla którego dżentelmeni opuszczali brzegi Anglii.

I znowu Jack wyczuł, o czym Emily myśli.

- Nie dlatego byłem zmuszony wyjechać, by uchronić się przed więzieniem - powiedział z uśmiechem. - Wyjechałem, bo nie zostało tu nic, co mogłoby mnie zatrzymać. Przepelniała mnie gorycz, pani Fairfield, i chyba nadal przepelnia.

- Gorycz?

Jack znowu milczał przez chwilę. Gryzła go świadomość, że tak rażąco pominął sprawę Rafe'a.

- Oszukańczo wyzuto mnie z mego dziedzictwa. Emily była przerażona.

- To okropne. Czy nie ma nadziei, by je pan odzyskał?

- Przy obecnym stanie rzeczy, nie - odpowiedział, zastanawiając się, czy nie skorzystać z okazji i nie wyjaśnić wszystkiego.

- Kto pana oszukał?

Nazwisko Rafe'a paliło wargi Jacka, ale coś go powstrzymało.

- Och, to zbyt długa historia, pani Fairfield. Cora i Peter uzgodnili poglądy na jezioro Titicaca

i teraz przysłuchiwali się rozmowie, toczonej po drugiej stronie stołu. Emily taktownie zmieniła temat.

- Tutaj, w Shropshire, znajdujemy się trochę na peryferiach wielkich zdarzeń i najnowsze wieści docierają do nas z opóźnieniem. Proszę więc przekazać nam, co słyszał pan w Bristolu. Jestem pewna, że będzie pan miał wiele do powiedzenia. Może o wojnie w Europie?

- No cóż, powiadają, że Francuzi odnieśli walne zwycięstwo nad Austriakami...

- A, tak, pod jakąś miejscowością o nazwie Ulm, o ile się nie mylę?

Jack się uśmiechnął.

- Okazuje się, że jednak ma pani aktualne informacje, pani Fairfield.

Emily odpowiedziała mu uśmiechem.

- Dowiedziałam się tylko dlatego, że wspomniał o tym sir Rafe tuż po swoim powrocie z Londynu.

I znowu Jack powinien był wyjaśnić sprawę Rafe'a, i znowu tego nie zrobił.

- Może on być lepiej poinformowany, skoro przebywał w stolicy. Wyznam, że po Bristolu krążyły tylko niepoparte dowodami pogłoski. Do moich uszu doszła jeszcze jedna, że pod Kadyksem najprawdopodobniej odbyła się bitwa morska. Dowodził lord Nelson.

Cora westchnęła.

- Ach, lord Nelson. W sprawach marynarki nie ma równych sobie. A przecież za życie prywatne należy mu się jak najsurowsza reprimenda. Jego związek z tą wielką, niemrawą Hamilton to haniebna sprawa! - Popatrzyła na Jacka. - Porozmawiajmy o czymś ciekawym. Czy nie słyszał pan żadnych nowinek z Brighton, panie Lincoln?

Emily się roześmiała.

- Mamo, nie wyobrażam sobie, żeby akurat tego rodzaju ploteczki rozchodziły się po bristolskim porcie.

- Och, pewnie masz rację. Ciekawa jestem tylko, co pani Fitzherbert teraz nosi.

Młoda kobieta bacznie przyjrzała się matce.

- Ja wolałabym dowiedzieć się, czy ta dama zostanie naszą następną królową. Wygląda na to, że mimo wszystko księżę Walii ożenił się zarówno z nią, jak i z księżną Walii, przez co chyba stał się bigamistą. Czy tak, panie Lincoln?

- Jeżeli to prawda, to jest bigamistą - odpowiedział Jack.

Wargi Cory zadrgały.

- Mam nadzieję, że to prawda; przynajmniej pani

Fitzherbert jest damą. A Karolina Brunszwicka to jeszcze jedna wielka, niemrawa baba, całkiem jak lady Hamilton. Po prostu okropna.

Jack poczuł, że musi coś powiedzieć.

- Może i tak, pani Preston, ale z pewnością problem nie w zaletach czy wadach tych dwóch obecnych w życiu księcia dam. Powinniśmy raczej zastanawiać się nad charakterem samego księcia. Czy człowiek, który potrafi zlekceważyć pierwszą żonę, żeby wziąć sobie drugą, jest naprawdę pożądanym kandydatem na króla?

Cora się uśmiechnęła.

- Ależ panie Lincoln, czyżby chciał pan podburzać nas do buntu?

Jack parsknął śmiechem.

- Musiałem ten rewolucyjny nastrój przywieźć ze sobą z Limy.

Wargi Petera się rozchyliły.

- To w Limie jest rewolucja? - wykrztusił. Cora jęknęła.

- Och, proszę was, tylko nie zaczynajmy jeszcze o peruwiańskiej polityce! Emily się uśmiechnęła.

- Zgadzam się, mamó. Panie Lincoln, zapewne zastanawia się pan, czym będzie się pan tu mógł sobie wypełnić czas... to znaczy, kiedy akurat z całą bezwzględnością nie będziemy z pana wyciągać różnych informacji. Proszę pozwolić, że zapewnię pana, iż zaopiekujemy się panem. Nie mogę twierdzić, że nasz kalendarz towarzyski pełny jest po brzegi, ale w Noc Fajerwerków odbędzie bal w sali zgromadzeń w „Pod królewskim dębem” w Temford. Obecnych tam będzie większość miejscowych notabli i jestem pewna, że dobrze się pan będzie bawił, jeżeli zechce nam towarzyszyć. Cora odchrząknęła.

- Pan Lincoln być może będzie się dobrze bawił, ale ja z pewnością nie.

- Proszę, niech mama znowu nie zaczyna...

- Popelnisz tego wieczoru najpoważniejszy życiowy błąd! Nie tylko z wielkiego ogniska i fajerwerków zostaną same popioły, podobnie stanie się z twoim szczęściem.

Emily się zaczerwieniła.

- Mamó!

- Il n'y a que la vérité qui blesse. Jack znał ten francuski zwrot.

- Tylko prawda potrafi tak zboleć. Cora popatrzyła na niego.

- Emily zamierza zaręczyć się podczas fety z sir Rafe'em "Warrenderem, a gorszej od niego pluskwy świat i słońce nie widziało.

Emily spojrzała z wyrzutem na matkę.

- Bardzo źle mama postępuje, a jeżeli sądzi mama, że pozwolę, by rozmowa toczyła się nadal w podobnym duchu, to całkowicie się mama myli.

Cora była zła i z rozmysłem zwróciła się do Jacka.

- Panie Lincoln, gdyby przypadkiem zaszedł pan do długiej galerii, która znajduje się na najwyższym piętrze domu, znajdzie pan tam... atelier mojego świętej pamięci zięcia, przypuszczam, że tak to pomieszczenie należy nazywać. Geoffrey był dosyć utalentowanym malarzem. Znajdzie pan tam również na sztalugach niedokończony portret sir Rafe'a. Mój zięć dobrze uchwycił charakter tego wstrętnego człowieka, którego paskudne, małe oczka dowodzą wielkiej podłości ducha.

Moim zdaniem nie ma takiej nikczemności, do której nie zniżyłby się sir Rafe, chcąc coś osiągnąć. - Odchrząknęła z pewnym zmieszaniem, uświadomiwszy sobie poniewczasie, że nie wypada się tak porywczo wypowiadać do kogoś, kto jest właściwie prawie całkiem obcy. - Proszę mi wybaczyć, sir, i nie zważać na moje słowa. Emily ma go poślubić, a ja muszę robić dobrą minę do złej gry. Oboje z Peterem musimy - dodała, zerkając na drugą stronę stołu na wnuka. Chłopiec się skrzywił.

RS

Rozdział 15

Ten nocy Emily miała sen. Leżała w ramionach Geoffreya, oddając się miłości, której tak bardzo brakowało jej od śmierci męża. Pocałunki Geoffreya były gwałtowne i pełne tęsknoty, jego ciało twarde i natarczywe. Wplatała palce w gęstwą włosów męża, dając się ponieść namiętności. Nie pamiętała, by rozkosz kiedykolwiek była aż tak wielka, by stawała się tak intensywnie erotyczna i rozpustna, że Emily traciła panowanie nad sobą. Miała wrażenie, że jej ciało topnieje, z pożądania aż ją wszystko bolało. Potem przyszła radość, szaleńcza, cudowna radość, która zalała całą jej istotę. Krzyknęła i obudziła się na dźwięk własnego głosu.

Radość ulotniła się, zniknęła w ciemnościach i zostawiła po sobie uczucie pustki i zmieszania. Emily przez kilka chwil leżała oszołomiona, niepewna, gdzie jest ani co się stało, a potem zrozumiała, że był to tylko sen.

Z rozczarowania zrobiło jej się chłodno. Leżała w łóżku sama. Geoffrey odszedł na zawsze i nigdy już do niej nie wróci.

Czekając, aż emocje opadną, ukryła twarz w dłoniach, potem powoli odsunęła kołdrę i wstała, by podejść do okna. Mgła wisiała nisko nad parkiem, ale niebo było czyste, a po rozświetlonym gwiazdami firmamencie sunął rosnący księżyc. Usłyszała, jak gdzieś daleko wrzasnęła lisica, zobaczyła płomykówkę, jasną i widmową, która nurkowała w kierunku stryżku nad stajnią. Sen wciąż ją poruszał, jak słodkie, niemilkące, ledwo dosłyszalne echo. Ale coś się jej w tym echu nie zgadzało, chociaż nie potrafiła swojego wrażenia sprecyzować ani zrozumieć. Co to mogło być?

Na kominku za jej plecami ogień już przygasł, w pokoju zrobiło się chłodno i mrocznie, ale jej nadal było ciepło, bo zmysłowy sen wciąż ją zdradliwie spowijał wspomnieniami intymnych rozkoszy, których była pozbawiona. Noce były teraz takie samotne. Wiedziała, że będą takie nadal, nawet jeżeli wyjdzie za Rafe'a, ponieważ nie pożądała go tak, jak kiedyś Geoffreya, nie tęskniła za tym, by poczuć, jak obejmuje ją ramionami czy dotyka wargami jej ust.

- Och, Geoffreyu.... - wyszeptała i zamrugła powiekami, usiłując powstrzymać łzy, które często napływały jej do oczu nad ranem. I nagle zapragnęła popatrzeć znowu na portret męża. Odwróciła się, narzuciła na siebie liliowy wełniany szlafroczek, zapaliła świecę od ognia, potem wymknęła się z pokoju.

Gdyby nie kot, byłaby bezszelestnie doszła na podest, ale zwierzak wyskoczył nagle zza ciężkiej kotary, za którą czał się przy mysiej norze. Emily tak się wystraszyła, że aż cicho krzyknęła i niemal upuściła świecę, ale zaraz opanowała się i poszła dalej.

W sąsiednim pokoju leżał, nie śpiąc, Jack. Nie usłyszał kroków, dopiero ten pojedynczy krzyk Zaciekawiony natychmiast wstał i podszedł do drzwi. Uchyliwszy je, zdążył jeszcze zobaczyć, jak migocąca świeca znika z podestu i oddala się w górę po schodach. W tym momencie zaintrygowało go to jeszcze bardziej. Na górze znajdowała się długa galeria, tak powiedziała Cora. Kto mógł się tam o tej porze wybrać? Może jakiś złodziej? Zbada to, lepiej dmuchać na zimne. Był nagi, okrył się więc rdzawym szlafrokiem w tureckie wzory, który nabył w Bristolu, potem wyjął z etui w walizce mały pistolet i wyszedł z pokoju.

Emily doszła do długiej galerii. Świeca była stanowczo zbyt słaba, by to pomieszczenie oświetlić. Wiszące na ścianach podobizny wydawały się ją obserwować, kiedy kierowała się do autoportretu Geoffreya. Białe światło księżycy wpadało przez liczne okna i kraciastym wzorem kładło się na drewnianej podłodze. Rozlegały się różne dziwne odgłosy, w ścianach chrobotwały myszy, dom osiadał coraz bardziej na swoich stareńkich fundamentach, ale ona nie słyszała niczego, kiedy podnosiła w górę świecę i raz jeszcze spoglądała na przystojną twarz męża. Którego może wcale nie znała tak dobrze, jak jej się kiedyś wydawało.

Czy w tym, co mówił Rafe, mogło być coś z prawdy? Nie zwątpiłaby ani na chwilę w Geoffreya, gdyby nie to, że tak otwarcie wyrażał podziw dla sprawy Francuzów. Czy w jego podziwieniu kryło się coś więcej niż same słowa? Dlaczego tak naprawdę jeździł do zamku Temford? Niewątpliwie pociągał go hazard, ale czy towarzystwo polityków nie wydawało mu się nawet bardziej interesujące? Czy prawdziwym celem tych wizyt była zdrada? Gdyby tylko mogła poznać prawdę. Chciała wierzyć, że był niewinny, ale pozostała w niej drzazga wątpliwości, taka maleńka zadra, i oto zaczęły rościć wspomnienia, które oprócz tego były wyłącznie dobre. No, może nie co do jednego, zawsze przecież pozostawali pod presją i martwili się, skąd wziąć pieniądze, by popłacić rachunki.

Kiedy stała pod portretem, powróciło echo snu i przypomniała sobie, że mimo całej rozkoszy - większej niż kiedykolwiek - coś się jej nie zgadzało. Nie miało to nic wspólnego z ewentualną zdradą Geoffreya, tylko z czymś

kompletnie innym. Zmarszczyła brwi, próbując sprecyzować swoje domysły, ale nadal były nieuchwytnie.

Zaskrzypiały schody, Emily gwałtownie okręciła się i zobaczyła, jak sylwetka jakiegoś mężczyzny szybko wycofuje się z kręgu światła.

- Kto tam jest? - krzyknęła przestraszona.

Jack zawahał się, już prawie zamierzał pospieszenie oddalić się do swego pokoju i tak całą sprawę zakończyć, ale zrozumiał, że wystraszył Emily, wszedł na samą górę.

- To tylko ja, pani Fairfield.

- Pan Lincoln? - Emily z ulgą poznała go po głosie.

- Proszę mi wybaczyć, nie chciałem pani przestraszyć. Zobaczyłem, że ktoś wchodzi na górę ze świecą, i pomyślałem, że sprawdzę kto to, na wszelki wypadek, gdyby miał okazać się intruzem. - Światło zabłysło na jego złotym naszyjniku, kiedy przystanął u szczytu schodów.

Przerażenie Emily ustąpiło.

- Nie było żadnego intruza, sir, tylko rozpamiętująca przeszłość wdowa - powiedziała, popatrując znowu na portret. - To jest mój świętej pamięci mąż.

Jack podszedł bliżej; poczuł znowu dochodzący od Emily zapach lawendy. Był świeży i delikatny, podobnie jak i ona. Przyjrzał się bacznie podobiznie Geoffreya Fairfielda.

- Był bardzo przystojnym mężczyzną. - Tak.

- I najwyraźniej bardzo go pani kochała. Emily przytaknęła.

- Bardzo. - Jeszcze niedawno poprawiłaby Jacka, że powinien użyć czasu terazniejszego... ale to było, zanim przyjęła oświadczyny Rafe'a Warrendera. Lecz nie miłość do narzeczonego osłabiała jej uczucie dla Geoffreya, tylko wrażenie, że tkwi bezradnie w pułapce. Wrażenie to nasilało się w miarę upływu ostatnich dwunastu miesięcy. Kiedy zgodziła się na związek z Rafe'em, pułapka zatrzasnęła się szczelnie, a ona... niech ją niebo ma w opiece... winiła za to Geoffreya. Może właśnie dlatego coś się nie zgadzało w jej śnie. Nie powinna odczuwać tak wielkiej rozkoszy, bo nie była już zakochana. Uświadomiwszy to sobie, poczuła się wstrząśnięta.

W blasku świecy widać było, jak pod wpływem emocji zmieniają się jej orzechowe oczy. Jack poczuł się zaniepokojony.

- Czy coś się stało, pani Fairfield?

- Stało? Ja... - Leciutko westchnęła. - Nie, nic się nie stało, tylko jest mi smutno.

Chciał jej dotknąć, ale wydało mu się, że nagle się od niego odsunęła.

- Mama uważa, że popełniłam błąd, wychodząc za Geoffreya. Może słusznie. A może nie. Miał wiele wad, ale czy ktoś z nas jest doskonały? Ja na pewno nie.

Jack próbował zrozumieć, co może oznaczać światełko, które błysnęło w jej oczach, kiedy wpatrywała się w portret. Czy był to gniew? Rozgoryczenie? Nie, chyba ani jedno, ani drugie. Tylko wyrzut. Poczł się zażenowany, wiedział, że jest tu intruzem.

- Proszę mi wybaczyć, pani Fairfield. To jest pani dom i przyszła tu pani, by pobyć z nim sam na sam. Narzucam się pani.

Emily się uśmiechnęła.

- Trudno mi panu mieć za złe jego obecność tutaj, sir, przecież przyszedł pan sprawdzić, czy nie ma w domu nieproszonego gościa.

- A teraz, kiedy przekonałem się, że nie ma, może powinienem wrócić do łóżka. - Woń lawendy spowijała go uwodzicielskim obłoczkiem. Jej zapach nigdy wcześniej nie robił na nim wrażenia, ale u Emily stawał się nie do zniesienia podniecający.

Emily zerknęła na niego.

- Jest pan bardzo taktowny, panie Lincoln.

- Za to moje myśli dalekie są od taktu, zapewniam panią.

- Pana myśli? - Popatrzyła na niego z zaciekawieniem.

- Wiem, że to nie moja sprawa, ale nic na to nie poradzę, że dręczą mnie wątpliwości, czy będzie pani szczęśliwa w małżeństwie z wyrachowania z sir Rafe'em Warrenderem.

- Nasłuchał się pan tego, co mówiła mama, sir. I pewnie Peter też. Nie podoba im się wcale moja decyzja i aż nazbyt wyraźnie dali to do zrozumienia przy stole. - Odsunęła się. Płomyk świecy zatrzepotał w przeciągu, czarne cienie podskoczyły i skurczyły się znowu. - Nie będzie nam najgorzej z sir Rafe'em - dodała.

Jack nie ruszył się od portretu. Kogo ona próbuje przekonać? Jego? Czy samą siebie?

- Ale czy pani go kocha? - usłyszał nagle własne pytanie.

Musiał chyba trafić w czułe miejsce, bo Emily odwróciła się szybko, obronnie.

- Posuwa się pan za daleko, sir.

- Może dlatego, że niepokoję się o pani szczęście.

- Prawie mnie pan nie zna, panie Lincoln.

- Zdaję sobie z tego sprawę, ale...

- A moje szczęście to nie pana sprawa - przerwała mu cicho.

W blasku świecy widać było, jak Jack się rumieni.

- Przyznaję się do błędu - powiedział półgłosem.

- Nie chcę wydać się panu niegrzeczna albo niewdzięczna, sir, ale znamy się niecały dzień, a to za krótko, by mógł się pan spodziewać się, że... - Słowa zamarły jej na ustach i znowu spojrzała mu w oczy. - Wystarczy, że mnie pan nie zna, panie Lincoln, nie zna pan również sir Rafe'a.

Była to doskonała okazja, żeby powiedzieć jej, iż zna Rafe'a lepiej niż ktokolwiek inny. Już miał prawie na ustach to wyznanie, ale Emily przeszła na drugi koniec galerii, do stojących tam sztalug, i uniosła dymiącą świecę w górę przed niedokończonym płótnem.

- Oto sir Rafe, panie Lincoln. Proszę, niech mi pan powie, co pan myśli.

Jack podszedł do niej i popatrzył na podobiznę swego kuzyna. Po twarzy, którą tak pogardzał, przesuwały się w migotliwym świetle cienie, nadając jej niemal demoniczny wyraz. Geoffrey wydobył to, co w tym człowieku było najistotniejsze. A chociaż Jack miał przed sobą tylko szkic w oleju i ołówku, a nie człowieka z krwi i kości, Rafe wcale nie wyglądał przez to mniej prawdziwie. To był cały Rafe. Przebiegły, niegodzien zaufania intrygant. Wąż w rajskim ogrodzie. A dla Jacka Lincona ukoronowanie wszystkiego stanowił pierścień spod Agincourt. Tylko że Geoffrey nie do końca dokładnie oddał herbową różę... Ta myśl urwała się, kiedy Emily odezwała się znowu.

- Mama życzy sobie, bym czekała na jakiegoś księcia z bajki, lecz jeśli się na to zgodzę, połączę się nie z nim, a wyłącznie z bankructwem. Dwór i majątek należą się Peterowi z urodzenia, ale jedno i drugie trzeba będzie sprzedać, a na spłacenie długów nadal nam nie starczy. - Odwróciła wzrok. A nie potrafię nawet znieść myśli o ogromie wiszącego nad nami skandalu... Odetchnęła głęboko. - Na własnej skórze przekonał się pan, jak to jest, kiedy straci się należne z urodzenia dziedzictwo, zrozumie więc pan na pewno, jakie skutki pociągnęłyby za sobą ta sprzedaż dla Petera. To ze względu na niego przyjąłem sir Rafe'a. Ale jeżeli mam być szczerą, to o wielu jeszcze sprawach panu nie powiedziałam.

- A czy nie zechciałaby mi pani powiedzieć? - podsunął cicho, domyślając się, że to, czego nie powiedziała, ma równie wielkie... o ile nie większe... znaczenie, niż wszystko, o czym dotychczas wspomniała.

- Nie mogę, sir. Przyjmijmy, że istnieją nadrzędne powody, o których nie wie nawet mama. A nie mówię tu po prostu o długach. - Odstawiła świecę na pobliski parapet.

Jack wyczuł w tym intrygancką dłoń Rafe'a. Z całego serca pragnął nakłonić ją, by wyjawiała mu więcej, ale rozumiał, że temat został zamknięty. Podszedł więc do sprawy w inny sposób.

- A jeżeli pani Preston ma rację i naprawdę spotka pani prawdziwą miłość? - Oczyma duszy widział, jak Emily poddaje się tej miłości. Poczł, że jego ciało zaczyna się budzić, reagować na erotyczne obrazy, które wytwarzała wyobraźnia. Och, gdyby to jemu się poddawała, gdyby to jego pokochała...

- Jeżeli w ogóle ją napotkam, sir, stanie się tak duzo za późno, bo będę już panią Warrender. I będę za to wdzięczna losowi. - Mimo woli zerknęła na złoty, połyskujący w migotliwym świetle naszyjnik. Złoto lśniło tak bogato i promiennie na opalanej skórze Jacka. Emily była pod wrażeniem szczupłej, lecz muskularnej postaci swego gościa, jego szerokich ramion, smukłej talii, tego, jak miękko układał się rdzawy materiał w tureckie wzory na twardych konturach ciała. Nagiego, dynamicznego, podniecającego i męskiego.

- Wdzięczna może, ale zadowolona nie - powiedział półgłosem, siłą woli starając się zapanować nad lędźwiami, by go nazbyt widocznie nie zdradzały.

Oczy ich spotkały się i Emily pierwsza odwróciła wzrok

- Zauważam, że mama zyskała w panu sprzymierzeńca, sir.

- Mówię wyłącznie w swoim imieniu, pani Fairfield. Opierając się na wszystkim, co powiedziała mi pani tej nocy, ja również sędzę, że popełni pani bład, jeżeli dążyć będzie pani do tego małżeństwa. Oznacza ono pogodzenie się czymś duzo gorszym niż to, czego pani pragnie. Zaznała pani już raz miłości i w głębi serca pragnie jej pani znowu zaznać. A jak pani sama przyznała, nie znalazła jej pani u Rafe'a Warrendera.

- Jak sama przyznałam, jeszcze nie znalazłam jej u sir Rafe'a. Kiedy zostaniemy małżeństwem, kto wie, jak się sprawy potoczą? - Jej słowa zabrzmiały nieszczerze i Emily o tym wiedziała.

Sprawy potoczą się jak najgorzej, pomyślał Jack, pragnąc przekazać jej wszystko, co wiedział o drogim Ra-fe'ie. Nie miał jednak pojęcia, jak się do tego zabrać, skoro dopuścił do tego, by tyle już spraw ubrano w słowa. Cała jego działalność od chwili pojawienia się w tym domu opierała się na niedopowiedzeniach, a w tej chwili sytuacja pogorszyła się gwałtownie, po-

nieważ Emily spojrzała ponownie w stronę portretu Geoffreya i nagle z oczu jej trysnęły łzy.

- Dlaczego wszystko musi być takie skomplikowane, panie Lincoln? Dlaczego Geoffrey musiał umrzeć i mnie zostawić? Tak bardzo potrzebuję z nim znowu porozmawiać, potrzebuję, żeby mnie pocieszył... - Głos jej się załamał, opuściła głowę.

Tego już Jack nie zdołał wytrzymać. Podszedł, chwycił ją w objęcia i mocno przytulił. W pierwszej chwili odepchnęła go, ale za bardzo pragnęła pociechy. Potrzebowała męskiej siły i czułości, a Jack Lincoln reprezentował sobą i jedno, i drugie.

Czul, jak Emily dygocze w swoim szlafroczku; czuł również, jak słodko podatne jest jej ciało. Jego własne ciało zdradzało go, nie godziło się na dłuższą oziębłość. Pożądanie napinało lędźwie. Gdyby mógł się z nią teraz kochać, poczułby się jak w raju! Przymknął oczy i walczył, by opanować nabrzmiewającą męskość. Musi pomyśleć o czymś innym, czymkolwiek...

Na jedną chwilę - na jedno tylko uderzenie serca - wtuliła się w niego, kobiecość Ignąca do męskości, pragnienie do pragnienia. Taka bliskość nie pozwalała niczego ukryć, Emily przywarła bliżej, czując podniecenie Jacka. Nic na to nie mogła poradzić. Była to reakcja łaknącej, gorącokrwistej kobiety, która już od roku nie zaznała cielesnej miłości. Płonęły w niej szalone emocje, bardziej żywe i nieokiełznane niż kiedykolwiek. Pragnęła unieść usta ku jego wargom, tak bliskim, tak kusząco bliskim. Ta rozkosz... och, ta rozkosz...

I nagle zrozumiała, co się nie zgadzało w jej śnie. Mężczyzna, z którym się tak zapamiętale kochała, to nie był Geoffrey, bo on nigdy nie miał takich długich, wybielonych słońcem włosów ani oczu niebieskozielonych jak morze. Na tę myśl dech jej w piersiach zapało, wyrwała się z ramion Jacka i wybiegła z galerii.

Rozdział 16

Obudzony następnego ranka, Jack natychmiast pomyślał o Emily. Jego druga myśl dotyczyła tego samego tematu, i następna również. Emily nie schodziła mu z myśli, kiedy mył się i ubierał, i wciąż stała mu przed oczami, kiedy już całkiem gotowy przystanął, by rozejrzeć się po pokoju, zanim zejdzie na dół na śniadanie.

Pokój usytuowany był pod długą galerią w zachodnim skrzydle dworu. Robił miłe i tak staroświeckie wrażenie, że Jack nie zdziwiłby się, gdyby podłoga okazała się posypana świeżymi ziołami albo gdyby usłyszał, że ktoś śpiewa madrygał. Ściany wyłożono bogatą boazerią, a przy kamiennym kominku stał staroświecki kabinecik stołowy. Poza wszechobecnym czarnym dębem przeważał kolor złoty i biały, od malowanego wzoru na belkowanym suficie począwszy do zasłon przy oknach i przy łóżku.

Za niskimi drzwiami do sąsiedniego pokoju znajdował się wysoki, prowadzący w dół stopień, który trzeba tam było umieścić, bo dom tak bardzo osiadł przez wieki; w pokoju tym mieściła się garderoba i umywalnia. Podłoga w garderobie okazała się zdumiewająca pozioma, ale w sypialni zdecydowanie pochylała się od drzwi w kierunku okna. W konsekwencji ktoś kiedyś w przeszłości musiał po jednej stronie przedłużyć nogi wielkiego łóża z baldachimem, żeby gość, który będzie w nim spał, mógł leżeć wygodnie. Jack był za to wdzięczny, ponieważ dzięki temu udało mu się w końcu dobrze wyspać. „W końcu” było sformułowaniem odpowiednim, ponieważ po spotkaniu z Emily w długiej galerii minęło sporo czasu, zanim uspokoił się na tyle, by zasnąć.

Podszedł do wychodzącego na północ okna i wyjrzał. Poranne słońce zalewało świat, powietrze było ciepłe. W stronę domu po podjeździe podążał jakiś jeździec. Przez jedną straszliwą chwilę Jack zastanawiał się, czy to aby nie Rafe składa niezapowiedzianą wizytę, ale kiedy jeździec się zbliżył, okazało się, że jest zbyt skromnie ubrany - i ma zbyt skromnego wierzchowca - by mógł być panem zamku Temford. Jack nie myślał już o tym, kiedy wychodził z pokoju i kierował się w stronę schodów. Cora zeszła tuż przed nim, ale nie widział w tym nic nadzwyczajnego. Przechodziła właśnie przez hol do jadalni, lecz przystanąła i się odwróciła, bo z dziedzińca szybkim krokiem nadeszła służąca z listem, który właśnie przywiózł posłaniec.

- Od kogo jest ta wiadomość, Betsy? - zapytała Cora.

- To dla pani Fairfield od sir Rafe'a, madam - powiedziała dziewczyna, dygając.

- Dopilnuję, by ją dostała.

- Tak, madam. - Betsy oddała list i pospiesznie wyszła. Jak tylko służąca zniknęła, Cora rozejrzała się ostrożnie dookoła, a nie zauważywszy obecności Jacka na schodach, złamała pieczęć na liście i przeczytała go. Po czym ponownie go złożyła i wepchnęła za stanik cynamonowej, porannej sukni. Następnie chwyciła spódnicę w dłonie i przeszła do jadalni.

Jack podążył jej śladem i zdążył na moment, kiedy pozdrawiała Emily i Petera, którzy już siedzieli przy stole.

- Bonjour, mes enfants!

Peter wstając szurnął krzesłem po podłodze.

- Bonjour, grandmere - odpowiedział z całkiem chwalebny francuskim akcentem.

- Mam nadzieję, że oboje czujecie się dobrze? - pytała Cora, kiedy Jack wchodził.

Peter już miał usiąść, ale na widok Jacka znowu się pospiesznie wyprostował.

- Dzień dobry, sir - powiedział. Miał na sobie rdzawoczerwoną, krótką kurtkę, szare spodnie i wysokie buty, a jego fular był równie schludnie zawiązany jak u dorosłego.

- Dzień dobry, Peter. Panie - ukłonił się Jack. Emily przyciągała jego spojrzenie jak magnes. Jej krótkie, zlotobrazowe włosy połyskiwały w padającym od okna świetle, była schludnie ubrana w wysoko zabudowaną suknię z muślinu w białe i niebieskie paski, z szerokimi, zebranymi w nadgarstkach rękawami. Rumieniec onieśmienia zabarwiał jej policzki, unikała jego spojrzenia. Jacka również ogarnęło zażenowanie i pracowicie Zajął się usadzaniem Cory przy stole.

Żaden wiejski dwór w Anglii nie mógłby Jacka uraczyć niczym lepszym niż to śniadanie w Fairfield Hall. Jedzenie było doskonałe, porcje obfite. Cora nie wspomniała ani słowem o liście Rafe'a i w pierwszej chwili Jack sądził, że musiała o nim zapomnieć, ale potem zobaczył, jak ukradkiem poprawia złożony papier, ponieważ ją uwierał. A więc wcale nie zapomniała; po prostu nie zamierzała o nim mówić!

Ale trajkotała na każdy inny temat pod słońcem, łącznie z religią.

- Czy chadza pan do kościoła, panie Lincoln? - zapytała.

- Tak naprawdę to nie. A przynajmniej nie przez ostatnie lata. Dlaczego pani pyta?

- No cóż, dziś niedziela, więc poranne nabożeństwo jest oczywiście obowiązkowe. Na szczęście to pierwsza niedziela miesiąca, więc wielbny Johnson przyjedzie tutaj po odprawieniu nabożeństwa w Temford.

- Tutaj?

- Tak. Z dziedzińcem sąsiaduje niewielka kapliczka i tam raz na miesiąc odprawiane jest nabożeństwo. W ten sposób kapliczka nadal nam służy... nam, albo, jeżeli pan woli, tradycji. Wszyscy mieszkańcy tego domu, jak również wszyscy ludzie z majątku biorą udział w nabożeństwie. Mam nadzieję, że się pan do nas przyłączy?

- Oczywiście.

- Wspaniale. - Uwaga Cory przeniosła się co żywo na edukację Petera albo raczej jej brak. - Eh, hien, mon petit brave. Po nabożeństwie zajmę się tobą - uprzedziła, zręcznie odcinając skorupkę gotowanego jajka.

Peter nieufnie podniósł wzrok.

- Mną?

- Tak. Obijasz się tylko, młody człowieku, włóczysz się codziennie bez celu po parku, a powinieneś kontynuować naukę.

Peter nachmurzył się; przecież to nie jego wina, iż jest tutaj zamiast w Harrow!

- Postanowiłam - ciągnęła Cora niezrażona - pomóc ci w nauce, zaczynając od dzisiaj, zaraz po porannym nabożeństwie.

Emily ze zdumieniem odstawiła filiżankę.

- Mama? Co prawda mama wie bardzo dużo, ale z pewnością nie jest mama erudytką.

- Może i. nie, ale uważam, że płynnie mówię po francusku.

Peter spojrzał na nią znacząco.

- Pan Lincoln już to pewnie zauważył - powiedział sucho.

Emily spojrzała na syna, marszcząc brwi. Cora odwróciła się do Jacka i wyjaśniła:

- Dawno temu spędziłam jeden rok w Paryżu. Les jours les plus heureux de ma vie.

Emily się uśmiechnęła.

- Niewykluczone, że były najszcześniejsze dni w mamy życiu, ale nadal nie potrafię wyobrazić sobie mamy w roli nauczycielki francuskiego dla Petera. Może mama mówić bardzo płynnie, ale za bardzo jest mama roztrzepana.

- Będziesz jeszcze musiała odwołać te słowa, ma petite - powiedziała Cora cierpko. - Peter i ja zaczniemy zaraz po śniadaniu.

Peterowi bardzo zależało, żeby jakoś się od tego wykręcić.

- Ale co z babci ćwiczeniem na klawesynie? - przypomniał jej chytrze.

- Mm? Och, nie, nie w niedzielę.

Peter zrozumiał, że nie uniknie nauki, chociaż nie miał pojęcia, dlaczego w niedzielę lekcje francuskiego miałyby być czymś dopuszczalnym, a ćwiczenie na klawesynie - nie.

Emily przysłuchiwała się temu podejrzliwie. Matka coś knuła. Ale co, oto jest pytanie.

Cora zaspokoila jej ciekawość, kiedy nagle cicho krzyknęła, jakby przypomniało jej się coś ważnego.

- Ojej! Cóż za niedbalstwo z mojej strony!

- Niedbalstwo? - zapytała Emily, nieświadomie wpadając prosto w pułapkę matki.

- Będę miała lekcję z Peterem, więc nie zdołam zająć się naszym gościem. Nie możemy po porannym nabożeństwie zaniedbać pana Lincolna, moja droga, oddam go więc w twoje kompetentne ręce.

Jack poczuł się trochę niezręcznie. -Jestem pewien, że nie musicie się panie o mnie martwić, z pewnością znajdę sobie jakieś zajęcie.

- Nonsens! - oznajmiła Cora. - Emily zajmie się panem w moim zastępstwie, sir. Nie ma żadnej pilnej pracy, która by ją absorbowowała, a dobrze jej to robi, jeżeli wyjdzie na powietrze i zażyje trochę ruchu.

- Wyjdzie i zażyje ruchu? - powtórzyła Emily. - Najwyraźniej ma mama coś konkretnego na myśli.

- Tak, moja droga. Zamierzałam pojechać z panem Lincolnem i pokazać mu kaskady na rzece. Wiem, że nasza malutka rzeczka Teme nie może równać się z majestatycznymi wodospadami w Peru, ale wydaje mi się, że mimo to jest całkiem ładniutka. Chciałabym, Emily, żebyś tam pana zabrała.

Zobaczywszy, jaką minę zrobiła Emily, mając w perspektywie przejażdżkę z nim sam na sam, Jack odezwał się pospiesznie:

- Chociaż bardzo jestem wdzięczny za pani troskliwość, pani Preston, obawiam się, że nie zabrałem ze sobą stroju do konnej jazdy. Po przyjeździe do Bristolu posiadałem wyłącznie peruwiańskie ubrania, a chociaż udało mi się zdobyć dwa zestawy odzieży, ten, który mam na sobie, i ten wieczorowy, który widziałyście panie wczoraj, żaden z nich nie nadaje się do jazdy.

Cora miała odpowiedź na wszystko.

- Ależ jestem pewna, że Emily odda do pana dyspozycji ubrania Geoffreya, panie Lincoln. Był mniej więcej tego wzrostu co pan i podobnie zbudowany, a jego ubrania tylko wiszą w garderobie. Czyż nie, Emily?

Emily zmusiła się do uśmiechu.

- Tak, oczywiście - powiedziała półgłosem.

- No i widzi pan? Jak mówią we Francji, tout est bien qui fink bien, wszystko dobre, co się dobrze kończy - oznajmiła Cora, a potem odłożyła serwetkę i wstała. - Widzę, że mamy jeszcze trochę czasu przed nabożeństwem, więc Peter i ja zaczniemy od razu. Chodź, Peter. Musisz dołożyć jeszcze wielu starań, żeby opanować czasowniki. Twoja odmiana jest po prostu okropna. Nie potrafię sobie wyobrazić, kto może uczyć francuskiego w Harrow, ale wątpię, czy kiedykolwiek był po drugiej stronie Kanału. - Wyprowadziła swego niechętnego ucznia, nadal słowem nie zająkawszy się o wiadomości od Rafe'a.

Jack i Emily zostali sami. Zegar szafowy tykał w ciszy, ogień na kominku strzelał płomieniami, ale nie wytrzymał porównania z żarem w sercu Jacka. Wystarczyło, że spojrzał na Emily, a już budziło się w nim pożądanie, więc nie ośmielał się na nią patrzeć. Błądził wzrokiem to tu, to tam, to jeszcze gdzie indziej, byle nie w jej kierunku; a w całym pokoju nie znalazłby niczego, czym tak bardzo pragnąłby nasycić swoje oczy.

Myślom Emily również daleko było do obowiązującej je niewinności. Nie mogła przestać myśleć o gościu i co chwila rzucała ukradkowe spojrzenie na drugą stronę stołu. Tego ranka Jack nie związał wyjaśniających od słońca włosów, a ona zachwycała się tym, jak opadały na ramiona, lekko się podwijając, takie jasne i złote. No i te oczy... och, te jego oczy. Miały kolor letniego morza i były równie kuszące. Jej ukradkowe spojrzenie przesunęło się niżej, na ciało Lincolna, które teraz tak przyzwoicie okrywał jasnoszary surdut i kremowe spodnie. Pamiętała noc. Nie miał wtedy na sobie nic poza cienkim, rdzawym szlafrokiem w tureckie wzory, przez który była w stanie wyczuć wszystko to, czego absolutnie nie powinna była wyczuwać.

Rozdygotane sekundy mijały jedna za drugą i nagle oboje równocześnie popatrzyli na siebie i się odezwali:

- Panie Lincoln, z pewnością...

- Pani Fairfield, nie ma potrzeby...

Oboje urwali zakłopotani, a potem jemu udało się uśmiechnąć i ustąpił jej przez grzeczność.

- Panie mają pierwszeństwo, pani Fairfield.

- Ja... chciałam właśnie powiedzieć, że na pewno wcale nie pragnie pan oglądać tych kaskad. Mama miała rację, mówiąc, że przekona się pan, iż to po prostu błahostka w porównaniu z kataraktami, które musiał widzieć pan w Andach.

Siedzący po drugiej stronie stołu Jack patrzył jej prosto w oczy.

- Wręcz przeciwnie, pani Fairfield, cieszę się, że będę mógł zobaczyć, co ma do zaproponowania państwa rzeka w Shropshire. Chyba że wolałaby pani nie jechać, oczywiście.

- Dobrze mi to zrobi, jak znowu się przejadę, panie Lincoln, zwłaszcza po wczorajszym upadku. Powiadają, że należy wrócić na siodło jak najszybciej albo może człowiekowi grozić, że straci odwagę. - Odchrząknęła cichutko i zaczęła składać serwetkę.

Jack natychmiast podniósł się i obszedł stół, by odsunąć jej krzesło. Emily wstała i podziękowała mu. Ich dłonie przelotnie się zetknęły i Emily cofnęła swoją, jakby to dotknięcie ją sparzyło. Jacka spowiła znowu woń lawendy, oczarowując go jeszcze bardziej. Tak łatwo byłoby po prostu wyciągnąć rękę i przytulić ją znowu do siebie, znaleźć usta...

Emily wyczuła napięcie w atmosferze, przypominające tę zapierającą dech w piersi chwilę pomiędzy błyskawicą z grzmotem. Wydawało się, że sam czas się zawahał. Przed oczami zamigotały jej obrazy - Jack niesie ją w ramionach, kocha się z nią w jej śnie, obejmuje ją w długiej galerii. Jakoś zdołała wyszeptać, że spotka się z nim na dziedzińcu po porannym nabożeństwie, i pospiesznie opuściła pokój.

Ale zamykając za sobą drzwi, zdawała sobie sprawę, jak niebezpiecznie urzekające i pełne erotyzmu były emocje, które nią w tej chwili zawładnęły. Z łatwością mogła odwołać przejażdżkę; a skoro czuła się tak, jak się czuła, powinna ją odwołać. Tymczasem pozwalala, by podniecenie niesłychanie męskim Jackiem Lincolnem niosło ją jak fala. A to podniecenie było dla niej zakazane, skoro oddała rękę Rafe'owi.

Zaczerpnęła głęboko powietrza, by się opanować.

- To do niczego dobrego nie doprowadzi, Emily Fairfield - szepnęła. - Jeżeli dalej będziesz tak postępowała, pomyśli, że nikogo na świecie nie da się podbić z taką łatwością jak ciebie! - Ruszyła w kierunku schodów, ale mijając stół w holu, zauważyła, że na małej, srebrnej tacy leży list, który ktoś dostarczył, chociaż była niedziela. Poznała znajome już teraz pismo sir Quentina Brockhamptona, który występował w imieniu lorda Fitchetta, jednego z najbardziej natarczywych i niecierpliwych wierzycieli Fairfield

Hall. Przygnębiona złamała pieczęć i przeczytała pismo. List powiadał ją, że albo zapłaci siedemset pięćdziesiąt gwinei, które winna była jego lordowskiej mości, albo - z żalem oczywiście - podjęte zostaną kroki sądowe.

Zdrowy rozsądek napłynął zimną falą i otrzeźwił ją, obejrzała się znowu na drzwi do jadalni. Zbyt szybko życie przypomniało jej o długach i odpowiedzialności. Musi twardą ręką trzymać swoje emocje na wodzy - i pilnować się, by nie dopuszczać Jacka Lincolna do siebie.

RS

Rozdział 17

Sir Quentin Brockhampton, autor niemiłej wiadomości, którą właśnie otrzymała Emily, niemal że ukończył już swoją podróż z Londynu. Tak go wytrzęsło przez noc na angielskich gościńcach, że, zanim powóz wjechał na rynek w Temford, wyczerpany prawnik zapadł w niespokojny sen. Leżał skulony w swoim najcieplejszym, długim do kostek płaszczu, ramiona owinął sobie szalem, kolana okrył kocem, a kiedy kiwał się w rytm ruchów pojazdu, cylinder zjechał mu na nos.

Jak zwykle w niedzielny poranek na rynku żywej duszy prawie nie było. Dwie pierzeje zajmowały domy, sklepy i kościół Wszystkich Świętych. Przy trzeciej pierzei też stały sklepy, domy i gospoda „Pod królewskim dębem”, duża, świeżo pobielona, wysoka na trzy piętra, z dwuspadowym dachem i centralną, łukowato sklepioną bramą, która prowadziła na obszerny dziedziniec. Na tyłach tego dziedzińca znajdował się całkowicie nowy budynek z salą zgromadzeń, gdzie miało odbyć od dawna oczekiwane spotkanie w Noc Fajerwerków.

Czwartą pierzeję rynku tworzył wysoki, gęsty żywopłot z cisów, z wielką, ozdobioną herbami bramą, za którą widać było średniowieczny, wspaniały zamek. Warownia zwolenników Yorku z okresu wojny dwóch róz stała się teraz przyjemną i dużo piękniejszą rezydencją, a biała róża Yorku ustąpiła miejsca niebieskiej róży, którą sir Rafe Warrender ukradł swemu krewniakowi.

Powóz poturkotał w kierunku bram zamku, które pozostały zamknięte i zdecydowanie zagraadzały mu drogę, ponieważ odźwierny nie wpuszczał nikogo przed godziną, o której sir Rafe zwykł jadać śniadanie. Sir Quentin wzdrygnął się i obudził, kiedy pojazd zakołysał się i przystanął, a stangret wykrzyczał, kto przyjechał do zamku z wizytą. Prawnikowi śniło się właśnie, że postawiono go przed sądem w Old Bailey za przestępstwo, polegające na zjedzeniu szynki, i że grozi mu kara śmierci. Na ławie przysięgłych zasiadały zwierzęta hodowlane w strojach dżentelmenów, a przewodniczącym ławników był stary, łaciaty wieprz rasy pstrej, z bardzo podłym i mściwym wyrazem w małych oczkach.

Sir Quentin wyprostował się na siedzeniu powozu i wyjął chustkę, by wytrzeć kropelki potu, które wystąpiły mu na czoło. Dobry Boże na niebiesiech, przysiągł w myśli, już w życiu nie tknę szynki! Ani bekonu! Uświadomił sobie, że na zewnątrz ktoś coś mówi, i opuścił szybę.

- Co się dzieje? - zapytał. Stangret pochylił się ku niemu.

- Ten człowiek twierdzi, że nie wolno mu tak wcześniej nikogo wpuszczać, sir - wyjaśnił.

Sir Quentin przeniósł spojrzenie na odźwiernego, który na wszelki wypadek zdjął kapelusz, ale nawet palcem nie kiwnął, by otworzyć bramy. Był chudym, cheralawym mężczyzną z cofniętą brodą, a mimo to minę miał bardzo zdecydowaną. Sir Quentinowi zrobiło się zimno, poczuł się zeszywniały, głodny, spragniony i tak rozeźlony, że wyciągnął z głębin płaszcza pistolet i skierował go na odźwiernego.

- Słuchajcie, człowieku - warknął - mam pilny interes do sir Rafe'a. Otwórzcie natychmiast te bramy albo niech mnie diabli, jeżeli wam nie palnę między oczy!

Odźwiernemu szczęka opadła i nawet stangret sir Quentina wytrzeszczył oczy, ale bramy w jednej chwili stanęły otworem i powóz mógł wjechać do środka. Koła zazgrzytały na skrupulatnie zagrabionym żwirze podjazdu, a konie niechętnie ruszyły znowu klusem, parszając i rzucając głowami. Po trawnikach przechadzały się wrzaskliwe pawie, a kiedy powóz podjeżdżał do barbakanu, z obrośniętych bluszczem parapetów zerwało się stadko gołębi. Fosa dawno już została zasypana, a most zastąpiono wysypanym żwirem placykiem, gdzie można było zawracać konie, ponieważ osobliwy układ zamku powodował, że na wewnętrzny dziedziniec powozy mogły wjeżdżać tylko z największym trudem. Tak więc sir Quentin wysiadł pod murami w chłodnym cieniu groźnie wyglądającej wartowni.

Rafe był właśnie w połowie śniadania. Siedział w niewielkim pokoju, sąsiadującym z ogromną salą baronów. Miał na sobie szkarłatny, pikowany, jedwabny szlafrok z dużym szalowym kołnierzem, obszytym czarnym futrem. Kiedy poinformowano go, że przyjechał ktoś z wizytą, zmarszczył w pierwszej chwili brwi, ale gdy poznał nazwisko gościa, jego irytacja zmieniła się w niepokój.

- Sir Quentin Brockhampton? Proszę go natychmiast wprowadzić - polecił, odrzucając na bok serwetkę i wstając, by wyjść do wielkiej sali, w której każdy dźwięk budził echa, a chłodnego powietrza nie był w stanie ogrzać nawet buzujący na dwóch kominkach ogień. Wysoko pod sklepieniem wykrzywiały się spoglądające z belki wspornikowej dachu gargulce, a stojące pod ścianami liczne zbroje wyglądały tak, jakby koniecznie chciały coś podsłuchać.

Kroki sir Quentina głośno dudniły, kiedy spieszenie podchodził do Rafe'a.

- Ach, Warrender, uspokoiłem się, zastawszy pana w domu.

- A gdzie indziej mógłbym być o tej nieprzyzwoicie wczesnej godzinie? - mruknął Rafe dosyć opryskliwie i odwrócił się, by zasiąść znowu do posiłku.

- Właśnie jem śniadanie, najlepiej będzie, jak się pan do mnie przyłączy.

- Co? A, chętnie... - Sir Quentin pospieszył za nim.

- Czy jest pan głodny? - zapytał Rafe, gestem zapraszając prawnika, by usiadł, a potem zajmując swój fotel. Sir Quentin robił wrażenie trochę rozkojarzonego.

- Tak... tak, cholernie głodny. Rafe strzelił palcami na lokaja.

- Trochę wszystkiego dla sir Quentina.

- Sir. - Lokaj ukłonił się i podszedł do kredensu. Stały tam jeden obok drugiego przykryte srebrnymi pokrywami półmiski. Stanowczo jest ich dla jednego człowieka za wiele, pomyślał sir Quentin.

Rafe pokazał ręką na kawę i tosty.

- Proszę się tymczasem częstować, mój drogi. Cóż to za czort pana tak nagle tu sprowadził?

- Sprowadziły mnie właściwie dwie sprawy. Wczoraj miałem okazję zajrzeć do mojego klubu przy Pall Mail. Jednym z jego członków jest kapitan Gustavus, który dowodzi statkiem handlowym z Limy, „Stralsundem”.

- Mam nadzieję, że to do czegoś prowadzi, mój drogi panie? - zamruczał ze znużeniem Rafe, kontynuując spożywanie kiełbasek, bekonu i jajecznicy.

- Hmm, tak. - Sir Quentin zamilkł, bo właśnie lokaj stawiał przed nim czubaty talerz jedzenia. - Dobry Boże, pan to wszystko zwykle sam zjada? - zapytał.

- Mm? Tak się składa.

Lokaj wycofał się z pokoju i zamknął za sobą drzwi. Sir Quentin przyglądał się talerzowi; na samym czubku całego stosu jedzenia leżał płat przerośniętego tłuszczkiem bekonu. Wspomnienie przewodniczącego ławy przysięgłych w przykry sposób nie dawało prawnikowi spokoju i wiedział, że nie zdoła przełknąć ani bekonu, ani wieprzowych kiełbasek, ani przepysznej kaszanki. Wzdragał się nawet przed cynaderkami, bo mogły pochodzić od świni! Chociaż tak głodny, będzie się musiał zadowolić jajkami, grzybami i przypiekanym chlebem.

- No, niechże się pan trochę pospieszy i powie to, co ma pan do powiedzenia - poganiał go niecierpliwie Rafe.

- Co? A. Widzi pan, kiedy uświadomiłem sobie, że Gustavus wraca właśnie z Peru, zapytałem go mimochodem, czy nie obliły mu się o uszy jakieś wiadomości o Feliksie Reynoldsie. Och, wiem, że Ameryka Południowa jest przeogromna i szansa, żeby...

- A on coś wiedział? - przerwał mu Rafe.

- Tak się składa, że wiedział. A przynajmniej słyszało o jakimś Feliksie Reynoldsie, chociaż tylko z trzecich ust, od zaprzyjaźnionego peruwiańskiego lekarza. A ponieważ raczej nie wierzę, żeby w Południowej Ameryce miał być więcej niż jeden Feliks Reynolds, mogę tylko wyrazić przekonanie, że jest to ten Feliks Reynolds. Tak czy owak lekarz poinformował kapitana, że Reynolds po swojej ostatniej chorobie już nie dojdzie do siebie.

- Nie dojdzie do siebie? - Rafe powoli odłożył nóż i widelec, a potem nerwowo wsunął dłoń do kieszeni szlafroka, gdzie spoczywał kwarcowy kamyk.

- Tak. Nalegałem, by Gustavus podał mi szczegóły, i dowiedziałem się, że, jak się zdaje, lekarz był absolutnie pewien swego. Najwyraźniej Reynolds nie życzył sobie, by jego przyjaciele martwili się tym faktem, i udawał, że powoli dochodzi do zdrowia. Ale Gustavus nie wątpił, że w międzyczasie stary musiał już umrzeć.

Oczy Rafe'a zaczęły lśnić, wyjął dłoń z kieszeni.

- A co jeszcze miał do powiedzenia pana elokwentny kapitan?

- O Reynoldsie? Nic.

- Ale nie miał cienia wątpliwości co do faktów, o których mówił?

- Nie mógłby już bardziej być pewien. Rafe odetchnął z satysfakcją.

- Tak więc musimy tylko czekać na oficjalne zawiadomienie? - Tak.

W głosie Rafe'a pojawiła się nutka niepewności.

- Na Boga, Brockhampton, jeżeli pomylił się pan w tej sprawie choć trochę...

- Nie pomyliłem się. Do stu czartów, Warrender, jak tylko zwąchałem, kto kupił majątek St. Lawrence'a, natychmiast zdecydowałem się pojechać do Bath.

Majątek St. Lawrence'a było to ogromne dziedzictwo, które po bezpotomnej śmierci ostatniego hrabiego St. Lawrence pojawiło się na rynku. Wystawiono je na sprzedaż i transakcja ta była przedmiotem wielkiego zainteresowania jak kraj długi i szeroki, dopóki nie wszedł w jego

posiadanie tajemniczy nabywca. Nazwisko nowego właściciela nigdy nie zostało podane do wiadomości publicznej.

- Ten głupi prawnik nie miał pojęcia, kim jestem - ciągnął sir Quentin - i zostawił mnie w pokoju samego. Przeszukałem jego dokumenty i znalazłem akty własności. Jeszcze kilka pytań tu i tam i wkrótce prawda wyszła na jaw. Prawniki z Bath zajmowali się całą sprawą sprzedaży majątku St. Lawrence'a i, jak pan wie, nadał jej możliwie szeroki rozgłos. Cena wywoławcza była bardzo wysoka i tych kilku potencjalnych nabywców, którzy okazali zainteresowanie, szybko się zniechęciło. Już wydawało się, że wykonawcy będą musieli obniżyć cenę, ale wtedy przyszedł z Caracas list od Reynoldsa, który tam właśnie zobaczył ogłoszenie o sprzedaży. Kupił wszystko za cenę wywoławczą. Ot tak. - Tu sir Quentin strzelił palcami.

- I ta informacja się nie rozeszła?

- Nie. Do moich uszu doszła przez czysty przypadek... podsłuchałem, jak ktoś się komuś zwierzał w klubie. Niech się pan odpręży, Warrender, bo nie ma wątpliwości, że Feliks Reynolds jest... no, powiedzmy, był, jeżeli nie żyje... niesłychanie zamożnym człowiekiem. Nie ma żadnych majoratów, żadnych innych pretendentów ani żadnych tak częstych, kłopotliwych przeszkód prawnych. Na dodatek wiemy już, że Reynolds przyznaje się, iż jest ojcem Emily Fairfield, bo wszystko to napisał w liście, który zostawił u mnie razem z pieniędzmi. Nie był oczywiście wtedy majątny, ale z pewnością wzbogacił się w następnych latach. Drogie kamienie z Brazylii i złoto z Peru, coś z tych rzeczy. Niezależnie więc od tego, czy pana przyszła żona pochodzi z prawego czy nieprawego łoża, jest bogatą dziedziczką.

- A do tego jest piękna. Czy istniała kiedyś bardziej godna pożądaniam narzeczona? - zamruczał Rafe.

- Spodziewam się, że przygotowania do ślubu nie wymkną się panu spod kontroli? Ja ze swej strony dochowuję umowy. Powinna była już dostać następny list ode mnie. Tym razem siedemset pięćdziesiąt gwinei. Nie pamiętam, komu miała je być winna. Chyba lordowi Fitchettowi.

- Fitchettowi? Przypuszczam, że równie dobrze się nadaje, jak każdy inny - odpowiedział Rafe. - A co do umowy, może być pan pewien, że ja również robię, co do mnie należy. Mamy się oficjalnie zaręczyć pojutrze, w Noc Fajerwerków. Podczas otwarcia sali „Pod królewskim dębem” przy rynku.

- Rozumiem. A sam ślub?

- W Wigilię.

- Hmm. Czy nie może go pan przyspieszyć? Rafe spojrzał na niego bez zrozumienia.

- Przyspieszyć? Po co? Wigilia jest za niecałe dwa miesiące.

- Bo jeżeli Reynolds stał już u progu śmierci, kiedy „Stralsund” odpływał z Peru, następny statek może przywieźć akt zgonu, który zostanie przekazany prosto w ręce tego idioty w Bath, a on natychmiast uruchomi procedurę związaną z wdrażaniem ostatniej woli i testamentu. Podejrzewam poważnie, że jedno i drugie zostało już napisane i przygotowane! Niech się pan zastanowi. Jak tylko Emily Fairfield uświadomi sobie, że jest bogata, nie będzie już potrzebowała korzystać z pana usłużnego mieszka, prawda? I wyobrażam sobie, że zacznie domagać się, by udowodnił pan słuszność swego rzuconego na jej świętej pamięci męża oskarżenia o szpiegostwo. Zupełnie inaczej przedstawia się sprawa, kiedy trzeba stawiać czoło wybuchowi skandalu, będąc w nędzy, a inaczej, kiedy robi się to z wysokiej pozycji osoby ogromnie zamożnej. Jeżeli chce pan mieć i ją, i jej majątek, najlepiej się będzie pospieszyć.

Rafe przyglądał się prawnikowi z namysłem.

- Może i ma pan rację - zamruczał.

- Mam. Ale proszę słuchać, bo muszę panu powiedzieć coś jeszcze...

- Mówił pan, że to wszystko, co przekazał panu Gustavus! - przerwał ostro Rafe.

- Na temat Reynoldsa, tak. - Sir Quentin popatrzył na swego rozmówcę. - Kiedy gawędziłem sobie z Gustavusem, napomknął on również o pewnym pasażerze, który przyplłynął do Anglii na „Stralsundzie”. Nazwiskiem Jack Lincoln.

Rafe wpatrywał się w prawnika przez chwilę szeroko otwartymi oczami, potem potrząsnął głową.

- Przyznaję, że nie jest to bardzo popularne nazwisko, ale nie jest również całkiem niepopularne.

- Poprosiłem Gustavusa, by mi go opisał. To jest pana kuzyn, bez wątpienia. Zaokrętował się na „Stralsund” w Limie razem z dwoma towarzyszami. Nie wiem, kim oni są, ale to nieważne, ponieważ zaniepokoiła mnie obecność Lincoln w peruwiańskiej stolicy. Czy to naprawdę może być zbieg okoliczności, że on i Reynolds przebywali tam w tym samym czasie?

- Do jasnej cholery, Lima jest stolicą, a chociaż może nie dorównuje wielkością Londynowi, dwaj przebywający tam Anglicy nie musieli wcale

trafić na siebie! Zresztą mogli się nawet zaznajomić, a i tak nie zrobiłoby to moim zdaniem żadnej różnicy. Reynolds nie wiedział, że mam zakusy na jego córkę, więc nawet gdyby Lincoln, użalając się nad sobą, zapoznał go ze swą smętną opowieścią, na nic by to według mnie nie miało wpływu.

Sir Quentin przesuwając widelcem jedzenie po talerzu.

- Ale oni obydwaj znają mnie, Warrender.

- No i co z tego? To wciąż nie zmienia naszych szans. Słuchaj pan, to, że Lincoln wrócił do Anglii, może nie sprawiać mi przyjemności, ale raczej nie przypuszczam, by miał tu przydreptać, chcąc się ze mną ponownie zmierzyć. Jak również w żaden sposób nie mógł dowiedzieć się o moich na razie luźnych związkach z Reynoldsem poprzez Emily Fairfield. Niech się pan przestanie martwić Lincolnem. Zwyczajny zbieg okoliczności, nic innego.

Sir Quentin nie był taki pewien. Ciągłe nękały go obawy.

- Niech no pan posłucha, Warrender, wiem, że jest pan zdania, że martwię się bezpodstawnie, ale z naciskiem radzę panu, by dołożył pan wszelkich starań i przekonał swą przyszłą żonę, by przyspieszyć ślub. Im szybciej zostanie pan jej mężem, tym lepiej. Rafe skinął głową.

- Taki mam zamiar, ale obawiam się, że ona uparła się czekać do Wigilii. Bo wtedy ma urodziny. - Te ostatnie słowa wypowiedział, przedrzeźniając płaczliwy, kobiecy głos.

- W obecnej chwili pani Fairfield nie może pozwolić sobie na stawianie warunków. Do cholery, człowieku, potrzebuje tego związku koniecznie, jeżeli ma się uchronić przed więzieniem! Niech jej pan postawi ultimatum! Natychmiastowy ślub albo cała sprawa przepada.

- Łatwo zrozumieć, dlaczego jest pan ulubieńcem płci pięknej - zamruczał chłodno Rafe.

Sir Quentin się zaczerwienił.

- Po prostu jestem praktyczny.

- Tak, sędzę, że ten aspekt sprawy może pan zostawić mnie. Chcę się do damy przymilić i ściągnąć ją do swego łóża, a nie doprowadzić do tego, by z wrzaskiem uciekła do najbliższego sanktuarium. - Rafe się uśmiechnął. - Niechże się pan odpręży, mój drogi, bo nie brak mi subtelności, kiedy w grę wchodzi sprawy miłosne.

- Mam nadzieję, że się pan nie myli.

Rafe poczęstował się następną grzanką, którą obficie posmarował masłem, a potem grubo marmoladą.

- Za wiele się pan martwi, Brockhampton. Wszystko się cudownie ułoży, zobaczy pan. Przypuszczam, że na jakiś czas chciałby się pan tu zatrzymać z powodu pewnej damy?

Sir Quentin oblał się rumieńcem.

- Z radością powitałbym możliwość przedstawienia się jej w lepszym świetle.

- Dziwaczna sytuacja, musi się pan zgodzić. Pan wzdycha do matki, podczas gdy ja pożądam córki.

- Obawiam się, że Cora Preston ma o mnie raczej złe zdanie. Widziałem w jej oczach powątpiewanie, kiedy mówiłem, że Feliks Reynolds nie powierzył mi żadnych pieniędzy.

- Powątpiewanie tak, ale nie pewność, a to oznacza, że zastanawia się również nad samym Reynoldsem. Niech więc pan jeszcze nie rezygnuje, przyjacielu. Tylko odważni zdobywają serca pięknych pań.

- Hmm.

- Każę przygotować dla pana pokój gościnny. - Rafe podniósł się z fotela.

- No, chwilowo skończyłem; muszę przebrać się przed wyjazdem do Fairfield. Wysłałem wcześniej wiadomość, że złożę tam dziś rano wizytę.

- Przydałoby mi się porządnie wyspać. Nawet na siniakach ponabijałem sobie siniaki podczas tej sakramenckiej podróży - narzekał sir Quentin.

Rafe przystanął.

- Mam pomysł. Wspominałem panu o listopadowej fecie „Pod królewskim dębem”. No cóż, będzie pan moim gościem.

- Nie znoszę wiejskich zgromadzeń! Rafe rozłożył ręce.

- Czy chce pan wkraść się w łaski Cory Preston i zyskać jej względy, czy nie?

- Chcę.

- No to niechże pan ze swej strony również okaże trochę względów, przecież ona ubóstwia wszelkiego rodzaju okazje towarzyskie.

Rozdział 18

Kiedy Emily i Jack odjeżdżali z Fairfield Hall po porannym nabożeństwie, jesienne liście grubą warstwą pokrywały porośnięte lasem zbocze. Skierowali się na wschód przez otwarte tereny parkowe, ku wąskiej, krętej dolinie rzeki Teme, gdzie konie musiały ostrożnie stawiać kopyta.

Ruszyli w górę rzeki po obrośniętej paprociami ścieżce. Pomiedzy drzewami niósł się miły szum płynącej tuż obok wody, powietrze było rześkie i przyjemnie się nim oddychało. Wszędzie wokół nich las płonął ognistymi kolorami jesieni, a tu i tam widać było ciemnozielone ostrokrzewy czy inne zimozielone drzewa. Wiał lekki wiaterek, a kiedy słońce ukosem przeświecało przez gałęzie, ziemię cętkowały liściaste cienie. W dolinie przenikliwymi głosami odzywały się ptaki, a z obrzeży parku, który zostawili już za sobą, dochodziły ochryple krzyki bażantów.

Emily nie mogła się powstrzymać i od czasu do czasu zerknęła na Jacka, który jechał obok niej na gniadoszu jej świętej pamięci męża. Miał na sobie fioletowy surdut Geoffreya i jego skórzane spodnie, ale mimo to jakoś nie przywodził pani Fairfield na myśl mężczyzny, którego utraciła. Może powodem były niebieskie oczy Jacka i długie, jasne pasma włosów, które stanowiły tak kompletne przeciwieństwo ciemnych oczu i krótko przyciętych, ciemnych włosów Geoffreya. Poza tym Jack jeździł konno tak, jakby się urodził w siodle, i czuł się swobodnie na każdym wierzchowcu, którego dosiadł.

Widziała, jak zgrabnie poddaje się ruchom gniadosza, a potem wróciła pamięcią do ostatniej nocy i tego, jak jego szczupłe, ale muskularne ciało na nią zareagowało... Nie, nie wolno jej o tym myśleć! Jack Lincoln przyjechał tu tylko na chwilę i niedługo odjedzie, tak więc igrałaby z ogniem, gdyby pozwoliła, by do czegokolwiek między nimi doszło. Przyszłością wdowy po Geoffreyu musiał być Rafe; przypomniawszy jej o tym list od sir Quentina!

Jack zdawał sobie sprawę ze zmiany, jaka w Emily zaszła: po śniadaniu oddaliła się od niego jeszcze bardziej. Wtedy widać po niej było nieśmiałe zażenowanie, ale teraz wyrósł chyba między nimi istny mur. Co mogło się stać, zastanawiał się. Nie wiedział o liście od sir Quentina i czuł się głęboko nieszczęśliwy, kiedy zapuszczali się coraz dalej w krętą dolinę, a huk Teme nasilał się w miarę, jak zbocza się robiły się bardziej strome.

Rzeka nie była szeroka, ale na samym środku nie była też płytka. Z pewnością jednak za głęboka i zbyt bystra, by zdołały ją przejść w bród

konie. Wszędzie leżały kamienie i głazy, przez co woda musiała szukać sobie drogi, niekiedy z rykiem pieniać się na białych bystrzach, a niekiedy sunąć z mocą, niczym ciekłe zwierciadło. W czasie którejś powodzi prąd porwał kilka zwalonych drzew. Wybielone wieloletnim słońcem tkwiły teraz wysoko na suchych, zaspanych kamykami brzegach.

Nad ścieżką zwieszały się buki i dęby, tu i tam widać było polanki, wiosną na pewno niebieskie od dzwonek. Po drugiej stronie rzeki zbocze doliny nagle zrobiło się łagodniejsze i otworzył się widok na upłaz, pokryty płaskimi, oświetlonymi słońcem głazami, które wyglądały bardzo zachęcająco - idealne miejsce, by usiąść i odpocząć. Emily ściągnęła wodze klaczy i zerknęła na Jacka.

- Trudno, by ten nędzny strumyk zyskał w pana oczach aprobatę, panie Lincoln, ale niczego lepszego nie mamy do zaproponowania. - Głos jej niemal zagłuszał szum wody.

- Wydaje mi się bardzo miły, pani Fairfield. A Andy potrafią chwilami przytłaczać swoim majestatem.

- No cóż, „majestatyczny” na pewno nie jest słowem, którego użyłoby się przy opisie Shropshire - odpowiedziała.

- Proszę nie umniejszać swojego kraju, pani Fairfield, bo moim zdaniem to miejsce jest pełne uroku.

Na wargach Emily pojawił się przelotny, bladziutki uśmiech.

- Geoffrey i ja przyjeżdżaliśmy tu latem dosyć często. Siadywaliśmy na płaskiej skale nieco dalej w górę strumienia, w pobliżu mostu dla koni juczych. Pomyślałam, że moglibyśmy się tam na chwilę zatrzymać, by dać naszym wierzchowcom odpocząć.

- Ależ oczywiście. Emily odwróciła wzrok.

- Ścieżka przechodzi przez most, a potem się rozgałęzia. Jedna gałąź prowadzi do ruin młyna wodnego, który znajduje się o sto jardów dalej w górę strumienia; druga prowadzi do nieużywanej stróżówki, którą pewnie zauważył pan po drodze z Temford. Pojedziemy tą drogą, a wrócimy do dworu granicznym lasem. Czy będzie to panu odpowiadało?

- Oczywiście, że tak, pani Fairfield. - Pragnął, by się choć trochę odprężyła, bo z chwili na chwilę sam czuł się coraz bardziej nieswojo. Tak dobrze było im ze sobą zeszłej nocy, niemal do samego rozstania; a teraz wszystko się zmieniło. Miał wrażenie, że wcale się do niej nie zbliża, tylko wręcz przeciwnie, oddala, a to nie pozwalało mu zorientować się, w jaki sposób powinien poruszyć sprawę, związaną ze złożoną Feliksowi obietnicą.

Emily skierowała klacz na ścieżkę wąską i miejscami dość niebezpieczną, ponieważ po tej stronie zbocze nad Teme było bardzo strome. Przemknął przed nimi jaskrawoniebieski zimorodek ze srebrną rybką w dziobie, a na drugim brzegu przy samej linii drzew poruszyły się niespokojnie jelenie, zaskoczone niespodziewanym pojawieniem się jeźdźców.

Most dla jucznych koni był skromnym, kamiennym łukiem, niskim i bez balustrad, a kiedy Emily wjechała na niego pierwsza, Jack z niepokojem zdał sobie sprawę, że rwąca woda przepływa tylko o stopę niżej. Po drugiej stronie ścieżka rozgałęziła się, tak jak Emily wcześniej zapowiedziała, jedna gałąź skręciła w górę strumienia w stronę młyna, a druga w odwrotnym kierunku, ku odległej gdzieś o pół mili drodze.

Emily niechętnie zsiadła na trawę w miejscu, gdzie ścieżka się rozwidlała. Nie chciała przedłużać spędzanego sam na sam z Jackiem czasu, ale konie musiały odpocząć przed wysiłkiem, jaki czekał je na nadrzecznej ścieżce. Jack również zsiadł. Zauważył, jak szybko Emily ześlizgnęła się z klaczy, nie dając mu żadnej szansy, by mógł okazać się dżentelmenem i jej pomóc. Nie tylko umacniała ten dzielący ich mur; praktycznie zmieniała go już w mur obronny! Ale nie powiedział nic, kiedy uwiązywali konie do krzaka, a potem kierowali się w stronę płaskich głazów nad wodą.

Usiedli, Emily zdjęła kapelusik. Jej krótkie, złocisto-brązowe włosy zabłysły w słońcu, a orzechowe oczy wydały się jeszcze większe. Miała na sobie starą, wykończoną czarną plecionką amazonkę, z błękitnej jak niebo wełny. Kolor ten uroczo kontrastował z otaczającymi ich barwami jesieni.

Jack pozbył się cylindra i rękawiczek, a potem oparł się o skałę. Słońce świeciło, pogoda zrobiła się niespodziewanie ciepła. Poczul, że ma za ciasno zawiązany fular.

- Pani Fairfield, czy przeszkadzałoby to pani bardzo, gdybym rozluźnił fular? Jestem rozpaczliwie nieprzyzwyczajony do eleganckich strojów i czuję się tak, jakbym się dusił.

- Ależ oczywiście, proszę bardzo, panie Lincoln. Nie bardzo widzę sens robienia ceremonii w takim miejscu. - Zapomniała się i odpowiedziała z uśmiechem.

Jack nie tylko rozluźnił fular, ale go całkowicie rozwiązał. Końce zatrzepotały łagodnie na wietrze, który dmuchał od rzeki. Rozpiął również koszulę pod szyją i Emily znowu zobaczyła inkaski naszyjnik, który polyskiwał bogato i złościście na jego skórze. Żałowała, że aż tak bardzo jest

pod wrażeniem wszystkiego, co się z tym mężczyzną wiąże, i chociaż siła się zachować obojętność, absolutnie jej się to nie udawało.

Jack usadowił się wygodniej i oparł plecami o skałę, a potem rozejrzał się dookoła. Naprawdę było to pełne uroku miejsce i nie dziwił się, że Emily i jej mąż często tu przyjeżdżali. W górę strumienia, za mostem, dawały się dostrzec ruiny młyna, o którym wspominała. Teraz zostało tam już tylko kilka rozpadających się, kamiennych ścian oraz butwiejące, pokryte mchem resztki koła, pochylającego się nad tym samym nurtem, z którego kiedyś czerpało moc.

Zaciążyło mu zapadłe między nimi milczenie, więc spróbował nawiązać rozmowę.

- Czy pani mąż malował tylko portrety, pani Fairfield? - Dobry Boże, pomyślał, cóż za niezręczne pytanie.

- Zwykle. Dlaczego pan pyta?

- Ponieważ przyszło mi na myśl, że ten stary młyn jest bardzo malowniczy.

Emily uśmiechnęła się odrobinę bardziej serdecznie i naturalnie niż wcześniej.

- Geoffrey też tak uważał i przyznam, że usiłował go namalować. Ale nie był zadowolony z rezultatu. Powiedział, że nie potrafi oddać urody Teme, więc zniszczył całą wykonaną pracę. Smutno mi się wtedy zrobiło, bo dosyć mi się podobała.

Ich oczy ponownie się spotkały i Emily tak szybko odwróciła wzrok, że tym razem już Jack nie wytrzymał.

- Pani Fairfield, czy obraziłem panią w jakiś sposób?

- Czy mnie pan obraził? - Starła się głosem oddać zdumienie, ale oczy jej przyznawały, że odpowiedź jest całkiem inna.

- Najwyraźniej źle się pani czuje w moim towarzystwie, w tej chwili bardziej nawet niż przy śniadaniu. Proszę nie zaprzeczać temu, bo wiem, że tak jest. Czy to z powodu zeszłej nocy...

- Tak, częściowo, sir - przerwała mu pospiesznie Emily. - Te chwile w długiej galerii nie powinny być miejscem, panie Lincoln, i uznałabym to za wielką uprzejmość z pana strony, gdyby zachowywał się pan tak, jakby ich nigdy nie było.

Jack wiedział, że musi postępować ostrożnie.

- Ale przecież nic się nie stało, pani Fairfield. Była pani zdenerwowana, a ja trochę panią pocieszyłem, i to wszystko.

Wzrok Emily zrobił się oskarżycielski.

- To wcale nie wszystko, sir, i oboje o tym wiemy. Jack nie mógł powtórnie zaprzeczyć i odwrócił wzrok.

- A jeżeli przyznam pani rację, co wtedy? Nic się tak naprawdę nie stało, a już na pewno słowem o całej sytuacji nigdzie indziej nie wspomnę, jeżeli to tym się pani martwi... - Zaczerpnął głęboko powietrza. - Bez wątpienia myśli pani o swoich zaręczynach?

- Oczywiście, że tak, sir, przecież mają nastąpić pojutrze. Powinnam była bardziej o nich pamiętać ostatniej nocy, ale taka byłam zdenerwowana i... Nie sędę, bym musiała to panu tłumaczyć, prawda? Pragnę o całej sprawie zapomnieć, a skoro już powiedziałam panu, co czuję, spodziewam się, że temat będzie zamknięty.

Ależ ona jest skrepowana i onieśmielona, dumał, a na dodatek w bardzo niepoehlebny sposób powątpiewa w jego dżentelmenerię!

- Pani Fairfield, poważnie mnie pani krzywdzi, powątpiewając w mój honor. Jeżeli życzy sobie pani kompletnie o sprawie zapomnieć, to oczywiście słowa więcej na ten temat nie powiem.

- Proszę, niech się pan na mnie nie gniewa - powiedziała cicho. - Jeżeli odniósł pan wrażenie, że pana obraziłam, przepraszam pana z całego serca. To nie w pana powątpiewam, tylko w siebie.

Jack utkwiał w niej spojrzenie, pełne nagle obudzonej nadziei.

- Jeżeli to...

- Proszę, niech pan już nic więcej nie mówi! - przerwała mu Emily. - Proszę, błagam pana. Nic się nie zmieniło, nadal pragnę zapomnieć o wszystkim, co miało miejsce ostatniej nocy. - Kłamała, wcale nie tego pragnęła. Marzyła o tym, by wziął ją w swe mocne ramiona, by znowu ją całował i kochał się z nią tutaj, nad rzeką... Poczowała się wzburzona, że może czegoś takiego pragnąć, i już zaczęła się podnosić, kiedy Jack nagle ją powstrzymał.

- Proszę, niech pani nie odchodzi - błagał. Emily usiłowała odebrać mu rękę.

- Panie Lincoln, to nie jest...

- Prosiła mnie pani, bym zapomniał, co stało się zeszłej nocy, i obiecałem, że zapomnę, ale najpierw muszę powiedzieć pani, co czuję. Nie ma tu nikogo poza nami dwojgiem, a chcę, żeby pani wiedziała... - Zajrzał jej w oczy, nie był w stanie powiedzieć więcej. Ale przecież Emily musi czytać w

jego duszy jak w otwartej księdze? Z pewnością wie, jak głębokie żywi dla niej uczucie, chociaż znają się nie dłużej niż dzień?

- To do niczego dobrego nie doprowadzi - szepnęła, znowu starając się od niego odsunąć.

Błysk słońca we włosach i oczach Emily, lekkie rozchylenie warg i ten zapach lawendy, który nieodmiennie zdawała się młodej kobiecie towarzyszyć, wszystko to sprzysięgło się, by jej nie zwrócił wolności. Nie mógł jej puścić, nie chciał jej puścić...

- Pani Fairfield... Emily... dlaczego tak usilnie stara się pani wyrzucić z pamięci ostatnią noc? Nie potrafię uwierzyć i nie uwierzę, że przyczyną jest wyłącznie Warrender.

Oczy Emily były oskarżycielskie.

- Powinien się pan wstydzić, sir, przecież pan wie, dlaczego! Nie jestem żadną płochliwą dziewczyną, tylko wdową, która w pełni cieszyła się życiem małżeńskim, tak więc zdaję sobie sprawę, o czym pan myślał i co pan czuł zeszłej nocy!

- W takim samym stopniu ja jestem świadom uczuć pani - odparował. Ona również zdradziła się podczas tego króciutkiego uścisku i chciał, by przyznała, że podniecał ją tak samo, jak ona jego.

- Przecież chyba nie chce pan, bym powiedziała więcej, niż już powiedziałam? - wyszeptała.

Jack ujął dłonie Emily i pochylił się do przodu. Jego wargi oddalone były tylko o kilka cali od jej ust.

- Nie sędzę, by rozumiała pani, co do pani czuję, Emily. Przekonana jest pani, że tylko pani pożądam, że wykorzystalbym panią, gdybym tylko w jakiś sposób mógł to zrobić.

- Nie, ja...

- Tak, Emily, naprawdę tak pani sądzi! Ale to nie jest prawda. Moje uczucie do pani jest czymś dużo silniejszym niż pożądanie. Chcę panią chronić, opiekować się panią, hołubić ją, spędzić u pani boku całe życie... Kocham panią, Emily, taka jest prawda. Proszę mi wierzyć, istnieje takie uczucie jak miłość od pierwszego wejrzenia, bo moje serce przepadło z kretesem, jak tylko panią zobaczyłem...

Oczy Emily napęłniły się łzami.

- Proszę, nie... - wyszeptała.

- Jeżeli nie powiem tego teraz, mogę już nigdy nie mieć po temu okazji - odrzekł dużo łagodniejszym tonem. Łzy Emily raniły mu serce, łamały

również powzięte przez niego postanowienie. Zamierzał dotrzymać obietnicy i zapomnieć o wszystkim, co się między nimi w długiej galerii wydarzyło, ale było to ponad jego siły. Ponad siły było też trzymać się od niej z daleka. Przyciągnął Emily do siebie, znalazł jej wargi i zgniótł je w pocałunku tak pełnym surowego, niekłamane go uczucia, że odarło go to z subtelności. Ten pocałunek wypływał z jego serca - i duszy.

Emily usiłowała się opierać, odsuwać go od siebie siłą, zmusić, by przestał... Ale Jack nie przestał i stopniowo jej opór zaczął topnieć i zmieniać się w oddanie. Wargi młodej kobiety rozchyliły się, zmiękły, ustąpiły. Przygarnęła się do niego i oddała mu pocałunek.

Przez długą, bardzo długą chwilę lgnęli do siebie w uścisku, połączeni ustami. Żadne z nich nie chciało przerywać cudownego, pełnego erotyzmu czaru, który spowijał ich oboje, ale w końcu trzeba było to zrobić, a kiedy Jack odsunął się, by zajrzeć w jej pociemniałe z pożądania oczy, popełnił fatalny błąd w ocenie sytuacji.

- Proszę, niech pani nie wychodzi za Warrendera - powiedział błagalnie.

Jego słowa, niczym lodowata struga wody, przywróciły Emily do rzeczywistości, oznaczającej długi, zagrożenie więzieniem oraz perspektywę szokujących i hańbiących rewelacji na temat Geoffreya. Tego już było za wiele! Z cichym okrzykiem wyrwała się Jackowi i pozbierała się na nogi.

- Emily... - Jack wyciągnął rękę w jej kierunku, ale ona cofnęła się o krok.

- Ja... chyba najlepiej będzie, jeżeli natychmiast opuści pan dwór, panie Lincoln.

- Opuścić? Ale...

- To moje ostatnie słowo w tej sprawie! Nie spędzi pan ani jednej nocy więcej pod moim dachem! - I powiedziawszy to podbiegła do koni, wsiadła i odjechała galopem po ścieżce, która prowadziła do nieużywanej stróżówki.

Jack wstał i bezradnie patrzył w ślad za nią. Ależ zrobił z siebie niewymownego durnia! Chyba jeszcze nigdy żaden mężczyzna nie żałował tak bardzo, że nie utrzymał języka za zębami. Emily Fairfield mogła pragnąć go równie gorąco, jak on pragnął jej, ale wcale nie było łatwo podbić jej serce.

Rozdział 19

Jack postanowił nie puszczać się w pościg za Emily. Wyraziła swoje życzenia w sposób nie pozostawiający żadnej wątpliwości i tym razem pan Lincoln postanowił dostosować się do nich. Zmarnował swoją szansę i dostał odprawę, która mu się należała.

Odrzucił do tyłu włosy i uniósł twarz do słońca, przymykając na moment oczy.

- Zawiodłem pana, Feliksie - wyszeptał, a potem podszedł do konia i ponownie go dosiadł. Nie mógłby już być bardziej przygnębiony niż w chwili, kiedy ujmował wodze, a potem wahał się, którądy wracać do Fairfield Hall. Podążył śladem Emily, jadąc powoli, by nie ryzykować, że ją dogoni. Gniadosz wspiał się na łagodne zbocze, szum bystrza ucichł w oddali i wkrótce, kiedy drzewa znowu zamknęły się wokół Jacka, nie było go już w ogóle słychać.

Powolny, łagodny stukot kopyt na ścieżce wydawał się odmierzać upływającą resztkę czasu, jaką mógł jeszcze spędzić we dworze, i nagle Jack poczuł, że dłużej tego nie zniesie. Skierował konia między paprocie i wysoką trawę. Tak głęboko pograżył się w myślach i samo-oskarżeniach, że prawie nie zwracał uwagi, gdzie jedzie. Dopiero kiedy uderzył głową w nisko zwisającą gałąź i przystanął, by się rozejrzeć dookoła, uświadomił sobie, że kompletnie stracił poczucie kierunku. Słońce zaszło za chmurę, zniknęły cienie, po których mógłby zorientować się w stronach świata. Zgubił się. Rozejrzał się dookoła, ale gdzie spojrzał, wszędzie widział same drzewa. Drzewa i tylko drzewa, i znikąd najcichszego nawet odgłosu działalności ludzkiej, choćby dalekiego.

Spojrzał znów w górę, nad gałęzie, w nadziei, że zobaczy smugę dymu, która wskazałaby mu drogę do stróżówki, ale nie zobaczył nic. Przyłożył dłonie do ust.

- Hej? Czy mnie ktoś słyszy?

Te słowa przypomniały mu, jak poprzedniego dnia szukał Emily. Nasłuchiwał, ale na jego wołanie nie odpowiedział nikt. Zawołał znowu, ale nadal nie było odpowiedzi. Którędy powinien jechać? Z westchnieniem skierował konia na prawo i ruszył przed siebie.

Kiedy powóz, wiozący Cristovala z Londynu, wjechał na rynek w Temford, wciąż jeszcze panowała tam cisza i spokój. Nazajutrz, w poniedziałek, miał odbyć się targ, pełno więc będzie krzątany i

zamieszania, ale dzisiaj nic się nie działo. Kopyta koni zastukały, a koła zaturkotały, kiedy zmęczony foryś poganiał zaprzęg na ostatnich jardach przed głęboką, łukowato sklepioną bramą wjazdową, prowadzącą na podwórzec gospody „Pod królewskim dębem”. Tam po raz ostatni ściągnął wodze. Stajenni z niechęcią wychynęli z zabudowań, by zająć się nowo przybyłymi, bez których można by pogrążyć się nadal w niedzielnym nieróbstwie.

Nowa, wspaniała, zbudowana z czerwonej cegły sala zgromadzeń wznosiła się w całej swojej świetności na skraju dawnego sadu. Do jej imponującego głównego wejścia prowadziły z podwórca trzy szerokie stopnie, a okna wybito wysoko na ścianach, żeby uniemożliwić gapiom zaglądnienie do wnętrza. Dalej, na jeszcze niezagospodarowanym terenie wyciętego sadu, budowano olbrzymie ognisko i przygotowywano wszystko do pokazu fajerwerków, który miał odbyć się podczas uroczystego otwarcia nowego budynku. We wnętrzu sali balowej trwały ostatnie prace. Trzej mężczyźni mieli kłopoty z podźwignięciem pod sufit jednego z trzech żyrandoli, które poprzedniego dnia przyjechały z Londynu.

Kiedy Cristoval i Manco wysiedli z powozu, wszystkie spojrzenia zwróciły się natychmiast na Indianina, który znowu zaczął po swojemu składać dziękczynienie za bezpieczne zakończenie podróży. Wszyscy gapili się z szeroko otwartymi oczami, gdy kołysał się i obracał w majestatycznym tańcu, a kiedy do tego zaczął śpiewać, rozkładając ręce i wznosząc dłonie w kierunku kwadratu widocznego nad podwórcem nieba, podniósł się szmer pełnych zdumienia głosów.

Cristoval czekał przy wejściu do baru i z godnością usiłował udawać, że nic się nie dzieje. Zawsze aż skręcał się z zażenowania, kiedy Manco ściągał na siebie tyle uwagi, ponieważ przypominało mu to nieco występy towarzyszące jarmarkom. Indianin był nowością nawet w wielkich miastach, takich jak Londyn czy Bristol, toteż w małym targowym miasteczku w Shropshire naprawdę wstrząsnął mieszkańcami do głębi.

Właściciel gospody, pan Porter, wyszedł, żeby zobaczyć, kto wywołuje tyle zamieszania. Był wysokim, chudym mężczyzną. Schludny, brązowy surdut i beżowe spodnie okrywał skórzanym fartuchem. Jego butonierkę zdobił bukietek michałków. Wycierał ręce w ręcznik, ponieważ właśnie skończył naprawiać szpunt przy beczce z piwem. On również przystanął zdumiony, kiedy zobaczył dziwny widok na podwórcu.

- Na wszystko co święte... - sapnął, odchylając do tyłu kapelusz z niską główką.

Cristoval odwrócił się do niego.

- Musi pan wybaczyć Manco, sir, ale ma on taki zwyczaj, że składa dzięki bogom, iż bezpiecznie doprowadzili go do celu podróży.

- Do celu podróży? - powtórzył z pewnym znużeniem gospodarz, który wolałby, by tak hałaśliwi przedstawiciele rodzaju ludzkiego pojechali gdzieś dalej.

- Tak, właśnie. Mamy nadzieję się tu zatrzymać, przynajmniej chwilowo.
- Cristoval pochylił głowę i się przedstawił. - Cristoval de Soto, do usług, sir.

- Sir. - Gospodarz skinął głową. - No cóż, don Cristoval, czego jeszcze mogę spodziewać się po pana słudze, jeżeli pozwolę wam obu tu się zatrzymać?

- Dopilnuję, by się grzecznie zachowywał - pocieszył go Cristoval, krzyżując palce w kieszeni wspaniałego, nowego płaszcza. - A co do tego, na jak długo się zatrzymamy, to zależy. Może tylko na jedną noc, może na dłużej.

- Rozumiem. - Pan Porter znowu przyglądał się występowi Manco. - No dobrze, don Cristoval, pan i pana przyjaciel możecie tu zostać, ale pod warunkiem, że będzie się on zachowywał przyzwoicie.

- Tak, oczywiście. - Przyzwoicie? Manco? Mało prawdopodobne, pomyślał Cristoval.

W pół godziny później Manco i jego pan znaleźli się na trzecim piętrze gospody, w okazałym, wychodzącym na rynek apartamencie. Ich kwatery składała się z dwóch sypialni połączonych salonikiem. W saloniku rozpalony przed chwilą ogień potężnie nadymiał i służąca musiała zostawić okno otwarte, by pokój wywietrzyć. Ponieważ byli na trzecim piętrze, mogli przez cisowy żywopłot zajrzeć na tereny zamkowe.

Kiedy Cristoval i Manco przyglądali się rezydencji niegodziwego kuzyna Jacka, ubrany w białe spodnie i musztardową kurtkę stajenny wyprowadził przed barbakan lśniącego rasowego karosza. Koń był zwierzęciem wielkim i samowolnym, rzucał głową i harcował niecierpliwie, szarpiąc trzymane przez stajennego wodze. Po chwili z zamku wychylnęło dwóch dżentelmenów; jednego z nich Cristoval nie znał, ale drugim był sir Quentin Brockhampton.

Cristoval pokazał go Manco.

- Widzisz tam mego wielomównego prawniczego przyjaciela, sądzę więc, że dżentelmenem, który właśnie zamierza dosiąść konia, musi być sir Rafe Warrender. Zwróć na niego baczną uwagę, mój przyjacielu, bo to istny diabeł. Zdecydowanie pizarrski człowiek.

Indianin popatrzył na Rafe'a. Ten pożegnał się z sir Quentinem i popędził konia w kierunku bram, które skwapliwie się przed nim otworzyły. Twarz Manco ani na jotę nie zmieniła wyrazu, kiedy spokojnie wyjmował z mieszka procę i kamyk. Cristoval nie zauważył tego, bo całą uwagę skupił na jeźdźcu, który wyjechał już z terenów zamkowych na rynek. Manco cofnął się o krok, zakręcił procą, a potem po mistrzowsku ją wycelował i wypuścił kamyk przez otwarte okno. Kamyk pofrunął i uderzył w cylinder Rafe'a, strącając mu go z głowy.

Cristoval się wzdrygnął.

- Mądre de Dios! - wykrzyknął cicho, dopiero w tej chwili uświadamiając sobie, co zrobił Indianin. W jednej sekundzie chwycił Manco i odciągnął Indianina w bezpieczne miejsce, żeby nie było go widać, a potem wyrzwał zza skraju zasłony i zobaczył, że Rafe ściągnął! gwałtownie konia i rozgląda się z wściekłością, szukając winnego. Przed zamkniętym sklepem szewca stało kilku chłopaków, ale rozbiegli się, jak tylko kapelusz pofrunął w powietrze.

Rafe z trudem opanował narowistego konia, a potem szybko zsiadł, by podnieść kapelusz, ale Manco już gotów był znowu uderzyć, chociaż tym razem nie przy pomocy procy. Wsunął dłoń w głąb swego mieszka, znowu ją wyciągnął i strzepnął palcami. Kapelusz Rafe'a potoczył się dalej, umykając właścicielowi spod palców. Rafe zaklął i ruszył za nim. Manco ponownie strzepnął palcami i kapelusz potoczył się jeszcze dalej.

Cristoval jak szalony potrząsał ręką Indianina.

- Przestań! Słyszysz mnie?

- Manco daje diabełowi lekcje.

- Manco powinien się przyzwoicie zachowywać! - przypomniał mu Cristoval.

- Hmm. - Indianin zamknął mieszek i dał kapeluszowi spokój.

Rafe natychmiast chwycił swoje nakrycie głowy i baczenie mu się przyjrzał, jakby w obawie, że może kapeluszowi wyrosły małe kółeczka. Kiedy już z zadowoleniem stwierdził, że to tylko zwyczajny cylinder, otrzepał go rękawiczką i włożył sobie ponownie na głowę. Rozejrzał się

podejrzliwie po raz ostatni, a potem dosiadł konia i popędził go w kierunku szerokiej ulicy, która prowadziła do mostu na Teme.

Dopiero kiedy zniknął im z oczu, Cristoval puścił Manco i natychmiast dał mu reprimendę.

- Dios, ty głupcze, mógł cię z łatwością zobaczyć. Inka patrzył na niego zdumiony.

- Ale pizarrski człowiek nie widział, capad - Czuł się trochę urażony, bo szczyił się tym, że potrafi stać się niewidzialny dla każdej ofiary, czy to ludzkiej czy zwierzęcej.

- Może, ale nie rób już więcej czegoś takiego, słyszysz? Muszę za ciebie pod tym dachem odpowiadać, więc zachowuj się, do jasnej cholery!

- Manco będzie grzeczny - obiecał Inka uroczyście.

- Dobrze. - Cristoval powoli wypuścił powietrze, żałując, że nie są obydwaj z powrotem bezpiecznie w Limie, gdzie ludzie w typie Manco nie byli niczym nadzwyczajnym.

Indianin przeszedł do swego pokoju, żeby zawiesić hamak - zrobiony z uprzedzonej wełny wigonii - między słupkami łóżka; żadne perswazji nie zdołały skłonić go do spania na materacu.

- Manco nie rozumie. Odrobina magii i diabeł nie żyje.

- Taka magia uważana jest w Anglii za morderstwo -zwrócił mu uwagę Cristoval.

- W porządku. Bez magii. Zamiast użyjemy łuk i strzały. Jedna strzała i diabeł nie żyje - oznajmił na to Manco.

- To nadal uznano by tu za morderstwo - powiedział Cristoval od drzwi. - Nie tylko sam diabeł by umarł, ale ty również... na szubienicy. - Dobitnie przeciągnął palcem po gardle.

- Manco nie złapią - mruknął Indianin pogardliwie i stanowczo.

- Po prostu trzymaj przy sobie swoją magię, swoje strzały i wszystko inne, mój przyjacielu.

Manco przez chwilę zręcznie zawiązywał liny hamaka, potem przerwał tę czynność.

- Jak diabła spotka śmierć, wracamy do domu? - zapytał.

- Dość tego. Rozumiesz?

- Tak, capac Cristoval - odpowiedział potulnie Indianin. Aż nadto potulnie. Cristoval popatrzył na niego podejrzliwie, ale z twarzy Indianina nic nie można było wyczytać, i po chwili de Soto zmienił temat.

- Muszę przekazać wiadomość do Fairfield Hall w nadziei, że Jack się tam zatrzymał.

- Manco zawiezie wiadomość.

- Nie, bardzo ci dziękuję, ale mimo wszystko wyślę chyba jakiegoś miejscowego chłopaka - powiedział pospiesznie Cristoval. - Napiszę teraz list z prośbą, by Jack tu przybył.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, Manco prychnął.

- Magia działa dobrze. Wszystko koniec szybko - wymamrotał. - Potem Manco wraca do domu.

RS

RS

Rozdział 20

Peterowi wydawało się, że lekcja francuskiego z babcią trwa już całe wieki. Miał dość nieregularnych czasowników, a kiedy raz za razem próbował melodyjnie wyrecytować galijskie samogłoski, robił mu się supeł na języku i cała twarz marszczyła się z wysiłku, by tak rozpaczliwie nie traciły angielszczyznę. Zmęczyły go też usiłowania, by zapamiętać, gdzie leżą te czy inne miasta na konturowej mapie, którą narysował wcześniej na kawałku papieru. Kogo to obchodzi, gdzie jest Nantes, a gdzie Lyons? A już miasta nad Loarą nie interesowały go w najmniejszym stopniu! W każdym razie nie wtedy, kiedy miał się tego uczyć pod przymusem. Zostawiony sam sobie, ślęczałby na mapą godzinami, usiłując zapamiętać jak najwięcej, ale kiedy babcia prawiała mu kazania, nienawidził tego.

Siedział przy stole w długiej galerii, gdzie wciąż jeszcze leżały malarskie akcesoria ojca. Jego pióro drapało po papierze i sadziło kleksy, kiedy przekreślał jakiś fragment pracy i zaczynał od początku. Na litość boską, jak Francuz powiedziałby „nie zrobiłbym tego, nawet gdybym mógł”? I jakie to w ogóle ma znaczenie? Niemal od urodzenia Petera Anglia i Francja pozostawały w stanie wojny, było więc mało prawdopodobne, żeby pojechał do Francji i przekonał się, jak naprawdę mówią. Jego uwaga się rozproszyła, zaczął liczyć szybki w jednym z okien.

Cora leniwie przechadzała się po galerii, zwracając się do niego przez cały czas po francusku.

- Świetnie, sir, skoro bardziej interesują cię okna niż lekcja, proszę mi raz jeszcze wyrecytować samogłoski. Słucham.

- Błagam, tylko nie znowu samogłoski! - jęknął Peter.

- Proszę zaczynać - powtórzyła w typowy dla siebie, irytujący sposób.

Na twarzy Petera pojawił się buntowniczy wyraz i wyrecytował samogłoski, dokładając starań, by zabrzmiały jak najbardziej po angielsku.

- Aaa, eee, iii, oooo, łuuu.

Cora rozzłościła się; już miała go znowu skrzyzczeć, nie przebijając w słowach, kiedy coś za oknem odwróciło jej uwagę.

- Dobrze nieba, twoja mama wraca z przejażdżki, a nigdzie nie widać pana Lincolna! Och, mam nadzieję, że nic złego się nie stało!

Krzeseł Petera skrzypnęło i chłopiec pospiesznie przyłączył się do babki. Rzeczywiście, matka jechała w kierunku dworu sama, ale nie wydawała się jakoś nadmiernie spieszyć.

- Jedzie stępa, babciu, więc chyba nic się panu Lincolnowi nie stało.

- No to gdzie się podział?

- Nie wiem. - Kątem oka Peter dostrzegł jakiś ruch za drzewami i zerknął na podjazd, którym zbliżał się do Fairfield Hall również sir Rafe. Pokazał palcem. - Niech babcia zobaczy, sir Rafe!

Cora westchnęła.

- Okropnie to denerwujące - wymamrotała. Peter popatrzył na nią z ciekawością.

- Denerwujące?

- Miałam nadzieję, że sir Rafe zdąży odjechać, zanim ona wróci - wyjaśniła Cora.

- Chce babcia powiedzieć, że babcia wiedziała, że on ma dziś przyjechać?

- Tak, przyznaję, że wiedziałam. To dlatego wysłałam twoją mamę na przejażdżkę z panem Lincolnem.

Peter szeroko się uśmiechnął.

- Dobra robota, babciu!

- No cóż, byłaby dobra, gdyby się udało - zwróciła mu dosyć słusznie uwagę Cora.

Peter znowu popatrzył na sir Rafe'a.

- Wcale się z nim nie chcę spotykać, babciu, czy pozwoli więc babcia, że teraz wyjdę, proszę?

- Tak, nie widzę powodu, żebyś nie miał wyjść, ale przy następnej lekcji będę oczekiwała większej grzeczności z twojej strony.

- Tak, babciu.

- Mówię serio, młody człowieku!

Peter niespodziewanie mocno ją przytulił.

- Ja też! - A potem pobiegł w kierunku schodów i zniknął.

Cora przyglądała się znowu zbliżającym się jeźdźcom, a zwłaszcza córce. Zastanawiała się, dlaczego nie ma z nią Jacka Lincolna. Nie mogło mu się stać nic złego, bo, jak słusznie zauważył Peter, w takim przypadku Emily przyjechałaby galopem po pomoc. Ale z jakiej jeszcze przyczyny mógł jej nie towarzyszyć? W oczach Cory pojawił się pełen namysłu wyraz. Nietrudno będzie się tego dowiedzieć, bo Emily pojawi się we dworze przed Rafe'em, którego już zresztą dostrzegła. A dostrzegłszy, popędziła konia, więc Cora uniosła spódnicę i opuściła długą galerię.

Emily pospiesznie wchodziła do holu w chwili, kiedy Cora stanęła na parterze.

- Mamo, nadjeżdża sir Rafe!

- Wiem, kochanie - odpowiedziała Cora, bystrym spojrzeniem ogarniając zarumienioną twarz córki i jej błyszczące oczy. Wiedziała, że ani jedno, ani drugie nie było wynikiem przejażdżki ani wątpliwej przyjemności, wiążącej się z coraz bliższą wizytą sir Rafe'a Warrendera.

- Nie wydaje się mama zaskoczona jego wizytą - zauważyła Emily.

Wyznanie grzechów jest dobre dla duszy, pomyślała Cora i uśmiechnęła się ze skruchą.

- Obawiam się, że wyleciało mi to wcześniej z pamięci, ale posłaniec przywiózł z zamku list. - Wyjęła wiadomość zza stanika sukni.

Emily pospiesznie ją przeczytała, potem oskarżycielsko spojrzała na matkę.

- Był zaadresowany do mnie, ale widzę, że mama złamała pieczęć i pozwoliła sobie go przeczytać.

- List upadł na podłogę i nastąpiłam na niego przez pomyłkę - zmyślała Cora.

- Naprawdę? Pozwolę to sobie przyjąć z pewnym powątpiewaniem, mamo. List musiał przyjść dużo wcześniej, niż wyruszyliśmy z panem Lincolnem na przejażdżkę.

- Tak, to prawda. Właściwie przyszedł przed śniadaniem. Zupełnie nie mogę obecnie polegać na swojej pamięci. Pewnie to wina wieku.

- Mamie pamięci niczego nie brakuje. Z rozmysłem nie wspomniała mama o liście, a potem zaaranżowała mama moją przejażdżkę z panem Lincolnem, żeby mieć pewność, iż nie będzie mnie w domu, kiedy przyjedzie sir Rafe!

- Och, kochana Emily, czy naprawdę sądzisz, że posunęłabym się do aż tak niecnego uczynku?

- Tak - rzekła Emily miażdżąco. - No cóż, kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada, bo tak czy owak przyjechałam na czas.

- I szkoda, że przyjechałaś - mruknęła półgłosem Cora. Emily była oburzona.

- Mamo, wie mama, jak ważne jest, bym zawarła ten związek, jeżeli mam zachować dwór, a postępuje mama tak, jakby jej zależało, by zniweczyć wszelkie moje starania.

- To małżeństwo z Warrenderem jest odrażające, Emily Fairfield, i im szybciej zdasz sobie z tego sprawę, tym lepiej! - Cora pospiesznie zmieniła temat. - A gdzie się podział pan Lincoln?

Rumieniec na policzkach Emily pociemniał.

- Jest gdzieś w parku. Nie wiem gdzie i nie obchodzi mnie to.
- Moja droga, jak możesz mówić w ten sposób?
- Mogę, bo pan Lincoln okazał się wcale nie być dżentelmenem!

Wargi Cory się rozchyliły.

- Emily, czy ty chcesz powiedzieć, że on...?

- Ze robił mi nieprzystojne awanse? Tak, mamó, to właśnie chcę powiedzieć. - Ale w tym miejscu Emily musiała unikać oczu matki, bo przecież nie całkiem tak się rzeczy miały.

Cora była zbyt sprytna, by dać się tak łatwo zbyć.

- Wybacz mi, moja droga, ale z trudem przychodzi mi uwierzyć, że postąpiłby tak bez żadnej zachęty z twojej strony.

Emily aż dech zaparło z oburzenia.

- Mamó, czy mama chce powiedzieć, że go prowokowałam?

- A prowokowałaś?

- Oczywiście że nie! - Ale spojrzeniem umknęła znowu w bok, a rumieniec na jej policzkach zaprzeczał słowom.

- Zda mi się, że ta dama zbyt się zarzeka*. Jedno warte drugiego - półgłosem powiedziała Cora.

***Wg „Hamleta” Szekspira.**

Emily badawczo spojrzała matce w oczy.

- Dlaczego mama z taką skwapliwością okazuje mu pobłażanie?

- Pobłażanie? Moja droga, nie wiem, o czym mówisz...

- Ależ wie mama. Co się dzieje, mamó? Widzę przecież, że mama coś knuje.

Cora rozłożyła ręce w geście anielskiej niewinności.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - powiedziała niesłuchanie irytującym, bezbarwnym tonem.

Emily wypytywałaby ją dłużej, tylko że na dziedzińcu dał się słyszeć stukot kopyt konia Rafe'a. Obejrzała się niespokojnie, potem szepnęła z naciskiem do Cory:

- Proszę, mamó, w tej chwili to bez znaczenia, kto ponosi winę. Poinformowałam pana Lincolna, że ma, nie ociągając się, opuścić nasz dom, i na tym koniec.

- Och, Emily, chyba nie mówisz serio! - wykrzyknęła Cora.

- Ależ mówię. Wolałabym jednak, by sir Rafe się o nim nie dowiedział, i dlatego proponuję mu spacer po ogrodzie tajemnym, żebyśmy przypadkiem nie spotkali pana Lincolna, zanim wyjedzie.

- Emily...

- Mamo, chcę wymazać tę szczególną kartę do czysta, rozumie mama? Niech więc wygląda na to, że wybrałam się na przejażdżkę sama. Czego się sir Rafe nie dowie, to go nie będzie martwić.

- Zastosuję się do twoich życzeń i nic nie powiem twemu przyszłemu paskudnemu panu i władcy, ale obawiam się, że nie mogę dopuścić do tak bezceremonialnego wyrzucenia pana Lincolna.

- Mamo!

- Nie, moja droga. Przyjechał tu zobaczyć się ze mną, tak więc jest moim gościem. Nie chcę słyszeć o tym, by go stąd odprawić.

- Nawet jeżeli w stosunku do mnie zachował się potwornie? - Emily była oburzona.

Cora miała ironiczny wyraz twarzy.

- Moja droga Emily, skutkiem jego potwornego zachowania było to, że cała się rozjarzyłaś! Nie próbuj mydlić mi oczu jakimiś niemiłymi ci awansami, bo ja znam swoją córkę. Pan Lincoln obudził cię znów do życia, a ja bez względu na wszystko zamierzam go tu zatrzymać.

Emily poczuła się kompletnie zaskoczona, ponieważ ani przez myśl jej nie przeszło, że mogłaby w matce nie znaleźć oparcia. Ale nie zdążyła powiedzieć nic więcej, bo przez otwarte drzwi za ich plecami wkroczył do pokoju Rafe.

- Ach, drogie panie - odezwał się i pochylił w szykownym ukłonie nad ich dłońmi.

Emily, wciąż jeszcze trochę skonsternowana nastawieniem matki, zdołała się tylko blado uśmiechnąć na powitanie.

- Rafe, jakże miło pana znowu widzieć - powiedziała nieszczerze, bo akurat w tej chwili miała ochotę wyjaśnić całą sprawę z kochaną mamusią!

- Sądząc po pani głosie, nie spodziewała się mnie pani. - Brwi Rafe'a lekko się ściągnęły.

Cora roześmiała się beztrąsko i dźwięcznie.

- Ba, sir Rafe, chodzi tylko o to, że przyłapał ją pan, zanim była całkiem gotowa. Zamierzała wrócić z przejażdżki i przed pana przybyciem przebrać się w ładną suknię.

Brwi Rafe'a wróciły na zwykły poziom, uśmiechnął się do Emily.

- Jest pani wystarczająco piękna w tej amazonce, moja droga - rzekł.

Emily spuściła oczy.

- Zbyt pan uprzejmy, sir. Czy przejdziemy się po tajemnym ogrodzie?

- Przejsz się? Ale proszę bardzo, ogromnie to będzie miłe - odrzekł, bo odpowiadała mu rozmowa w cztery oczy z Emily. - Ale najpierw muszę poprosić panią Preston o pewną przysługę.

- Mnie? - spytała Cora zaskoczona, ponieważ normalnie Rafe wolałby kazać powiesić się za kciuki, niż o cokolwiek ją prosić.

- Tak. Widzi pani, mam w tej chwili u siebie w zamku niespodziewanego gościa, którego, jak mi się zdaje, pani zna. Sir Quentina Brockhamptona.

Cora zawahała się, w jej oczach nagle błysnęła ostrożność.

- Tak, poznałam już sir Quentina.

- Rozumiem, że rozdzieliła państwa pewna... powiedzmy, niezręczna niejasność?

- Niejasność? Skądże coś takiego mogłoby panu przyjść na myśl? Musi pan wiedzieć, że nie ma dla nas większej radości, niż otrzymywać od tego człowieka listy, które, choć legalne, wyraźnie nam grożą! - Ton Córy zbliżony był do lodowatego.

- Mamo! - Emily zapragnęła zapaść się pod ziemię. Ale Cora tylko rzuciła głową i popatrzyła znowu na

Rafe'a.

- A więc co to za sprawa z sir Quentinem, sir?

- No cóż, on... - Tu Rafe odchrząknął. - Dręczy go ogromne poczucie winy, związane z pewną, dotyczącą interesów, sprawą. Nie zwierzył mi się oczywiście, co to za sprawa, ale...

- Sir, ten człowiek powinien mieć poczucie winy w każdej sprawie, która przeszła przez jego ręce, a wiązała się z tym domem. - Cora powiedziała to jeszcze chłodniej niż uprzednio.

- Może i tak, pani Preston, ale obecnie chodzi mi o kwestię jego braku wiedzy na temat czegoś, co, jak pani najwyraźniej sądziła, było w jego posiadaniu.

Cora popatrzyła na sir Rafe'a.

- Sir, mam nadzieję, że nie oczekuje pan, bym pocieszała sir Quentina, że moim zdaniem jest w tej sprawie bez zarzutu?

Emily była przerażona.

- Mamo, proszę!

Ale Rafe podniósł w górę dłoń.

- Nie, nie, moja droga. Pani Preston ma prawo do własnego zdania w tej sprawie. Pozwolę sobie jednak wyrazić nadzieję, że wolno mi będzie wstawić się za przyjacielem i zapewnić panią, iż zgodnie z moim głębokim przekonaniem, naprawdę jest on bez zarzutu. Fakt, że tak się zamartwia, powinien wystarczyć za dowód.

Cora milczała, a jej milczenie mówiło więcej, niż mogłyby powiedzieć słowa. Rafe ponownie odchrząknął.

- Pani Preston, wszystko sprowadza się do sprawy czwartkowego balu. Żywiłem taki zamiar, a nawet głęboką nadzieję, że, nawet jeżeli po tej nieznanej mi sprawie jakaś kontrowersja wzburzyła gładkie wody stosunków towarzyskich, uda mi się na te wzburzone wody wylać oliwę zgody.

- Sir Rafe, na całym świecie nie starczyłoby oliwy... - zaczęła Cora, ale Emily jej przerwała.

- Mamo, jestem pewna, że nie chce mama robić trudności. Czy mogę mamie przypomnieć, że sir Rafe i ja mamy podczas balu ogłosić nasze zaręczyny? Byłoby więc absolutnie niepożądane, by mama demonstracyjnie okazywała swoje prawdziwe uczucia względem sir Quentina. Błagam, by mama zachowywała się w stosunku do niego co najmniej uprzejmie. Cora spojrzała na nią figlarnie.

- Zawsze jestem uprzejma, jeżeli okazja tego wymaga, moja droga.

- Ta okazja z pewnością wymaga uprzejmości - odpowiedziała Emily, aż nadto świadoma, jak dwuznaczna była odpowiedź matki.

- Oczywiście, moja droga. Sir Rafe, może pan być pewien, iż zachowanie moje będzie nienaganne.

Rafe skłonił przed nią głowę, potem podał ramię Emily.

- Do tajemnego ogrodu, moja droga? - zapytał półgłosem. Emily położyła mu dłoń na rękawie i razem wyszli na dziedziniec.

Cora patrzyła w ślad za nimi.

- Jeżeli któremuś z was wydaje się, że będę obdarzała uśmiechami tego... tę gadzinę Brockhamptona, to grubo się mylicie! - szepnęła, a potem odwróciła się na pięcie i przemaszerowała przez dom, kierując się do niskiego, kamiennego portalu, prowadzącego do kwiatowego ogrodu na tyłach dworu.

Z listu Feliksa dowiedziała się, że przed wielu laty sir Quentinowi rzeczywiście została powierzona pewna suma pieniędzy. A stąd nie miała najmniejszych wątpliwości, że prawnik skłamał jej, kiedy pojechała się z

nim zobaczyć po śmierci Geoffreya. To, że sir Quentin był teraz gościem na zamku Temford, również utwierdziło ją tylko w coraz silniejszym przekonaniu, że obydwaj z sire Rafe'em Warrenderem działają przeciw Fairfield Hall. Ręka w rękę. Chciałyby tylko dowiedzieć się, dlaczego.

Z pewnością działali zbyt zgodnie, by u podstaw spisku mogło leżeć wyłącznie pożądanie Emily przez sir Rafe'a. Czy z propozycją małżeństwa wiązały się jakieś zyski? A jeżeli tak, to jakie? Emily nie miała nic; nawet dworem zarządzała tylko w imieniu Petera. Dlaczego więc sir Rafe Warrender et consortes dokładali tak usilnych starań, by ją załamać długami i zmusić do tego związku? Cora westchnęła. Pozostało jej tylko jedno: trzeba połączyć siły z Jackiem, którego cel przybycia do Fairfield Hall wyjawiał w swoim liście Feliks. Jaki sens miało samodzielne działanie, jeżeli razem może im się udać rozwiązać trudności materialne i pokonać sir Warrendera?

Musiała zająć się jeszcze jedną kwestią. Wcześniej nie zamierzała przyznawać się przed Jackiem, że świadoma jest, jak silny pociąg poczuli do siebie Emily i on. Ale jeżeli ich prawdziwa miłość miała zostać skierowana na właściwą ścieżkę, to pochopny postępek Emily, która dziś kazała mu odjechać, zmuszał Corę, by swoją wiedzę ujawniła. Co prawda stanowczo wolałyby, by sprawy toczyły się swoim biegiem. Jednak czymś zupełnie innym jest stać z boku i od czasu do czasu delikatnie ingerować, kiedy opory kochanków zdają się stawać na przeszkodzie, a czym innym pograć się w bezczynności i dopuścić, by Emily odrzuciła złotą szansę na prawdziwe szczęście.

Pewne sprawy są zbyt ważne, by je zignorować, zbyt ważne, by odwracać się do nich plecami z powodu odziedziczonych długów. Cora zrozumiała już, że Jack Lincoln jest dla Emily tym jednym jedynym, największą miłością życia. Feliks nie mógłby bardziej pochlebnie się o nim wyrażać ani dobitniej ubrać w słowa swoich ukrytych nadziei, a dla Cory zdanie Feliksa było tak święte jak Ewangelia. Zwłaszcza kiedy wyczuwała, że o wielu jeszcze kwestiach w swoim liście nie wspomniał.

Feliks wiedział wszystko o długach Emily i świadom był, że Jackowi brak kapitału, a przecież wyraził usilnie pragnienie, by się ze sobą związali. Nie pisałby tak, gdyby nie istniały podstawy, pozwalające nie wątpić, że wszystko się dobrze skończy. Jeżeli więc pragnął tego związku Feliks, pragnęła go i Cora, i niech diabli porwą sir Rafe'a Warrendera, podejrzanych prawników, przebiegłych bankierów, zadłużenie i wszystko inne. Pod

żadnym pozorem nie wolno pozwolić Jackowi wyjechać. O nie, przysięgła sobie, musi go przekonać, by został w Fairfield Hall, ponieważ to właśnie on ożeni się z Emily, jeżeli tylko Cora Preston i Feliks Reynolds będą mieli w tej sprawie coś do powiedzenia!

Łzy zapiekły Corę w oczach, kiedy wychodziła z domu do kwiatowego ogrodu, który - tak się złożyło - był miejscem, gdzie po raz ostatni rozmawiała z Feliksem. Wrócił do Anglii - och, na tak króciutko - i któregoś dnia udało im się wykraść dla siebie pół godziny po zapadnięciu zmroku.

- Nie zawiodę cię, mój ukochany - szeptała. - Dopilnuję, żeby połączyli się tak, jak my powinniśmy byli połączyć się dawno temu. Nie pozwolę, by po raz drugi popełniony został ten sam błąd.

RS

RS

Rozdział 21

Peter zaczekał, aż koń Rafe'a zniknie na dziedzińcu, a potem przebiegł przez park w kierunku lasów. Wkrótce, zadyszany i zgrzany, dobiegł do jeziora na polance. Wyjął linkę na ryby i haczyk, zdjął surducik i zostawił go na powalonym pniu, a potem wdrapał się na gałąź i po chwili leżał już na niej, z nadzieją opuściwszy haczyk do wody.

Ku jego zdumieniu, linka szarpnęła mu się w rękę, woda zafalowała i przez ułamek sekundy widział na haczyku rybę. Wspaniałego, tłustego lina! Niewiele brakowało, a byłby z podniecenia spadł z gałęzi, ale potem ryba skoczyła, ześlizgnęła się z haczyka i odpłynęła sobie na głęboką wodę. Peterowi mowę odebrało. Wściekły odrzucił linkę na drugi brzeg jeziora i zaczął złazić na dół, ale zawahał się, bo usłyszał zbliżający się stukot kopyt. Kto to mógł być? Na pewno nie sir Rafe, bo on przecież dopiero co wjechał do dworu. Zaciekawiony podciągnął się z powrotem na gałąź i rozpląszczył się na niej, patrząc, kto nadjedzie.

Na polankę wjechał Jack. Z grubsza wiedział już, gdzie jest, bo trafił do nieużywanej stróżówki i tam zorientował się, którądy musi jechać do dworu. Niemniej jednak z wielką ulgą zobaczył znajomy, powalony pień i jezioro, bo wcześniej obawiał się, że mógł między gęsto rosnącymi drzewami stracić poczucie kierunku.

Przejeżdżając powoli przez polankę, rzucił okiem na surdut. Gdzieś w okolicy musiał być Peter. Rozejrzał się ukradkiem i wkrótce wypatrzył chłopca, czającego się na gałęzi. Uśmiechnął się do siebie i nie zatrzymując się, jechał dalej w stronę podjazdu, jakby niczego nie zauważył. Usłyszał cichy szelest, kiedy Peter opadł na ziemię, chwycił surducik i zaczął go śledzić.

Jack uśmiechnął się jeszcze szerzej. Od Manco nauczył się tego i owego o czyhaniu na przeciwnika, więc młody Peter nie miał szans. Popędził trochę konia, jechał, dopóki nie rzucił mu się w oczy odpowiedni krzak ostrokrzewu, który nadawał się na kryjówkę, i wkrótce za nim zniknął, potem ześlizgnął się z siodła i klepnął konia po zadzie, by ten szedł dalej. Następnie przyczał się cicho przy samej ziemi i słuchał, jak Peter pospiesznie przekrada się ku niemu. Koń potruchtał przed siebie, szeleszcząc paprociami i uderzając kopytami w niezmienny rytm.

Peter nie widział swojej ofiary, ale słyszał ją, więc okrążając ostrokrzew, nie spodziewał się żadnej zasadzki. Nagle coś rzuciło się na niego od tyłu i

rozpląszczyło go na ziemi. "Wrzasnął ze strachu i szarpał się ze wszystkich sił, ale napastnik był silny. Dwie żelazne dłonie chwyciły go za ramiona i przyszpiliły do ziemi, a potem usłyszał śmiech Jacka.

- A więc, paniczu, chciałeś się do mnie podkraść tak, bym tego nie widział, co?

- Niczego złego nie robiłem! - zaprotestował Peter, bełkocząc przez mech i błoto.

- Wiem, chłopcze, wiem. - Jack puścił go i wstał. - Pomyślałem sobie tylko, że przyda ci się nauczka. Nie powinno się podglądać ludzi, Peterze. Któregoś dnia możesz wybrać sobie niewłaściwego człowieka do podpatrywania. - Zerknął na konia, który przystanął i pasł się na kępie trawy.

Peter pozbierał się na nogi i otrzepał ubranie z liści i ziemi.

- Nie robiłem niczego złego - narzekał.

- A jednak robisz coś złego. Słuchaj, będę z tobą szczery. Słyszałem, jak babcia skarżyła się na twoje wybryki i stąd wiem, że uznajesz podpatrywanie za dopuszczalną zabawę.

Peter się zaczerwienił.

- Zawsze to jakieś zajęcie.

Jack skrzyżował ręce i popatrzył na chłopca.

- Jestem pewien, że gdybyś spróbował, znalazłbyś sobie coś ciekawszego i bardziej zadowalającego do roboty.

Peter założył surdut i otrzepał spodnie.

- Pan już wie, co ja naprawdę chcę robić. Chcę jeździć po świecie tak, jak kuzyn babci, Feliks.

- A.

- Pan już jeździł po świecie, więc wie pan, co mam na myśli. Czuję się tak, jakby mnie coś swędziało, a nie mógłbym się podrapać. Myślę o tym teraz przez cały czas. Chciałbym po prostu zobaczyć wszystko, co jest do zobaczenia. Egipt, Grecję, Afrykę, może nawet Australię, ale najbardziej chciałbym pojechać do Ameryki Południowej.

Jack przyglądał się Peterowi. Dokładnie taki musiał być Feliks jako chłopiec, ożywiony tym samym gorącym pragnieniem, by poznawać świat, tym samym zapałem i pragnieniem wiedzy. Wystarczyło posłuchać Petera, a nie miało się najmniejszych wątpliwości, że Feliks Reynolds jest jego dziadkiem.

Peter patrzył na niego z powagą.

- Czy opowie mi pan więcej o Ameryce Południowej i Inkach, panie Lincoln? Ja... chodzi mi o takie sprawy których nie mógł pan poruszać przy mamie i babci.

- A cóż by to mogły być za sprawy? - zapytał Jack zaintrygowany.

- Wie pan, starożytne rytuały religijne, straszliwe zwyczaje związane ze składaniem w ofierze...

- Ależ ty jesteś krwiożerczy - mruknął półgłosem Jack

- Ja po prostu chcę wiedzieć, sir.

- Opowiedziałbym ci, naprawdę bym ci opowiedział, ale obawiam się, że nie będę mógł tego zrobić.

Peterowi zrzęda mina.

- Mama chyba nie zabroniła, prawda?

- Nie, oczywiście, że nie. Powód jest prosty: nie będzie mnie tu, bym ci mógł opowiedzieć. Kiedy wrócę do dworu, zamierzam spakować się i wyjechać.

Peter patrzył na niego skonsternowany.

- Och, proszę, niech pan tego nie mówi, sir. Dlaczego pan wyjeżdża? - Pomyślał o czymś. - Czy pokłócił się pan z mamą? Czy o to chodzi? Ona wróciła bez pana i...

- Nie o to chodzi - przerwał mu Jack pospiesznie. - Nie, po prostu uprzytomniłem sobie, że jest coś ważnego, czym muszę się zająć. Kompletnie mi to wyleciało z pamięci, a teraz, kiedy już sobie przypomniałem, nie mam wyboru, muszę to załatwić. Interesy, rozumiesz - dodał ogólnikowo.

Peter zwiesił głowę.

- Tak bym chciał, żeby pan został.

- Ja również, Peterze.

- Może będzie pan mógł później przyjechać?

- Może. Nie wiem. - Jack pragnął już tylko, żeby chłopiec skończył z tym tematem.

Ale Peterowi zależało, żeby ich gościa przekonać.

- Proszę mi obiecać, że pan wróci, panie Lincoln. Jestem pewien, że mama się zgodzi, a wiem, że babcia zgodzi się na pewno. Ona bardzo pana lubi, bo może jej pan opowiedzieć wszystko o kuzynie Feliksie.

- Jeżeli interesy nie zajmą mi zbyt długo, to wrócę - przyrzekł Jack, czując się bardzo podle, bo przecież wiedział, że nie wróci.

- Mnie się wydaje, że babcia liczy na to, że odciągnie pan mamę od sir Rafe'a - odezwał się nagle Peter.

- Słucham? - Jack poczuł się zaskoczony słowami chłopca.

Peter lekko się zarumienił.

- Przed śniadaniem babcia przejęła list od sir Rafe'a do mamy. Przeczytała tam, że pan Warrender złoży dziś rano u nas wizytę. Babcia nie dała go mamie, tylko dopilnowała, żeby mama pojechała z panem.

A więc to o to chodziło Córce! Oczy Jacka się rozjaśniły. Miał sprzymierzeńca w matce Emily. Tym bardziej szkoda, że sama Emily tak się do niego zraziła.

Peter dotknął jagód na ostrokrzewie.

- Sir Rafe jest teraz u nas. Przyjechał tuż po mamie. Babcia była okropnie niezadowolona.

- Tak, potrafię to sobie wyobrazić. Ja sam nie jestem zbyt zadowolony. - Jack spojrzał chłopcu prosto w oczy. - Wierz mi, Peterze, gdybym sądził, że mógłbym zdobyć twoją mamę, postarałbym się to zrobić - powiedział otwarcie.

Twarz Petera się rozjaśniła.

- Naprawdę?

- Tak się obawiam.

- Proszę zostać - błagał Peter. - Proszę zapomnieć o swoich interesach i zostać tutaj.

- Muszę odjechać, Peterze. Chodź, wrócimy do domu razem. Pojedziesz ze mną, dobrze?

- Dobrze. - W głosie Petera słychać było rozczarowanie, kiedy kierowali się do czekającego konia.

Podjazd znajdował się tylko o kilka jardów dalej za krzakami. Obydwaj odwrócili się, usłyszawszy lekkie kroki kogoś, kto biegł w kierunku Fairfield Hall. To był ten chłopak, którego Jack widział poprzedniego dnia w oknie stróżówki.

Peter wyciągał szyję, dopóki chłopak nie zniknął mu z oczu.

- To Archie Bradwell; jego ojciec jest stróżem i mieszka przy bramie. Ciekawe, po co pobiegł do dworu?

- Jeden pan Bóg raczy wiedzieć - odpowiedział Jack, a potem dosiadł konia i pochylił się, by podciągnąć Petera za siebie.

Szybko dogonili Archie'ego, który na tupot kopyt odwrócił się, a potem zatrzymał, jakby się spodziewał, że coś do niego powiedzą. To pachniało

Peterowi normalną u tego chłopaka bezczelnością i postanowił swojemu zniechęconemu rywalowi utrzyć trochę nosa. Poprosił Jacka, by ten ściągnął wodze, potem w bardzo wyniosły sposób pochylił się nad Archie'em.

- W jakiej sprawie udajesz się do Fairfield Hall? - zapytał, jakby trafili na jakiegoś intruza.

Archie odpowiedział mu dość wyzywającym spojrzeniem.

- Idę tam z wiadomością dla pana Lincoln! - odpowiedział takim tonem, jakby mówił „i możesz się wypchać”.

- O. - Peter się zirytował. Na policzki wystąpiły mu czerwone plamy. Miał wielką ochotę skoczyć na Archie'ego i rozegrać tę sprawę na pięści.

Jack wzdrygnął się na oświadczenie Archie'ego.

- Dla mnie? - Ale przecież tylko Cristoval i Manco wiedzieli, że tu jest!

- Tak, sir - powiedział Archie. - Od pana Solo.

- Solo? - powtórzył Jack bez zrozumienia, a potem się uśmiechnął. - Chcesz powiedzieć: Soto? Cristoval de Soto?

- Tak, od niego. On mówi, że razem z panem Mango albo jakimś takim zatrzymał się „Pod królewskim dębem” i że chcieliby, żeby pan tam jak najszybciej przyszedł. Pan Solo powiada, że ma dla pana bardzo ważną informację.

Peter gwałtownie zaczerpnął powietrza.

- Pan Mango? Czy to mógłby być ten Indianin Manco, panie Lincoln? - zapytał, a oczy mu rozblęły.

Jack przytaknął.

- Tak sądzę, Peterze. - Cristoval i Manco w Temford? Mieli być w Londynie! - Sięgnął do kieszeni po monetę i dał ją Archie'emu. - Powiedz don Cristovalowi, że przyjadę najszybciej, jak będę mógł.

- Tak, sir. - Archie popatrzył z radością na monetę, potem rzucił Peterowi pyszałkowate spojrzenie, odwrócił się i puścił biegiem po pojeździe w stronę bramy.

Peter gapił się za nim spode łba.

- Nie powinien był pan mu dawać żadnych pieniędzy, panie Lincoln.

- Dlaczego nie?

- Bo to gamoń. Jack się uśmiechnął.

- Gamoń?

- Tak. Nienawidzę go! - Peter dalej patrzył z wrogością za oddalającym się chłopakiem.

Jack po prostu musiał się roześmiać.

- No cóż, z pewnością odwzajemniał twoje uczucia. Szkoda, bo gdybyście byli ze sobą w lepszych stosunkach, miałbyś w nim towarzysza.

- Towarzysza? - Peter był przerażony. - Wolałbym zaprzyjaźnić się z grudą węgla!

Jack uniósł brew do góry, ale nie powiedział nic, tylko popędził konia.

Peter milczał przez chwilę, a potem się znowu odezwał.

- Pan... pan nie zapomni o mnie, prawda? Chcę powiedzieć, że nie pozwoli pan panu Manco odjechać, dopóki nie będę miał okazji go poznać?

- Oczywiście że będziesz go mógł poznać, Peterze, pod warunkiem że twoja mama udzieli na to zgody. - Co w tej chwili, jak Jack wiedział, było dosyć wątpliwe.

RS

RS

Rozdział 22

Kiedy Jack i Peter podjeżdżali do dworu, ujrzeli przelotnie Emily i Rafe'a, którzy przechadzali się po tajemnym ogrodzie, woleli więc wybrać okreźną drogę do stajni, by ich nie zauważono. Przekroczyli fosę po przeciwnej stronie domu po drewnianej kładce, która służyła służbie za mostek dla pieszych, i od strony kwiatowego ogrodu weszli na dziedziniec. Tam zobaczyli narowistego karosza Rafe'a. Jeden ze stajennych przeprowadzał tam i z powrotem od łukowatej bramy do tajemnego ogrodu, w którym Rafe i Emily siedzieli teraz w altanie.

Jack spojrział zimno na bliskiego krewniaka, który tak bardzo go skrzywdził. Nie mógł zrozumieć, dlaczego okrutny los ze wszystkich ludzi w Anglii wybrał właśnie Rafe'a Warrendera, by jemu oddać Emily Fairfield.

- Chodźmy, podsłuchamy, co mówią - szepnął Peter i zanim Jack się zorientował, chłopiec przebiegł po kamiennym mostku pod mur okalający ogród; furka do ogrodu ginęła niemal pod pnącymi różami i kapryfolium.

Jack zawahał się; sam nie wiedział, co skłoniło go, by poszedł za chłopcem. Wkrótce on również spoglądał przez bramkę w kierunku altanki, gdzie Emily i Rafe wydawali się pogrążeni głęboko w rozmowie.

Emily zauważyła ich obu, ale niczym nie zdradziła się przed Rafe'em, który akurat wyrażał swój zachwyt, jak wspaniale prezentują się tej jesieni pawie, zwłaszcza białe, których Fairfield Hall posiadał cztery pary. Uśmiechnęła się i szepnęła w odpowiedzi parę słów, sama nie bardzo wiedząc, jakich.

Pszczółki brzęczały w astrach, które kwitły wokół altanki, jesienne słońce migotało na małej podwyższonej sadzawce na samym środku ogródka. Była to magiczna chwila, którą powinna dzielić z kimś kochanym, a nie z Rafe'em Warrenderem. Tego człowieka mogła poślubić, ale pokochać - nigdy. Wzrok jej przyciągnęła widoczna w bramce sylwetka Jacka. I nagle ogarnął ją gniew, nie tylko dlatego, że obydwaj z synem tak ją otwarcie podglądali, ale dlatego, że pragnęła, by na miejscu Rafe'a siedział z nią teraz Jack. Ale to nie był Jack i nigdy nie mógł się na tym miejscu znaleźć.

Rafe mimo woli co chwila zerkał na jej profil. Naprawdę była urzekająco piękna. Niewykluczone, że mógłby się z tą kobietą ożenić, nawet gdyby nie była córką Feliksa Reynoldsa! A już z pewnością cieszył się na chwilę, kiedy będzie ją miał w swoim łóżu. Im szybciej, tym lepiej. Czy uda mu się przekonać Emily, by przesunęli dzień ślubu na wcześniejszą datę? Wsunął

dłoń do prawej kieszeni, by wezwać na pomoc przynoszący mu szczęście kawałek kwarcu.

- Wie pani, że moje uczucie do niej pogłębia się z każdym naszym spotkaniem, prawda, Emily?

- Ależ, Rafe, ja... - Emily uśmiechnęła się blado i zmusiła się, by przestać myśleć o Jacku.

Nagle Warrender ujął jej dłoń i uniósł palce do ust. Starannie ucałował wszystkie jeden po drugim, a potem namiętnie zajął w oczy narzeczonej.

- Będę panią hołubił, Emily. Żadna żona nie zaznała nigdy takiej opieki.

- Jest pan aż nazbyt uprzejmy, Rafe'ie.

- Nie, moja droga, po prostu konstatuje fakty. Nie mogę doczekać się chwili, kiedy będziemy już razem jako mąż i żona, kiedy będę mógł panią uczynić moją w najpełniejszym sensie tego słowa.

Policzki Emily lekko poróżwiały.

- Pana zapały wielce mi pochlebiają i... i zrobię co w mojej mocy, by być panu oddaną żoną.

- Wiem, że wyraziła pani życzenie, by ślub odbył się w Wigilię, ale to wydaje się tak niedorzecznie daleko.

- Niedorzecznie? Ależ to niecałe dwa miesiące. - Błagam, niech on mnie nie prosi, żebym wyszła za niego wcześniej... Ukryła drugą dłoń i skrzyżowała palce. Ten zabobonny gest świetnie pasowałby do Rafe'a.

- Mnie nawet miesiąc wydaje się wiecznością - oznajmił namiętnie Warrender. - Proszę, pobierzmy się prędzej, dużo prędzej.

Emily była tak przerażona, że z trudem zdołała ukryć swoją reakcję. Jakimś cudem udało jej się roześmiać dźwięcznie, jakby się z nim droczyła.

- Sir, nie powinien pan spodziewać się po narzeczonej, że przyspieszy przygotowania do ślubu! Wszystko już rozplanowałam i nie wolno dopuścić, by cokolwiek uroczystość zepsuło. A coś ją zepsuje na pewno, jeżeli będziemy działać w pośpiechu.

- Ale...

- Proszę, Rafe. Proszę mi na to pozwolić. Niech będę dla pana idealną panną młodą. - Zmusiła się, by rzucić mu powłóczyście spojrzenie.

Rafe wiedział, że jeżeli będzie dłużej nalegał, wzbudzi jej podejrzenia, więc postanowił ustąpić. Ale chociaż uśmiechał się ze zrozumieniem, tak naprawdę miał ochotę nią potrząsnąć.

- Jeżeli takie jest życzenie pani serca, moja droga, to oczywiście nasza umowa pozostanie bez zmian. - Tu znowu ucałował koniuszki jej palców.

Oczy Emily padły na sygnet - słynny pierścień spod Agincourt, którym Henryk V w 1415 roku obdarował przodka Rafe'a. Jakiś wydawała jej się dziwny, ale nie potrafiła sprecyzować, dlaczego. I nagle zrozumiała. Łodyżka róży miała pięć kolców, ale na pierścieniu, który naszkicował Geoffrey, było ich tylko cztery! Zapamiętała ten fakt szczególnie dobrze, ponieważ to właśnie owe cztery kolce powodowały, że całość była idealnie wyważona; dodanie piątego kolca zakłócało symetrię. Teraz przyjrzała się pierścieniowi naprawdę uważnie; wydawał się stanowczo zbyt nowy, by ktoś mógł nosić go w 1415 roku. Ryt był zanadto wyrazisty, samo złoto za bardzo błyszczące i nieskalane.

- Ma pan nowy pierścień? - zapytała; nie była się w stanie powstrzymać, chociaż tak nagła zmiana tematu musiała się wydać znacząca.

Rafe dał się zaskoczyć.

- Dlaczego pani pyta?

Emily wydało się, że w jego oczach zauważyła osobliwy, niemal ostry błysk.

- Zwróciłam uwagę, że to nie ten, który nosił pan, pozując Geoffreyowi do portretu. Tamta róża miała cztery kolce, a ta ma pięć.

Rafe wpatrywał się w nią przez chwilę, potem puścił jej dłoń, by spojrzeć na pierścień.

- Ja... hmm. - Pozbierał myśli. - Ogromnie jest pani spostrzegawcza, moja droga, bardziej spostrzegawcza niż Geoffrey, jak się okazuje. Widzi pani, zgubiłem oryginalny pierścień dwa lata temu, podczas towarzyskiego spotkania w St. James, i musiałem polecić, by sporządzono jego kopię. Ten głupiec złotnik w ostatniej chwili sfuszerował całą robotę i musiał dodać jeden dodatkowy kolec, by ukryć swoją niezręczność. Policzył mi za pierścień dużo mniej, to oczywiste, więc zgodziłem się przyjąć go w tej formie.

- Och, rozumiem. To bardzo niefortunne, że zgubił pan oryginał.

- Szalenie niefortunne - zgodził się z nią półgłosem. - Ale Geoffrey musiał tego nie zauważyć, kiedy go malował. Może światło było nieodpowiednie.

- Tak, na pewno - zgodziła się, ale wiedziała, że Rafe kłamie. Światło w długiej galerii zawsze było dobre, a jeżeli Geoffrey naprawdę mógł się czymś szczycić, to swoją dokładnością! Jeżeli narysował cztery kolce, to były tam cztery kolce, a to znaczyło, że Rafe wcale nie zgubił pierścienia spod Agincourt dwa lata temu w Londynie. Przypomniała sobie nawet, że

Geoffrey pierścień szkicował w dzień swojej śmierci. Pamiętała, że przyglądała się, jak jego ołówek pomyka zręcznie po płótnie; i te kolce, jeden, dwa, trzy, cztery... Geoffrey policzył je pod nosem, a potem się do niej uśmiechnął.

Rafe badawczo wpatrywał się w twarz Emily, ale zachowanie narzeczonej uśmierzyło jego niepokój. Niech diabli porwą Geoffreya Fairfielda za to niewolnicze oddanie szczegółom, pomyślał, i niech diabli porwą złotnika za popełnienie tak podstawowego błędu! Ale błąd został zauważony; za późno już teraz, by go naprawiać. Będzie musiał zaufać szczęściu, które od jakiegoś czasu mu dopisuje. Tak więc uśmiechnął się znowu.

- Dzięki pani staję się najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi, Emily.

- No, teraz to już mi pan pochlebia - odpowiedziała lekko, pragnąc, by przestał udawać miłość, której wcale nie czuł. Jakie znaczenie mógł mieć pierścień, kiedy jej spojrzenie przyciągała znowu bramka do ogrodu i Jack. Och, Jack...

- Ależ to nie żadne pochlebstwo, szczerze wypowiedziałem każde słowo - protestował Rafe. I bez wątplenia nie kłamał, miał przecież zakusy na majątek Feliksa Reynoldsa! Położył dłoń na policzku Emily i skłonił ją, by na niego spojrzała. - Nie przypieczętowaliśmy naszej umowy pocałunkiem - wyszeptał.

Emily chciała powiedzieć „nie”, wstać i zaproponować, by znowu pospacerowali, ale wiedziała, że nie może tego zrobić. Tak samo jak wiedziała, że nie może mieć mężczyzny, którego naprawdę pragnęła. Z ogromnym wysiłkiem oparła się chęci zerknięcia w kierunku Jacka i uśmiechnęła się do Rafe'a aż do przesady promiennie.

- Pocałunkiem, sir? Ależ oczywiście - powiedziała miękko i nachyliła się ku niemu.

Dłoń Rafe'a przesunęła się z jej policzka na włosy, które wydały mu się tak ciepłe i uwodzicielskie, że niewiele brakowało, a byłby się zapomniał. Lecz nie zapomniał się; bardzo uważał, by pocałować usta, które mu podała, delikatnie i czule, jakby była dziewczicą, która pierwszy raz umówiła się na spotkanie. Czuł, jak ogarnia go urok Emily, jak budzi w nim namiętność, ale wiedział, że musi tę namiętność chwilowo trzymać w karchach. Na wszystko przyjdzie pora. Będzie miał ją tak często, jak zechce, kiedy zostanie jego żoną. I wykorzysta ją dla własnej przyjemności, och, jak ją wykorzysta...

Tak więc odsunął się lekko, przywołał na twarz serdeczny, czuły uśmiech, ale w jego oczach zapłonęło coś, czego Emily nie potrafiła zrozumieć.

Kiedy na niego patrzyła, nie miała pojęcia, że naprawdę chciał tylko jednego: przyprzeć ją do którejś z kolumn i wziąć ją tak, jakby była pierwszą lepszą ladacznicą, opierającą się o drzewo w parku St. James.

Zaglądający przez kutą kratę bramki Peter był przerażony tym, co zobaczył.

- Jak ona go może całować? Jak może to znieść, jak może mu pozwolić...? - Przygryzł wargę i musiał głęboko odetchnąć, by powstrzymać łzy.

Jack pocieszająco położył dłoń na ramieniu chłopca, chociaż sam czuł się niemal tak samo wstrząśnięty.

- Musisz się z tym pogodzić, Peter, bo teraz tak już będzie - wyszeptał.

I w tym momencie odezwał się jeszcze jeden głos, zaskakując ich obu.

- Nie możemy pozwolić, by ten nonsens trwał dłużej, panowie. Zgoda?

Odwrócili się i za swoimi plecami zobaczyli Corę. Przyglądała im się wcześniej z okna, a teraz zeszła na dół, by uknuć intrygę. Pokazała głową na altanę.

- Przykro mi się robi na samą myśl, że taki łajdak miałby zostać moim zięciem, a nie sądzę również, by się to podobało któremuś z was. Czy mam rację?

Jack uważał, że nie powinien wyrażać swego zdania, ale Peter nie ukrywał, co czuje.

- Nie chcę, żeby mama go poślubiła. Jest dla niego dużo za dobra.

Cora popatrzyła na milczącego Jacka, potem zwróciła się do wnuka.

- Posłuchaj, Peterze, chcę porozmawiać na osobności z panem Lincolnem, musisz więc nas zostawić.

- Och, ale...

- Zrób tak, jak proszę, bądź grzeczny.

Przez chwilę wyglądało na to, że Peter się zbuntuje. Po chwili jednak ustąpił, ale zanim odszedł, rzucił Jackowi błagalne spojrzenie.

- Czy może mi pan obiecać, że nie odjedzie pan bez pożegnania?

- Nawet by mi przez myśl nie przeszło odjeżdżać bez właściwego pożegnania, Peterze.

Nieco pocieszony chłopiec zostawił ich. Wtedy Cora stanęła twarzą w twarz z Jackiem.

- Czy pan nie ma zdania na temat konszachtów Emily i sir Rafe'a?

- Nie do mnie należy wyrażanie opinii w tej sprawie, pani Preston, zwłaszcza że zamierzam właśnie opuścić Fairfield Hall. Niecierpiące zwłoki interesy, rozumie pani...

- Niecierpiące zwłoki interesy? Ależ, drogi panie, przecież oboje wiemy, dlaczego ma pan wyjechać.

- Wiemy? - Jack poczuł, że policzki rumienią mu się lekko z zażenowania. Nie spodziewał się, że Emily zwierzy się matce z tej akurat sprawy.

Cora czytała w jego myślach.

- Och, mówiąc całkiem szczerze, nic właściwie nie zostało powiedziane, sir, ale nie było to potrzebne. Matka potrafi w córce czytać jak w książce, proszę mi wierzyć.

- Tym bardziej zrozumie pani, dlaczego muszę odjechać.

- Sir, wyjedzie pan z tego domu tylko po moim trupie - odrzekła Cora, a potem dodała: - Zwłaszcza że poważnie podejrzewam, iż w tej sprawie winę należy równo rozłożyć na obie strony! Ona nie chce, żeby sir Rafe się o panu dowiedział. Dokładała usilnych starań, by skłonić mnie do milczenia na ten temat. Jak pan to rozumie?

- Sam nie wiem - odpowiedział szczerze.

- A więc ja panu powiem. Gryzie ją sumienie, sir. Wie, że była winna, i wolałaby całą sprawę okryć kurtyną dyskrecji.

- Pani Preston...

- Dość tego, sir! Nie przyjechał pan tutaj po to, by potulnie się stąd wymykać, jak jakiś zbity kundel. Przyjechał pan, by ocalić nas od pana kuzyna, i ocali nas pan!

Jack wpatrywał się w nią szeroko otwartymi oczami, wstrząśnięty do głębi, że Cora wie, iż on i Rafe są ze sobą spokrewnieni.

Cora podeszła o krok bliżej.

- Chyba nie sądzi pan, że Feliks napisał do mnie taki długi list, nie wyjawiając mi dokładnie swoich życzeń, prawda?

Jack odzyskał częściowo panowanie nad sobą.

- Jeżeli napisał pani wszystko, pani Preston, to wie pani bardzo dobrze, że dałem mu słowo, iż przyjadę tutaj i zrobię co mojej mocy, by były panie znowu bezpieczne, bezpieczne od długów i od Rafe'a Warrendera. Dowiodłem już, że mi się to nie udało, bo w jeden dzień zdołałem doprowadzić do tego, że kazano mi wynosić się z majątku. To by było tyle, jeśli chodzi o tajemniczego opiekuna pań!

- Polecenie, by wyniósł się pan z majątku, i samo opuszczenie tegoż, to dwie bardzo różne sprawy, sir. - Głos Córy lekko się załamał, zamrugła, by powstrzymać łzy. - Życzenia Feliksa są dla mnie święte, panie Lincoln. W swoim liście napisał mi więcej, niż panu powiedziałam, bo zwierzył mi się, że uważa pana za idealnego mężczyznę dla Emily. A ja się z nim zgadzam. Błagam więc, by pan nie odjeżdżał. Wciąż jeszcze może nas pan uratować przed tym smokiem Warrenderem i unieść Emily w swych męskich ramionach. Ona tego nie wie, ale przez całe swoje życie czekała na pana.

Żadne z nich nie słyszało ukradkowych kroków w krzakach, które ocieniały wejście do ogrodu; i żadne z nich nie zauważyło, jak Peter rozchyłał liście, by lepiej usłyszeć, co mówią. A z każdym słowem oczy chłopca robiły się coraz większe.

RS

RS

Rozdział 23

Cora wyduła lekko wargi.

- Wszyscyśmy wpadli w sieć Feliksa, panie Lincoln, a przynajmniej ja ze swej strony zdecydowana jestem dopilnować, by jego życzenia się spełniły. Jeżeli opuści pan nasz dom, rażąco pan Feliksa zawiedzie. A na dodatek zawiedzie pan i siebie, żeby już nic nie mówić o Emily, która naprawdę bardzo pana potrzebuje.

- Pani Preston, nie sądzę, by córka pani zechciała na to przystać; nasze stosunki nie mogłyby już chyba ułożyć się gorzej.

- Jeżeli tak pan sądzi, to najwyraźniej dużo słabiej rozumie pan kobiety, niż to po pana wyglądzie sądziłam - powiedziała Cora odrobinę ironicznie.

- Może do tej chwili kobiety nie miały dla mnie aż takiego znaczenia.

- Bardzo się z tych pana słów cieszę.

- Nie ma wstrętniejszego człowieka pod słońcem niż mój kuzyn i z całą pewnością wolałbym umrzeć, niż pozwolić na jego zaślubiny z Emily - oznajmił Jack otwarcie i zaraz pospiesznie się poprawił. - To znaczy, chciałem powiedzieć, z panią Fairfield.

- Nie, wcale pan tak nie chciał powiedzieć, chciał pan powiedzieć: Emily.

- Cora uśmiechnęła się porozumiewawczo. - A co do pana uczuć względem sir Rafe'a, no cóż, dobrze potrafię je dobrze zrozumieć. On i sir

Quentin Brockhampton przedłożyli fałszywe dokumenty, by odebrać panu to, co do pana należało, prawda? To pan jest prawowitym właścicielem sygnetu z niebieską różą, który on z taką butą nosi. - Tu uśmiechnęła się znowu. - O, tak, list Feliksa był bardzo bogaty w informacje.

Stojącemu wśród krzewów Peterowi usta się rozchyliły ze zdumienia.

Jack poczuł potrzebę wytłumaczenia się ze swej powściągliwości.

- Pani Preston, na samym początku, kiedy tu przybyłem, wydawało mi się, że nie będzie rzeczą właściwą nadmieniać o łączących nas z Rafe'em więzach krwi, a to z powodu bliskich zaręczyn Emily z tym człowiekiem. Nie bardzo mogłem przecież powiedzieć: „A skoro już mówimy o Rafe'ie Warrenderze, on właśnie jest rym moim kuzynem, który uciekając się do oszustwa wyzwał mnie z dziedzictwa. Mam go w pogardzie”.

- Akceptuję w pełni pana powody, panie Lincoln, ale sądzę, że powinien pan to powiedzieć Emily.

- I jeszcze bardziej wrogo ją do siebie nastawić? - Jack uniósł brew do góry.

- Powinna się o tym dowiedzieć.

- Tak pani sądzi, pani Preston, ale gdybym powiedział, że moim zdaniem Emily powinna się również dowiedzieć, iż Feliks jest jej ojcem?

Na tę rewelację Peter aż cicho krzyknął. Cora usłyszała jego krzyk, ale nie wiedziała, co by to mogło być ani skąd dokładnie głos dochodził.

- Czy słyszał pan coś? - zapytała z niepokojem, rozglądając się dookoła. W tym samym momencie z ogrodu wymknął się kot i szorując niemal brzuchem po ziemi, pobiegł do domu. Cora natychmiast znowu się odprężyła i skupiła uwagę na Jacku. - Wiem, że Emily musi poznać mój raczej szokujący sekret, panie Lincoln, zwłaszcza że widzę, jak Peter z dnia na dzień robi się coraz bardziej podobny do dziadka. Niczym dwa ziarnka grochu z jednego strączka, nieprawdaż? - Tak.

- A więc niedługo jej powiem i spodziewam się, że pan zrobi to samo.

Jack niechętnie pokiwał głową.

- Jeżeli taka jest pani rada, zastosuję się do niej, ale mimo wszystko sądzę, że...

- Wiem, o czym mówię, sir. Proszę jej po prostu wszystko powiedzieć. - Cora zaczerpnęła powietrza. - Troszkę zboczyliśmy z tematu, przecież omawialiśmy problem sir Rafe'a Warrendera. Nie może pan jeszcze o tym wiedzieć, ale sir Quentin jest gościem w zamku.

- Swoją zawsze ciągnie do swego - mruknął Jack.

- O, tak. Zlatują się w jedno miejsce jak sępy. - Cora przeciągle odetchnęła. - Musimy coś z tym zrobić, sir, więc trzeba poskładać wszystkie informacje do jednej puli.

- Do tej puli może wpłynąć więcej informacji, niż pani sądzi. - Jack powiedział jej o wiadomości od Cristovala.

- Cristoval? A, tak, Feliks wspominał o nim, podobnie jak pan, wczoraj przy obiedzie. Don Cristoval de Soto to jego pełne nazwisko, prawda? A z nim chyba jest ten Indianin, Minco, czy jakoś tak?

- Manco.

- No właśnie. Co jak co, ale obecność prawdziwego Indianina z Peru w Temford może wreszcie przywołać na twarz Petera uśmiech, tak na odmianę. Jak pan myśli, co don Cristoval ma panu do powiedzenia?

- Nie mam pojęcia, ale musi to być coś dla nich niesłychanie ważnego, skoro zrezygnowali z pobytu w Londynie, żeby przyjechać do Temford. Zamierzam udać się „Pod królewski dąb”, jak tylko stąd wyjadę.

- Ale pan stąd nie wyjedzie - zaprotestowała stanowczo Cora.

- Pani Preston...

- Proszę zapomnieć o życzeniach Emily, sir. Jest pan moim gościem, a nie jej. A ja słyszeć nie chcę, by don Cristoval i Manco mieli mieszkać w jakiejś gospodzie, kiedy dysponujemy całym mnóstwem wolnych pokoi. Nie, proszę już się nie opierać, bo podjęłam ostateczną decyzję. Pan zatrzyma się tutaj, podobnie jak pańscy przyjaciele... przyjaciele Feliksa - dodała znacząco, jakby powołanie się na Reynoldsa mogło przypieczętować całą sprawę raz na zawsze.

Peter w swojej liściastej kryjówce ze szczęścia aż objął się ramionami. Manco naprawdę przyjedzie do ich domu? Co za radość!

Ale Jack nie mógł pozwolić, by na tym stanęło.

- Pani Preston, wbrew pani zapewnieniom ani ja, ani moi przyjaciele nie możemy...

- Dobry Boże na niebiesiech, panie Lincoln, ile razy muszę panu wyjaśniać tę sprawę? Przyjechał pan tu rzekomo po to, by zobaczyć się ze mną, a więc jest pan moim gościem, a nie Emily. Załatwię tę sprawę z nią, nie zwlekając, bo nie bez powodów mogę twierdzić, że nie ma ona prawa odprawiać mojego gościa.

- Ależ ma prawo, pani Preston, ponieważ popełniłem bardzo poważne wykroczenie.

- Czy tak? Coś mi się zdaje, że zbyt wiele winy bierze pan na siebie. Czy może mnie kategorycznie zapewnić, że w żadnej chwili pana atencji nie były przez nią mile widziane?

Peterowi szczęka opadła. Atencji? Co ta babcia ma na myśli? Co pan Lincoln zrobił?

Jack odwrócił wzrok. Czy mógł ją o tym zapewnić? Nie, nie mógł. Do diabła, dobrze przecież wiedział, że były mile widziane.

Cora uśmiechnęła się triumfalnie.

- Widzi pan? Sam pan rozumie, że musi pan tu zostać... ze względu na wszystkich. Tak jestem źle nastawiona do sir Rafe'a, że niemal patrzeć na tego człowieka nie mogę. Nigdy nie sądziłam, że zniżę się do tego, by ukrywać czyjeś listy, a dzisiaj nawet do tego doszło. Zrobiłabym wszystko, byle nie dopuścić do ich małżeństwa, absolutnie wszystko. - Jej spojrzenie przeniosło się na parę w altanie. - Dokonajmy więc przeglądu znanych nam faktów i zobaczymy, czy dwie głowy pomogą nam się lepiej rozeznąć w sytuacji niż jedna.

Postąpili zgodnie z jej propozycją, wymieniając i omawiając fakty, dopóki nie byli pewni, że niczego nie pominęli. Ale na koniec Cora potrząsnęła z zakłopotaniem głową.

- Dlaczego on jest taki zdecydowany, żeby się z nią ożenić, panie Lincoln? Och, wiem, że jest śliczna, ale mam bardzo silne przeczucie, że kryje się za tym dużo więcej niż na pierwszy rzut oka widać. Warrender po prostu z siebie wychodzi, żeby tylko ten związek doszedł do skutku. Jestem pewna, że to nie zbieg okoliczności, iż tak wiele listów z żądaniem zapłaty przychodzi od klientów sir Quentina Brockhamptona! Niekiedy wydaje mi się, że naszym jedynym przyjacielem na całym świecie jest pan Mackay, który zadał sobie wiele trudu, by nam pomóc. To nie jego wina, że wszystkie te wysiłki spełzły na niczym. Poza nim cała reszta dokładała tylko starań, by utrudniać życie Emily i wywierać na nią presję.

- Powód ich działalności jest dla mnie równie tajemniczy jak dla pani - odpowiedział Jack. - Rozumiałbym to, gdyby Emily była bogatą dziedziczką, ale oboje wiemy, że nie jest.

- Tak, obawiam się, że wiemy. Ale trzeba znaleźć rozwiązanie tej zagadki, sir, a panu i mnie przypadła chyba rola detektywów.

Jack się uśmiechnął.

- Rzeczywiście.

- Tak więc przyjmuję, że nie będzie pan już protestował przeciw pobytowi w naszym majątku?

- Nie będę już protestował.

Stojący w krzakach Peter się rozpromienił.

Nie minęła godzina, a już doszło do konfrontacji Emily z Jackiem w wielkim salonie. Z błyszczącymi od mieszanych uczuć oczami pani domu zamknęła drzwi, oparła się o nie i podniosła wzrok na niepożądanego gościa, który stał po drugiej stronie pokoju.

- Jak śmie pan pozostawać w naszym domu, skoro kategorycznie prosiłam, by pan wyjechał! - fuknęła.

Rafe już odjechał, a Cora i Peter bardzo rozsądnie się gdzieś zaszyli, kiedy już Cora jakoś przetrwała niezmiernie trudne spotkanie z córką. Ich podniesione głosy słyhać było w całym domu. Po rozmowie z matką Emily ruszyła na następne spotkanie. Przebrała się we wrzosową suknię, fryzura trochę jej się rozleciała, bo wcześniej, podczas przejażdżki, miała na głowie kapelusz. Patrząc, jak pierś młodej kobiety unosi się i opada, Jack zorientował się, że jej gniew jest bardzo prawdziwy, chociaż w oczach

malowały się też inne uczucia. A może tylko miał nadzieję, że widzi coś więcej w ich promiennych głębinach? Rozpaczliwie szukał słów.

- Pani Fairfield... Emily...

- Nie dałam panu pozwolenia, by zwracał się pan do mnie tak poufale! - zawołała, prostując się przy drzwiach i postępując kilka kroków w głąb pokoju,

- Nie chcę pani w żaden sposób obrazić, chcę tylko, by nie czuła się pani dotknięta.

- A więc natychmiast powinien pan wyjechać! Jack spojrzał jej prosto w oczy.

- Proszę mi wierzyć, że byłbym tak postąpił, ale przekonano mnie, że powinienem zostać.

- Tak więc moje życzenia nic dla pana nie znaczą?

- Wie pani, że tak nie jest - zaprotestował z wyrzutem.

- Niczego takiego nie wiem! Złamał pan wszelkie zasady, kiedy byliśmy nad rzeką, i gdyby miał pan choć krztę honoru, wyjechałby pan, niezależnie od tego, czy moja niemądra matka błaga pana, by pan został, czy nie.

Teraz zaczął budzić się również gniew Jacka.

- Może to prawda, że złamałem zasady, ale nie sądzę, by była pani aż tak przeciwna moim czynom, jak chciałaby mi to pani teraz wmówić!

Płomienny rumieniec zalał policzki Emily.

- Fakt, że potrafi pan coś takiego powiedzieć, jest kolejnym dowodem na pański brak honoru - rzekła.

- W tej konkretnej prawdzie nie ma niczego niehonorowego - odparł.

- Chcę, by pan opuścił ten dom, panie Lincoln - powtórzyła stanowczo, nie patrząc na niego.

- Proszę, niech pani tego ode mnie nie żąda, bo dałem słowo pani Preston - odpowiedział spokojnie. A wcześniej dałem słowo twojemu ojcu...

- Był pan łaskaw dać słowo po tym, jak wyrzuciłam pana z domu.

Teraz Jack był już równie zły jak Emily.

- Rozkaz ten został wydany w gorączce chwili! Wargi Emily rozchyliły się w cichym okrzyku oburzenia.

- W gorączce chwili!

- Czy zamierza mi pani wmawiać, że nie tak się sprawy miały?

Emily uniosła brodę do góry.

- Zamierzam.

- A więc fałszywie zrozumiałem to, co działo się tuż przed atakiem pani wyrzutów sumienia? "Wydawało mi się, że miałem panią w ramionach i że oddawała mi pani pocałunek? - Głosem i postawą rzucał jej wyzwanie, by zaprzeczyła prawdzie.

- Ja... poniosło mnie. Jeździłam tam z Geoffreyem...

- Proszę się nie wykręcać, Emily! To nie ma nic wspólnego z przeszłością, a wyłącznie z teraźniejszością! Chciała pani, bym ją trzymał w ramionach, pragnęła pani tego pocałunku i gdybym nie powiedział tego, co powiedziałem, całowalibyśmy się dalej. Przypomniałem pani o jej długach i dlatego przesadnie pani zareagowała. A obecnie doszło do tego, że przierzucamy się obelgami jak dwoje złośliwych dzieci. No cóż, musi mi pani wybaczyć, że nie zgadzam się wyjechać, bo ten konkretny dudek zostaje w gniazdku na życzenie pani matki. - I jeszcze dlatego, że ślubowałem sobie, iż spełnię daną Feliksowi obietnicę!

Emily patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, własnym uszom nie wierząc, że pod swoim dachem spotkała się z tak stanowczym sprzeciwem. Ale gdzieś w głębi serca jakaś jej część, którą mogła ukrywać, ale której nie mogła się wyprzeć, cieszyła się, że Jack zostaje. Odwróciła wzrok.

- Uważam, że jest pan wstrętny - szepnęła.

- Nie, wcale pani tak nie uważa. Podobam się pani równie bardzo, jak pani podoba się mnie. I proszę nie udawać że jest inaczej, bo to nie przejdzie!

Emily z furią podniosła na niego oczy.

- Dlaczego pan to robi, sir? Czy zamierza mnie pan uwieść? Czy wyobraża pan sobie, że mimo wszystko łatwo będzie podbić moje serce i że na pańskie następne skinienie omdleję w pana męskich ramionach? No cóż, czeka pana zawód, panie Lincoln, bo wolałabym poślubić tysiąc Rafe'ów Warrenderów niż poddać się następnemu pana pocałunkowi!

- A więc wolałaby pani poślubić złodziejskiego krętacza, który nagina prawo, żeby odebrać innym to, co do niego nie należy! - podniósł głos Jack.

Emily się wzdrygnęła.

- Co pan ma na myśli?

- Tylko tyle, że Warrender jest moim kuzynem i że to on zlecił sfałszowanie dokumentów, by zyskać legalną podstawę, pozwalającą zakwestionować w sądzie moje prawo do należnego mi dziedzictwa! Wygrał dzięki sir Quentinowi Brockhamptonowi, a ja straciłem wszystko, co było mi drogie. To przez Warrendera musiałem opuścić Anglię, przez niego

spędziłem lata na wygnaniu. Jest hańbą dla swego tytułu, hańbą dla statusu dżentelmena i hańbą dla samej Angli. Tak więc, moja droga pani Fairfield, jeżeli woli pani tysiąc razy poślubić jego niż przyjąć pocałunek ode mnie, to życzę wszystkiego najlepszego!

Z tymi słowy minął ją i gwałtownie otworzył drzwi. Odchodząc, nie obejrzał się za siebie, ale czuł się tak, jakby mu serce miało pęknąć.

- Och, Emily, Emily, co ty ze mną zrobiłaś? - wyszeptał.

RS

RS

Rozdział 24

Skończywszy pełną wzajemnych oskarżeń wymianę zdań z Jackiem, wstrząśnięta Emily zeszła na dół. Prawie nie mogła uwierzyć w to, co właśnie usłyszała, i wciąż jeszcze miała zamęt w głowie, kiedy zobaczyła, że w holu czeka na nią matka.

- Emily, chciałabym z tobą porozmawiać na ważny temat... - zaczęła Cora, która zebrała się na odwagę i postanowiła przyznać się do swego romansu z Feliksem.

Emily wzięła się w garść. Musi się poważnie rozmówić ze swoją kłopotliwą rodzicielką.

- Lepiej późno niż wcale - odrzekła krótko, patrząc na matkę oskarżycielsko.

Cora się cofnęła.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Przypuszczalnie chciała mi mama powiedzieć, że sir Rafe i pan Lincoln to kuzyni?

Cora zamrugnęła oczami.

- Ja, no cóż...

- Mamo, czy nie przyszło mamie na myśl, że powinnam o tym wiedzieć?

- W pytaniu Emily słyhać był0 wyrzut.

- Ja... - Cora nie wiedziała, co powiedzieć. Odchrząknęła i zdołała spojrzeć córce w oczy. - I co się stanie teraz, kiedy pan Lincoln ci powiedział?

- Stanie? No cóż, pan Lincoln nadal stanowczo nie zgadza się odjechać, ale o tym już mama wie, prawda? Arogancki gość mamy, będący wrogiem człowieka, którego mam poślubić, wbrew wszystkiemu postanawia tu zostać.

- Tak, moja droga, ponieważ uniemożliwiłam mu wyjazd - wyjaśniła Cora spokojnie.

- Dlaczego? Dlaczego jest to takie ważne dla mamy, żeby tu został? - zapytała ostro Emily. - Może to po prostu mamę bawi, że wróg sir Rafe'a mieszka pod tym dachem?

- To było niegodnie ciebie, Emily. Chcę, by pan Lincoln pozostał tutaj, bo przy nim czuję się chociaż trochę bliżej Feliksa.

- I to jest jedyny powód?

- Czy nie wystarczający?

- Przypuszczam, że będzie musiał wystarczyć. Najwyraźniej ja nie mam nic do powiedzenia o tym, co dzieje się w moim domu.

- Och, daj spokój, Emily, nie zachowuj się tak teatralnie. Naprawdę robisz z igły widły.

- Z igły wi...? Mamo, pan Lincoln pogardza sir Rafeem!

- Znam jego uczucia - zauważyła Cora z ironią.

- Niech mama nie próbuje żartować z tej sytuacji, bo na to nie pozwolę! - wykrzyknęła Emily.

- Żartować? Och, kochanie, do tego się ta sytuacja absolutnie nie nadaje. Przecież sir Rafe wyzuł pana Lincolna ze wszystkiego, co do niego należało.

- Tak jest mama łaskawa wierzyć.

W oczach Cory coś zamigotało.

- Tak jest łaskaw wierzyć również Feliks. Sir Rafe, przy szalbierczej pomocy sir Quentina Brockhamptona, uknuł spisek, by w rejestrze urodzeń zmienić wpis na taki, który świadczyłby, że to jego antenatka, a nie pana Lincolna, urodziła się pierwsza. Pan Lincoln nic nam o tym nie mówił, ponieważ nie wiedział, czy nie kochasz sir Rafe'a. - Cora się zawahała. - Ta haniebna historia daje mi jeszcze jeden powód, bym sprzeciwiała się twemu małżeństwu, bo jakże mogłabym popierać związek z tak bezwzględny łajdakiem?

- A ja nadal twierdzę, że poznaliśmy tylko wersję pana Lincolna, po którego stronie stoi również Feliks, na co pozwolę sobie zwrócić mamie uwagę. - Emily zadarła brodę do góry, co świadczyło, że z oślim uporem postanowiła nie dopuszczać do siebie zdrowego rozsądku w żadnej formie, kształcie czy postaci.

- Bądź uczciwa wobec siebie, Emily Fairfield, i przyznaj, że w głębi serca przekonana jesteś, iż słuszość leży po stronie pana Lincolna.

- Nie zniżę się do odpowiedzi na tę supozycję.

- A to mi wystarczy za odpowiedź - zauważyła gładko Cora. - No cóż, moja droga, stoi teraz przed tobą następny problem, z którym się musisz uporać, ponieważ Peter i ja nie tylko życzymy sobie, by pan Lincoln się u nas zatrzymał, ale na dodatek chcemy zaprosić jego peruwiańskich przyjaciół. Czy mogę wystosować do nich zaproszenie?

Emily z trudem odzyskiwała zimną krew.

- Mamo, nie wiem, dlaczego mama zadaje sobie trud, by o to pytać, skoro i tak postąpi mama tak, jak zechce - powiedziała z całkiem sporą dozą urazy.

- Tylko dlatego, że mnie tak rozpieszczasz, moja droga - uśmiechnęła się Cora w sposób, który każdego mógłby doprowadzić do furii.

- Bardzo żałuję, że od czasu do czasu mama nie rozpieszcza mnie.

- Robię to, kochanie, i bardzo dobrze o tym wiesz.

- Wiem? Mamo, na każdym kroku stawia mama opór mojemu związkowi z sir Rafe'em, a przynajmniej usiłuje mama to robić. To bardzo bolesne, że mimo wszystko nie potrafi mama przyjąć do wiadomości, iż mam bardzo ważne powody, by chcieć zostać lady Warrender.

- Wiem, że są takie powody, Emily. Masz długi, ale z pewnością mieszek Feliksa odrobinę załagodził tę kwestię?

- Odrobinę, i tylko chwilowo. - Emily poczuła, że musi przymknąć oczy na złożoną Rafe'owi obietnicę. Powie matce o wypisanych przez Geoffreya skryptach dłużnych; ale jego francuskie sympatie to całkiem inna sprawa. - Mamo, sytuacja jest dużo gorsza, niż sobie mama wyobraża. Dużo gorsza.

Cora wpatrywała się w córkę.

- Co chcesz przez to powiedzieć, kochanie? - zapytała cicho.

- Chcę powiedzieć, że Geoffrey zostawił o wiele więcej długów karcianych... zaległych skryptów dłużnych... niż się nam na samym początku wydawało, i że pomoc Rafe'a jest teraz bardziej niezbędna niż kiedykolwiek.

Cora powoli zaczerpnęła tchu.

- Skąd dowiedziałas się o tych długach?

- Rafe mi powiedział.

- Och, Emily! A ty mu wierzysz? Oczy Emily pociemniały z urazy.

- Tak, mamo, wierzę mu. Pokazał mi jeden z tych skryptów, na sir Lumsleya Carrowby. Rafe ten dług spłacił. A skrypt skreślił ręką własną Geoffreya, nie mam co do tego wątpliwości.

- Tak więc drogi Rafe znalazł jeszcze jeden środek nacisku, który może wobec ciebie wykorzystać? - zauważyła Cora z gniewem.

- Przyznaję, że bardziej niż przedtem czuję się zobligowana do stosowania się do życzeń sir Rafe'a, ale kiedy mówi, że ma dla mnie wiele przywiązania, wierzę mu.

- Och, przestań, bo dreszcz mnie przechodzi, przecież rozmawiamy o nicponiu, który kazał fałszować dokumenty, by obrabować kuzyna z tego, co mu się z prawa należało!

- Mamo, nie mogę zmusić mamy, żeby przestała się mama sprzeciwiać temu związkowi, ale o jedno mamę proszę. Niech mama nikomu nie

wspomina o tych długach. Jest to życzeniem Rafe'a... i moim... żeby nie kalać reputacji Geoffreya, do czego z pewnością by doszło, gdyby rozniosło się po świecie, że zostawił po sobie oprócz innych długów cały plik skryptów.

- Cały plik?

- Tak. I może powinna mama wiedzieć, że to Rafe wyraził pragnienie, by chronić Petera i nie dopuścić, by do nazwiska jego ojca przyłgnęło jakieś piętno.

- A więc teraz mamy już archanioła Rafe'a? - wymamrotała pod nosem Cora.

Emily zignorowała tę cierpką uwagę.

- Czy obieca mi mama, że zachowa mama milczenie na temat tego, co właśnie mamie powiedziałam?

- Tak.

- Dziękuję mamie. - Emily chwyciła spódnicę po bokach i ruszyła pospiesznie do drzwi, po kamiennej podłodze niósł się pogłos postukiwania jej obcasików. Zatrzymało ją rozpaczliwe wołanie Cory, która czuła, że musi córce wyznać prawdę teraz...!

- Emily, mam ci coś jeszcze do powiedzenia. Emily przystanęła i się odwróciła.

- Coś jeszcze?

Cora popatrzyła na nią, nagle nie była w stanie ubrać tego, co miała do powiedzenia, w słowa. Z oczu jej trysnęły łzy, wargi zadrżały, pochyliła głowę. Emily, bardzo zmartwiona, pospieszyła do jej boku.

- Mamo? O co chodzi? Co się stało?

- Muszę... muszę ci coś wyznać - szepnęła Cora.

Emily podprowadziła ją do ławy podokiennej z widokiem na kwiatowy ogród. Córce się serce ścisnęło, bo ten widok przypomniawszy jej, że tu właśnie po raz ostatni spotkała się z Feliksem. Emily ujęła matkę za rękę.

- Proszę, niech mama mi powie co, mamę tak martwi. Co prawda przemówiłyśmy się właśnie, ale wie mama, że nie zmieniło to mojego przywiązania do mamy, prawda?

Cora powoli odetchnęła.

- Tak, moja droga, ale to, co zamierzam ci powiedzieć, może wszystko zmienić. Widzisz, ja... jestem kobietą z przeszłością.

Wargi Emily się rozchyliły.

- Z przeszłością? Mamo, tak to mama mówi, jakby była mama... no, nierządnicą.

- Może tak właśnie będziesz o mnie myślała, kiedy się dowiesz...

- Dowiem się czego? - Nie wiedzieć skąd Emily przyszło na myśl imię Feliksa.

Cora przełknęła.

- Moja droga, wiesz, że nie kochałam twojego ojca -Tak.

- I że kochałam Feliksa? Emily zaczęła świtać prawda.

- Tak - powiedziała powoli.

- A czy kiedyś zastanawiałś się nad tym, jak bardzo Peter pragnie przygód? Jak marzy o podróżach?

- Feliks jest moim ojcem, czy tak? - zapytała cicho Emily.

Cora spuściła oczy.

- Tak - wyszeptała.

Emily powoli się podniosła. Chyba wiedziała o tym od chwili, kiedy po raz pierwszy uświadomiła sobie, że Feliksa i jej matkę coś łączyło; tylko nie przyznawała się sama przed sobą do tego, po prostu.

Cora patrzyła na nią niespokojnie, niepewna reakcji córki.

- Feliks jest po tysiącokroć bardziej wspaniały niż człowiek, którego zawsze uważałaś za ojca. Jest dla mnie tym, czym Jack Lincoln powinien być dla... - Tu urwała.

I znowu Emily dokończyła zdanie za nią.

- Czym Jack Lincoln powinien być dla mnie? Czy to właśnie zamierzała mama powiedzieć?

Cora spojrzała na ogród.

- Tak - szepnęła. - Tak, dokładnie to właśnie chcę powiedzieć, moja kochana. Ja kochałam i przegrałam, a ten ból przeszywa mnie codziennie, przez całe życie. Proszę, nie pozwól, by to samo stało się z tobą.

Emily nie mogła tego znieść już ani chwili dłużej. Chwyliła w garść spódnicę i wybiegła na korytarz. Cora ukryła twarz w dłoniach.

RS

Rozdział 25

Wkrótce po bolesnym spotkaniu z Emily Jack pojechał „Pod królewski dąb”, by zobaczyć się z Cristovalem i Manco. Udał się tam kolaską Cory na stanowcze naleganie tej damy, ponieważ obstawała przy tym, że Cristoval i Manco powinni zatrzymać się w Fairfield Hall.

Chłodne popołudnie miało się już ku końcowi, a kiedy kolaska wjeżdżała na podwórzec gospody, w oknach paliły się światła. Jack wysiadł i odwrócił się, bo uwagę jego przyciągnął hałas, dochodzący z przestronnej nowej sali zgromadzeń. Przygotowania do listopadowej fety były już na ukończeniu. Postukiwanie młotków, ludzkie głosy i ogólny zgiełk niosły się aż na podwórzec. Różne okrzyki dobiegały również z ciemności za nowym budynkiem, gdzie miało zapłonąć ognisko. Inna grupa mężczyzn układała tam w stos to, co zostało z jakiegoś zbutwiałego starego powozu.

Było bardzo zimno i Jackowi para buchała z ust, kiedy zdejmował cylinder i pochylał głowę, by wejść do gospody. Karczmarz, pan Porter, pospiesznie skierował go do pokoi, zajmowanych przez przyjaciół. Nie wyglądał na uszczęśliwionego, kiedy Jack wymienił nazwisko Manco, i mamrotał coś na temat „zatraconej pogańskiej muzyki o każdej porze dnia i nocy”.

- Pogańskiej muzyki? - powtórzył Jack z zaciekawieniem. Przecież Manco nie koncertował chyba na swoim fłecie w samym środku Shropshire!

- Pan Manco zeszłej nocy zaczął grać na tej świstawce czy co to tam jest o trzeciej nad ranem i pobudził wszystkich swoim tupaniem. Powiedział, że przygotowuje się na poranną wizytę jakiejś kobiety nazwiskiem Wera Koczek czy Wera Kocza, czy jakoś tak. Diabelne miałem kłopoty, żeby wbić mu do głowy, że tutaj, w Temford, nie może w taki sposób zakłócać spokoju. Przestrzegłem go również, żeby nie przyjmował w swoim pokoju żadnych kobiet. Gospoda „Pod królewskim dębem” to przyzwoity zajazd. Don Cristoval jakoś go w końcu przekonał.

- A.

- Jeżeli to się powtórzy tej nocy, nie ma rady, będę musiał poprosić ich, żeby się wyprowadzili.

- Nie sądzę, by miało do tego dojść, sir.

- Mam nadzieję, że nie, sir, bo jeżeli z zajazdu trzeba wyrzucać gości, wcale nie poprawia to jego reputacji.

Manco zachowuje się zgodnie ze swoim charakterem, pomyślał sobie Jack, pospiesznie wstępując na schody. Cristoval ucieszył się na jego widok.

- Ach, mój drogi przyjacielu! Wejdz, proszę, wejdz.

- Myślałem, że jesteście w Londynie - powiedział Jack, zamykając drzwi za sobą.

- I bylibyśmy, gdyby nie pewne wydarzenie - odrzekł Cristoval, podchodząc do hamaka i trącając Manco, który mocno zasnął.

Indianin wzdrygnął się i obudził, a twarz rozpromieniła mu się z radości, kiedy zobaczył gościa.

- Capac Jack! - zawołał i zwinnie wysunął się z hamaka, by potrząsnąć ręką Jacka.

Jack szeroko się do niego uśmiechnął.

- Słyszałem, że znowu wyśpiewywałeś serenady temu, kogo wyśpiewać nie sposób. Manco, ty stary draniu.

Manco spojrzał spode łba.

- Flet dobry. Raduje Wirakoczę.

Cristoval rzucił Jackowi cierpiętnicze spojrzenie,

- Nie sądzę, bym był to w stanie długo wytrzymać, Jack. Kłopoty wszędzie zdają się deptać Manco po piętach i powoli robi się to całkiem nieznośne.

Manco nie przestawał spoglądać spode łba.

- Anglia bardzo głupi kraj - oznajmił, siadając po turecku na podłodze.

Cristoval wyjął z jednego z kufrów kieliszek, a potem zaniósł go do stołu, na którym stała otwarta butelka aguardiente, a obok niej dwa kieliszki. Nalał od serca trunku do wszystkich i we trzech wzniesli serdeczny toast za przyjaźń. Następnie Jack oparł się o parapet i popatrzył na Cristovala.

- Cóż to za ważne wieści masz dla mnie? Cristoval usiadł na fotelu.

- No cóż, ponieważ prawa przypadku są takie a nie inne, zdarzyło się, że poszedłem się czegoś napić do londyńskiej kawiarni, gdzie pewien sir Quentin Brockhampton zmuszony był dzielić ze mną stół. A, widzę że pamiętasz nazwisko sir Quentina.

- Pamiętam. To rzeczywiście ciekawy zbieg okoliczności, Cristovalu.

- A na dodatek okazał się opłacalny. Sir Quentin ma bardzo wiele pracy, a dosyć niezdarne manipuluje plikami dokumentów, które przy sobie nosi. Kilka z nich spadło mu na podłogę, a ja pomogłem je pozbierać. - Cristoval wyciągnął z kieszeni ukradziony list i podał go Jackowi. - Wpadł mi w oko i uznałem za stosowne go zatrzymać. Niewykluczone, że wzmianka w nim

odnosi się do zniknięcia pieniędzy, które Feliks przed laty powierzył sir Quentinowi, ale moje zdecydowane podejrzenia wzbudziła data, czternasty grudnia. Jack pospiesznie przebiegł wzrokiem pismo.

- I dosyć są te podejrzenia uzasadnione - zamruczał. - „Dama” musi być Emily Fairfield, data aż za dobrze pasuje. A GF musi oznaczać jej świętej pamięci męża, Geoffreya.

- Brockhampton jest tu, w Temford - powiedział wtedy Cristoval.

- Wiem.

- A czy wiedziałeś również, że jego paskudne serce zapłonęło uczuciem do tej nieszczęsnej pani Preston?

- Naprawdę?

- Tak mnie poinformował.

- A czy mówił coś jeszcze? - zapytał Jack, popijając małymi łydkami aguardiente i rozkoszując się jej smakiem. Zapomniał już, jak bardzo to lubił.

- No cóż, powiedział, że musi w pilnej sprawie zobaczyć się z Warrenderem, ponieważ dowiedział się czegoś od pewnej osoby trzeciej.

- Czegoś?

Cristoval przytaknął.

- Niestety, nie podzielił się ze mną tą wiadomością, powiedział tylko, że uważa, iż tę akurat informację powinien niezwłocznie przekazać. - Uśmiechnął się. - Trochę to przypomina powód, dla którego sam przybyłem do Temford, czyż nie, mój przyjacielu?

Jack odpowiedział mu uśmiechem.

- Prawda. - I zaraz potem spochmurniał, zastanawiając się nad tym, co właśnie powiedział Cristoval. - Mimo wszystko, chociaż jesteśmy pewni, że list mówi o Fairfield Hall, nie pozwala on nam równie zdecydowanie określić powodów wizyty Brockhamptona. „Pil. na sprawa” może wiązać się z niejedną kwestią. Tacy jak oni chwytają wiele srok za ogon. Cristoval ponownie się z nim zgodził.

- To prawda, chociaż serce mi podpowiada, że jakoś to się wiąże.

- Prawdopodobnie. Mój drogi kuzynek dobrze płaci swojej gadzinie za śliskie usługi, co? Nie mam wątpliwości, że Brockhampton otrzymał podobną sumkę, kiedy jego działalność w sprawie Warrendera przeciw mnie została uwieczniona powodzeniem. - Jack zerknął przez okno w stronę zamku i flagi z niebieską różą, która trzepotała się na jednej z wież. Z jego różą! Oczy zrobiły mu się zimne. - Nie masz pojęcia, jak bardzo nie cierpię

Rafe'a Warrendera i jak kroi mi się serce na myśl o jego ślubie z Emily Fairfield - zamruczał.

Manco podniósł się i przyłączył się do nich przy oknie.

- Jedna strzała albo jeden czar, diabeł umiera, koniec -wymamrotał, rzucając mroczne spojrzenie na zamek, a potem podszedł do stolika, by poczęstować się jeszcze aguardiente, bo nierzadko był łaskaw zapominać, że właściwie jest służącym Cristovala.

Jack zwrócił pytające spojrzenie na przyjaciela, który przewrócił oczami, a potem opowiedział o cylindrze Rafe'a.

- Manco przekonany jest, że mógłby w sposób zadowolający zakończyć całą sprawę, zabijając Warrendera na miejscu - dokończył.

Jack szeroko się uśmiechnął.

- Wspaniały pomysł, ale przynajmniej ja nie mam najmniejszej ochoty wisieć za morderstwo.

Na Manco nie zrobiło to większego wrażenia.

- Hmm - mruknął, zajmując ponownie miejsce na podłodze.

- Czy spotkałeś się już z Warrenderem? - zapytał Cristoval Jacka.

- Nie. Prawdę mówiąc, on nie ma pojęcia, że przyjechałem do Anglii. Zapewne jednak usłyszy o tym już niedługo, bo Emily dowiedziała się, że jestem jego kuzynem.

W pokoju na chwilę zapadło milczenie, potem odezwał się znowu Cristoval.

- Jack, jeśli sędzić po twoich słowach, możemy chyba przyjąć, że uczucia, które żywisz w stosunku do pani Fairfield, są nieco bardziej serdeczne, niż przewidywałeś?

Jack pokiwał głową.

- Tak, cholerny świat, ale Feliksowi udało się je całkiem dobrze przewidzieć. Nie powiodło mi się jednak ani pod tym względem, ani w sprawie, dla której tu przyjechałem. Przyrzekłem Feliksowi, że zrobię co w mojej mocy, by ocalić jego sekretną rodzinę przed Warrenderem, ale nie posunąłem się ani o cal w staraniach, by wyrwać Fairfield Hall ze szponów tego niegodziwca.

Cristoval patrzył na niego ze współczuciem.

- Opowiedz nam, co przydarzyło się od twego przyjazdu.

Jack spełnił prośbę przyjaciela, a na zakończenie dodał:

- No i tak to wygląda. Emily Fairfield czuje do mnie skłonność i z pewnością nie kocha Warrendera, ale wydaje się sędzić, że nie ma żadnego

wyboru i musi go poślubić. Obojętne, co którekolwiek z nas mówi, nic nie jest w stanie zachwiać jej decyzją. A ja nie rezygnuję z pozostania w jej domu, ponieważ życzy sobie tego matka i syn, ale nie sama dama.

Manco parsknął śmiechem, co mu się rzadko zdarzało.

- Jesteś głupcem, capac Jack. Jeżeli kobieta życzy, żebyś odszedł, to zostajesz. Ona mówi jedno, rozumie drugie. Wszystkie kobiety takie.

Cristoval pokiwał głową.

- On ma rację, Jack, drogi przyjacielu.

- Może... pewnie... och, sam nie wiem.

Doszło do tego, że Manco roześmiał się po raz drugi.

- Capac Jack zakochany! - oznajmił. - Wszystko przez tutaj powietrze. Pizarrskie powietrze.

- To nie powietrze posunęło się za daleko nad rzeką, tylko ja. Przez nieuwagę przypomniałem Emily o jej problemach i się przeraziła.

Manco przytaknął.

- Przeraziła, może, ale dopiero kiedy koniec pocałunku - zwrócił im uwagę z miną mędrca.

Jack przeciągle westchnął.

- No cóż, póki życia, poty będę walczył... chociaż nie mam pojęcia, co zdołam osiągnąć. Ona nieodwołalnie postanowiła zostać lady Warrender.

Cristoval popatrzył na przyjaciela.

- Czy tu jest pies pogrzebany? Chodzi jej o tytuł? Jack potrząsnął głową.

- Nie, ale uważa, że musi to go poślubić. Manco się zaciekawiał.

- Ale dlaczego diabeł Warrender robi to wszystko? Dlaczego on taki napalony żenić się kobietą, co nie ma nic? Masz odpowiedź, capac Jack?

- Nie - przyznał Jack. - Właściwie nad tym samym zastanawialiśmy się z Corą Preston. Warrender nie należy do ludzi, którzy robiliby cokolwiek bez powodu, a przynajmniej ja nie sędzę, by samo pożądanie dla Emily Fairfield miało skłonić go do tego, żeby aż tak się wysilał. Gdyby była bogatą dziedziczką, zrozumiałbym jego postępowanie. Ale nie jest. Ona nie ma nawet Fairfield Hall na własność, tylko zarządza nim, dopóki Peter jest niepełnoletni.

Znowu zapadło milczenie, potem Cristoval popatrzył z ciekawością na Jacka.

- Jaka jest Cora Preston, przyjacielu? Czy warta Feliksa?

- Och, Cristovalu, więcej niż warta.

- Chciałbym ją poznać.

- I poznasz ją, bo nalega, żebyście z Manco zatrzymali się we dworze.

- Ale Manco chce do domu! - jęknął Indianin. Cristoval popatrzył na niego, ściągając brwi.

- No cóż, nie możesz jechać do domu. A przynajmniej jeszcze nie teraz. Wstydź się, Manco, czy zostawiłbyś tu przyjaciela, nie pomógłszy mu rozwiązać problemów, z którymi się boryka?

Manco poprawił się na podłodze, jakby mu się zrobiło nieswojo.

- Nie, to niesprawiedliwe, capac Cristoval.

- Może, ale chcę, żebyś przestał jęczeć. Od chwili, kiedy postawiliśmy stopę na angielskiej ziemi, mam z tobą same kłopoty.

- Manco dobry, nie mówi nic, nawet kiedy jedziemy do Bath.

- Dość już - powiedział ostro Cristoval, rzucając Indianinowi ostrzegawcze spojrzenie.

Manco natychmiast zaczął się boczyć, a Jack popatrzył na nich obojgu z zaciekawieniem.

- Do Bath? Pojechaliście tam? Cristoval odchrząknął.

- No, tak, po drodze z Bristolu do Londynu. Ale zatrzymaliśmy się tam na krótko, bo miasto było nieprzyjemnie zatłoczone. Pełnia sezonu, rozumiesz, więc pojechaliśmy zaraz do Londynu.

Manco popatrzył na niego znacząco, ale się nie odezwał. Jack zauważył to spojrzenie, ale również nic nie powiedział, chociaż dało mu ono wiele do myślenia. Milczenie zaczęło im ciążyć, więc Jack ocknął się z zadumy i odezwał znowu do Manco.

- Kiedy już przyjedziemy do majątku Fairfieldów, nie będziesz miał czasu tęsknić za swoim krajem, bo syn Emily, Peter, będzie chodził za tobą krok w krok przez cały czas. Już jest twoim zagorzałym zwolennikiem.

- Zwolennikiem? - Indianin nie rozumiał.

- Wielbicielem. Wnuk Feliksa podobny jest do niego jak dwie krople wody, nawet w swoich pragnieniach, żeby zwiedzać świat, a do tego bezgranicznie zafascynowany wszystkim, co łączy się z Inkami.

Manco uśmiechnął się z aprobatą.

- Chłopak dobry - oznajmił.

- Bez wątplenia, ale nie zdziw się, jeżeli będzie ci przez cały czas deptał po piętach. I może jeszcze powinienem cię ostrzec, że chętnie śledzi wszystko, co się rusza. - Jack uśmiechnął się do nich obu. - No, jeżeli mamy jechać do dworu, to lepiej się przygotujcie, bo kolaska już czeka. A nawiasem mówiąc, pamiętajcie, proszę, że chociaż Cora Preston wie o

wszystkim, bo list Feliksa był bardzo szczegółowy, Emily i jej syn nie domyślają się jeszcze, że są z nim spokrewnieni. Chociaż może już się dowiedzieli, bo Cora miała porozmawiać o tym z Emily. Ale nie jestem pewien, czy porozmawiała, więc rozsądniej będzie pilnować języka.

Jego przyjaciele obiecali, że będą się mieli na baczności.

Cora i Emily siedziały w wielkim salonie razem z Peterem, czekając, aż Jack wprowadzi swoich przyjaciół i ich przedstawi. Był wczesny wieczór i zapalono już świece. Peter kipiał z podniecenia, bo udało mu się przelotnie zobaczyć Manco, kiedy kolaska podjeżdżała pod dwór. Ehvie kobiety nie były całkiem pewne, czego się spodziewać, bo nie miały żadnych doświadczeń ani z peruwiańskimi szlachcicami, ani z Indianami.

Atmosfera między Corą a jej córką była nieco napięta, bo Emily miała wrażenie, że chyba nie знаła swojej matki tak dobrze, jak jej się zdawało. Cora bardziej wydawała się przeciwnikiem niż sprzymierzeńcem, a chwilowo rewelacja na temat Feliksa była kroplą, która przepełniła czarę wytrzymałości młodej kobiety. Nie tyle panował między nimi chłód, co pewne lekkie skrepowanie, jakby obydwie musiały na nowo uczyć się bliskości, którą dotychczas mogły uważać za rzecz oczywistą. Uświadomiły też sobie, że Peter skądś się o całej sprawie dowiedział. Emily przekonała się o tym fakcie, kiedy odprowadziła syna na bok, by powiedzieć mu, co przekazała jej właśnie matka. Cora zaprzeczyła, żeby miała wspominać o tym wnukowi, ale przyznała, że Jack wie o sprawie, po czym Emily wyciągnęła wniosek, który wydawał się oczywisty.

Na myśl, że Jack wziął na siebie powiadomienie jej syna o rodzinnym sekrecie, ogarnęło ją znowu takie oburzenie, że czekając, aż pojawi się z dwojgiem przyjaciół, cała aż dygotała od tłumionego gniewu. Ale zdecydowana była nie robić żadnej sceny; a nawet postanowiła sobie, że będzie idealną panią domu. Musiała postawić przed sobą jakieś trudne zadanie, podjąć się czegoś, co wymagałoby od niej wielkiego wysiłku, albo jej wściekłość i rozgoryczenie przerwałyby tamy.

Tak więc siedziała w ciemnoniebieskiej aksamitnej sukni świątecznej, ze srebrzystym jedwabnym szalem na ramionach i bawiła się spoczywającym na kolanach wachlarzem. W jej uszach i na szyi połyskiwały diamenty. Nie potrzebowała ani odrobiny różu, by nadać kolor policzkom, bo to rozjarzenie, o którym wcześniej wspomniała Cora, wciąż jej nie opuszczało, chociaż powody przestały już być tak oczywiste.

W końcu usłyszeli coraz bliższe kroki i drzwi się otworzyły. Peter grzecznie zerwał się, kiedy trzech mężczyzn wchodził do salonu. Oczy chłopca pomknęły do Manco, Cory do Cristovala, a Emily do nich obu, a potem niechętnie przeniosły się na Jacka. Wstrząsnęło nią to, że Jack już na nią patrzył. Na moment serca zamarły im obojgu w piersiach, potem szybko odwrócili znowu wzrok.

Cristoval spoglądał na Corę z pełną aprobatą. Jak doskonale wyglądała w beżowej, jedwabnej sukni, jak uroczo uczesała swoje srebrne włosy. Feliks Reynolds najwyraźniej okazał się wielkim znawcą. Cristoval przeszedł przez pokój, by unieść dłoń Cory do ust. W jego ciemnych hiszpańskich oczach lśnił podziw.

- Ach, senora Preston, jestem oczarowany, mogąc panią poznać.

Cora uśmiechnęła się do niego.

- Ja również, don Cristoval.

Przyszła kolej na Emily i obydwaj, Cristoval i Manco zrozumieli, dlaczego Jack stracił dla niej serce. Delikatnie zarumieniona twarz, szybkie spojrzenie ślicznych orzechowych oczu, lekka niepewność w uśmiechu, wszystko to wydawało się zyskiwać aprobatę nowo przybyłych, którzy świadomi byli, że ich obecność w jej domu musi być dla niej niepożądana.

Peter zająknął się, zwracając się do Cristovala, a kompletnie mowę mu odjęło, kiedy miał w końcu przywitać się z Manco. Indianin obdarzył Corę i Emily uprzejmym, acz zdawkowym ukłonem; Petera natomiast uhonorował promiennym uśmiechem.

- Ach, capac Peter. Ty i ja przyjaciele, sądzę?

- Och, tak, proszę - wyszeptał chłopiec, nie posiadając się z radości.

RS

Rozdział 26

Cały dwór pogrzyżył się w ciemnościach, paliła się tylko nocna świeczka na podeście. Słabe światło niepewnie rozpełzało się po korytarzu, wydłużając niemal groteskowo cień Jacka, który kierował się pokoi Emily. Był wciąż jeszcze całkowicie ubrany, bo nie po to poszedł do siebie, by spać. Wiedział, że postępuje niewłaściwie, ale musiał z nią porozmawiać w cztery oczy, mając jaką taką pewność, że nikt im nie przeszkodzi, a innego sposobu nie widział. Kiedy dotarł do drzwi, przystanął, by obejrzeć się za siebie. Przez ułamek sekundy miał wrażenie, że ktoś mu się przygląda, ale wrażenie to ulotniło się niemal natychmiast. Jack powoli, delikatnie przekreślił klamkę i wszedł do środka.

Ktoś mu się jednak rzeczywiście mu się przyglądał. Mówiąc ściślej, tych ktosiów było dwóch. Peter i Manco. Chłopiec i Indianin zbierali się właśnie do wyjścia, bo Indianin, nieodmiennie gotów chwalić się swymi umiejętnościami, chciał pokazać Peterowi, jak się łowi ryby przy księżycu. Obydwaj ubrani byli w poncza - Peter dostał je, zgodnie z obietnicą - a na widok Jacka ukryli się za tą samą zasłoną, za którą poprzedniej nocy kot czaił się na mysz. Kiedy Jack zniknął w pokoju Emily, popatrzyli na siebie. Peter już otwierał usta, by coś powiedzieć, ale Manco potrząsnął głową.

- Nie chłopca sprawa - szepnął.

- Ale...

- Chłopiec chce łowić w świętym jeziorku?

- Świętym...? Eeem, tak. - Peter miał wielką ochotę dowieść Archiemu Bradwellowi swojej przewagi!

- Więc chłopiec trzyma język za zębami - poleciał Indianin, biorąc Petera za rękę i kierując go w stronę podestu.

Jack nie miał pojęcia, że go ktoś widział. Stał przy samych drzwiach sypialni Emily i przyglądał się, jak śpi. Promień księżycowego światła przebił się przez niedokładnie zaciągnięte zasłony okna i padł na jej twarz. Wyglądała niemal jak alabastrowa rzeźba, blada, prawie widmowa i tak piękna, że serce mu się ścisnęło z nadmiaru uczuć.

Poruszyła się lekko, a Jack przeraził się własną głupotą. Na miłość boską, co go opętało, żeby ją tak nachodzić? Czy całkiem zwariował? Odwrócił się, by opuścić jej sypialnię, ale Emily obudziła się i go zobaczyła. Usłyszał, jak gwałtownie wciąga powietrze, więc szybko obrócił się znowu twarzą do niej.

- Proszę się nie bać, nie zrobię pani krzywdy - błagał z naciskiem.

Emily, wpatrując się w niego szeroko otwartymi oczami, usiadła.

- Jak śmie pan tutaj wchodzić! - zawołała. Obawiając się, że Emily zacznie krzyzczeć i pobudzi resztę domowników, podszedł szybko do łóżka i stanowczym ruchem przycisnął dłoń do jej otwartych ust.

- Jeżeli podniesie pani alarm, będzie musiała pani wyjaśniać, skąd się tu wzięłem. Proszę mi wierzyć, że stać mnie na to, bym stwierdził, że mnie pani zaprosiła! - Nie byłoby go stać na nic takiego, ale pomyślał, że to świetna metoda, by nie zareagowała impulsywnie. - Czy mogę już odsunąć rękę i nie będzie pani hałasowała? - zapytał.

Emily skinęła głową, a Jack powoli zabrał dłoń. Oczy młodej kobiety połyskiwały furia w świetle księżyca, kiedy zwróciła się do niego ochryplym szeptem.

- To potworne, panie! Ma pan czelność...

- Chcieć rozsądnie porozmawiać z panią na osobności? - przerwał jej.

- Pan o tym mówi „rozsądnie”?

- Tak, bo najprawdopodobniej nikt nam nie przeszkodzi, prawda? - Nieproszony usiadł na skraju jej łóżka.

Emily się odsunęła.

- Nie mamy sobie nic do powiedzenia, panie Lincoln.

- To nieprawda, i dobrze pani o tym wie. - Wzrok jego padł na dekolt koszuli nocnej Emily. Rozwiązała się ściągająca go wstążeczka i w świetle księżyca widać było zarys piersi.

Emily pospiesznie zawiązała wstążeczkę.

- Kim pan jest, pana zdaniem, żeby mi grozić w tak bezwzględny sposób? - Bała się, ale nie jego. Obawy budziło jej własne zdradzieckie serce...

- Bezwzględny? Och, Emily, jeżeli tak pani myśli, wielce mnie pani krzywdzi. Zmuszony jestem uciekać się do takich sposobów, bo nie chce pani ze mną rozmawiać inaczej. Aż nazbyt jasno dała mi pani do zrozumienia, że postanowiła udawać, iż nic nas ze sobą nie łączy, ale ja równie stanowczo postanowiłem ujawnić prawdę.

- Prawdę, sir, jest nie tylko to, iż pan, jako kuzyn sir Rafe'a, jest jego zaprzysiężonym wrogiem, ale na dodatek uznał pan za stosowne poinformować Petera, iż Feliks jest jego dziadkiem!

Jack patrzył na nią szeroko otwartymi oczami.

- Słowem Peterowi o tym nie wspomniałem. Przyznaję, że wiedziałem o Feliksie i pani matce, ponieważ powiedział mi o tym sam Feliks, zanim wyjechałem z Peru, ale z Peterem na ten temat nie rozmawiałem.

- A więc skąd się dowiedział? Moja matka z pewnością nic mu nie mówiła.

- Nie mam pojęcia, ale znając jego skłonność do podkradania się do ludzi i podsłuchiwania, z łatwością mogę uwierzyć, że odkrył prawdę na własną rękę.

Wyjaśnienie Jacka brzmiało szczerze i Emily odwróciła oczy.

- Przyznaję, że mogło tak być - pokiwała głową.

- A więc proszę również przyznać, że musimy po-wyjaśniać i inne łączące nas sprawy.

- Błagam, Jack, niech pan już idzie. - Po raz pierwszy zwróciła się do niego po imieniu, chociaż wiedziała, że nawet w takiej chwili nie powinna tego zrobić.

Ale upieranie się przy konwenansach wydało jej się niemądre, bo przecież to on miał rację.

- Kocham cię, Emily.

Emily przymknęła oczy. Proszę, odejdz teraz, pomyślała, błagam, zostaw mnie, pozwól, bym przynajmniej próbowała nie zboczyć z tej ścieżki, którą przecież muszę kroczyć...

- Emily?

- Na próżno mnie przekonujesz, Jack. Poślubię sir Rafe'a i nic, nic nie zmieni tego faktu.

- Nawet to, że mnie kochasz i że ja kocham ciebie? Emily przez chwilę milczała.

- Czy zdołasz spłacić długi, które zostawił po sobie Geoffrey? Czy masz dość funduszy, by zaspokoić wierzycieli, tłoczących się u moich drzwi? Nie, nie masz, ponieważ twoim dziedzictwem rozporządza teraz Rafe, a przynajmniej tak twierdzisz.

- Wszystko, co o nim powiedziałem, to prawda, Emily. Emily milczała przez chwilę.

- Wierzę ci - wyszeptała.

- Naprawdę? - Jacka zalała radość i wyciągnął ku niej rękę, ale ona się odsunęła.

- Tak, ale to bez znaczenia. I tak go muszę poślubić. - Przełknęła. - Musiałabym go poślubić, nawet gdyby Geoffrey dobrze mnie zabezpieczył.

Jack patrzył na nią bez zrozumienia.

- Co ty mówisz? Dlaczego i tak musiałybyś poślubić Rafe'a? Na litość boską, powiedz mi wszystko, Emily.

- Ja... nie mogę.

Jack chwycił ją za ramiona i zmusił, by mu spojrzała w oczy.

- Powiedz mi prawdę, Emily.

Emily zmagala się z głosem sumieniem, ale wiedziała już, że musi mu wyznać wszystko.

- Jack, to ze względu na Petera, nie tylko po to, by zabezpieczyć go finansowo na przyszłość, ale żeby uchronić go przed... przed... - Urwała, a potem z determinacją brnęła dalej. - Przed hańbą, jaką byłoby rozgłoszenie faktu, że jego ojciec usiłował wykraść poufne dokumenty rządowe i przekazać je Francuzom.

Jack wpatrywał się w nią tak zaskoczony, że przez moment przestał myśleć. Ale zaraz wziął się w garść.

- Geoffrey sympatyzował z Francuzami?

- Na to wygląda. Nie wiedziałam nic o tym, chociaż przyznaję, że miał wiele podziwu dla Bonapartego. W żyłach rodziny Fairfieldów płynie francuska krew i mój mąż zawsze czuł się rozdarty przez tę wojnę, ale nawet przez jedną chwilę nie wyobrażałam sobie, że można byłoby kwestionować jego lojalność wobec Anglii.

- A skąd dowiedziałas o tej jego... szpiegowskiej działalności?

- Od Rafe'a. Och, nie patrz na mnie w ten sposób i ty, dość już musiałam ścierpieć spojrzeń mamy, a ona wie tylko o skryptach dłużnych.

- Skryptach? Wybacz mi, Emily, ale trochę za dużo mówisz na raz. Czyich skryptach? Geoffreya?

- Tak. Rafe wydaje na zamku Temford karciane przyjęcia i część zapraszanych przez niego gości pracuje w rządzie, nawet na stanowiskach ministrów. Geoffrey musiał zabrnąć chyba stanowczo za głęboko w hazard, bo został za nim istny trakt, wyścielony skryptami dłużnymi. Wydaje się, że w tym samym czasie zaczął wykradać rządowe sekrety.

Jack wstał, zastanawiając się pospiesznie.

- I Warrender potrafi to wszystko udowodnić?

- No cóż, powiada, że ma kilka z tych skryptów i... Jack parsknął cynicznym śmiechem.

- Nigdy nie ufaj żadnemu dokumentowi, który miał w ręku mój drogi kuzynek! Dobrze poznałem wartość takiej rady!

- Chcesz powiedzieć, że te skrypty mogą nie być prawdziwe?

Jack wzruszył ramionami.

- Nie wiem tego, Emily, ale tam, gdzie w grę wchodzi Rafe Warrender, nic nie jest po prostu czarne albo białe, tylko wszystko mocno szare.

Emily zastanawiała się przez chwilę.

- Byłam pewna, że skrypt, który mi pokazał, pisał ręką własną Geoffrey. Mój mąż miał bardzo charakterystyczne pismo. Wystawiony był na sir Lumsleya Carrowby'ego. Rafe powiedział, że osobiście go spłacił, więc już się nim nie muszę martwić. Ale zaraz potem dodał, że jest ich o wiele więcej i że spłaci je, kiedy zostanę jego żoną.

Jack spacerował tam i z powrotem po oświetlonym księżycem pokoju.

- Tak więc na własne oczy widziałaś tylko jeden skrypt, który rzekomo wystawić miał Geoffrey?

- Tak.

Jack głęboko zaczerpnął tchu.

- Przypuszczam, że został sfalszowany. Falszowanie dokumentów jest specjalnością Rafe'a.

- Ale co ze szpiegowaniem? - zapytała Emily.

- Czy w głębi serca wierzysz, że Geoffrey zdradził Anglię? - zapytał cicho Jack.

Emily wpatrywała się w niego przez chwilę, a potem powoli spuściła wzrok i potrząsnęła głową.

- Nie - wyszeptała.

- Ja również nie. Ale to bardzo dogodny sposób, by zmusić cię do podporządkowania się życzeniom Rafe'a.

- Wszystko jedno, czy to prawda, czy nie - odezwała się znowu Emily - groźba takiego oskarżenia nieodwracalnie zaszkodziłaby przyszłości Petera. Pogłoski o ojcu-zdrajcy spowodowałyby, że do końca życia powątpiewano by w jego lojalność. Ja zniosłabym taką hańbę, mama również, ale Peter bardzo by cierpiał. To dlatego zgodziłam się na to małżeństwo. Zaręcę się z Rafe'em pojutrze „Pod królewskim dębem” i wyjdę za niego w Wigilię.

Zamknęła oczy. Pojutrze? Dlaczego nagle wydało jej się, że to już za kilka minut? Poczowała się tak, jakby należące jeszcze do niej godziny gdzieś się ulotniły i zatrzasnęły za sobą bramy do niezależności. Wkrótce Rafe wsunie na palec narzeczonej zaręczynowy pierścień, który będzie jak klucz do zamku, broniącego jej wolności; a na Boże Narodzenie ten klucz się w zamku przekreśli...

Jack zobaczył łzy, połyskujące w świetle księżyca na rzęsach Emily. W jednej chwili znalazł się przy łóżku i wyciągnął rękę, by ująć jej dłoń. Palce Emily zacisnęły się, oddając uścisk z taką samą tęsknotą, z jaką były obejmowane, i wtedy porwał ją w ramiona, i szukał ustami jej warg tak gwałtownie, jakby od pocałunku zależało jego życie. Nie opierała się, nie udawała, że tak nie wypada. Ten moment wyparł wszystko inne, był chwilą szczerości, spojrzeniem prawdzie w oczy. Pokochali się i przez kilka sekund Emily nie wypierała się swych uczuć. Ugięła się pod tym, czemu zaprzeczyć nie mogła, a co pojawiło się już w pierwszej chwili, kiedy tylko go zobaczyła, kiedy spadła na polance z konia, a ten podniecający mężczyzna, ten złoty wiking przybył jej na ratunek. Wystarczyło jedno dotknięcie, a wiedziała już, że go pożąda. Teraz całym swoim jestestwem tęskniła za tym, by położyć się i przyjąć go w siebie.

To on był tym jednym jedynym, o którym mówiła matka, mężczyzną, który już zawsze miał dla niej znaczyć więcej niż ktokolwiek inny, nawet Geoffrey. Pragnęła Jacka Lincolna z gwałtownością, której sobie wcześniej nawet nie wyobrażała. Czuała się wstrząśnięta samym faktem, że zdolna jest do takich emocji, ale pocałunek urzekał ją coraz bardziej i wiedziała, że jej opory słabną. Gdyby miał ją teraz wziąć, cieszyłaby się z tego, tak jak zagubiona dusza radowałaby się widokiem bram raj. Położyła się i uwodzicielsko pociągnęła go w dół za sobą. Resztki poczucia wstydu ulotniły się i Emily nie obejrzała się nawet na to, co dobre, a co złe.

Jack z całej duszy pragnął ją posiąść i przez słodki, bardzo słodki moment zamierzał zaspokoić pożądanie, które paliło ich oboje. Jakże łatwo byłoby połączyć się z nią i w ten sposób przypieczętować ich miłość. Ale kiedy przyjdzie ranek, oboje mogliby... pożałowałiby tego.

- Nie...

Podniósł się z łóżka i odwrócił, ze wszystkich sił starając się opanować niemal nieokiełznaną namiętność.

Emily leżała zagubiona i stropiona. Nigdy wcześniej zakazane pożądanie nie porwało jej z taką siłą, by wszelkie opory rozwiały się jak mgła. Oddałaby mu się z radością, z zapalem, z tęsknotą, ale źle by postąpiła.

Jack popatrzył na nią znowu.

- Gdybyśmy to teraz zrobili...

- Wiem.

Wyciągnął rękę i rozdygotanymi czubkami palców dotknął pomierzwionych włosów Emily.

- Zamierzam uratować cię od Rafe'a Warrendera i dopilnować, by ten miecz Damoklesa nie wisiał już dłużej nad twoją głową - powiedział cicho. Potem odwrócił się na pięcie i niemal zanim się zorientowała, już go nie było w pokoju.

Leżąc w łóżku, Emily poczuła się nagle bardzo samotna. Żałowała, że nie udało jej się uwieść Jacka tak, by już nie mieli odwrotu. Gdyby przytuliła go trochę mocniej, jeszcze bardziej oczarowała swoim ciałem, gdyby skruszyła jego opanowanie, byłoby im obojgu teraz serdecznie i dobrze. Czuli by się winni, ale już nie spragnieni - przynajmniej na jakiś czas. Takiej namiętności nie da się łatwo zaspokoić; może nawet nigdy nie da się jej zaspokoić, zawsze będzie rozpalala między nimi pożądanie. Tak, pomyślała, właśnie tak. Należała do Jacka Lincolna i nawet jeżeli poślubi jego znienawidzonego kuzyna, będzie nadal należała do Jacka.

Tyle splątanych emocji wstrząsało nią tego dnia, że przytłoczona nimi Emily zaczęła płakać. Targana rozpaczliwym łkaniem odwróciła się, by wtulić twarz w poduszki. Nie słyszała, jak otwierają się drzwi i do środka pośpiesznie wchodzi Cora, którą przyciągnęły dochodzące z pokoju dziecka odgłosy żalości.

- Och, Emily, najdroższa, moje ukochane maleństwo - szeptała, a do jej oczu również napłynęły łzy. Usiadła na łóżku i przygarnęła Emily do siebie.

Matka i córka objęły się, a ich rany goiły się, kiedy obie razem płakały.

RS

Rozdział 27

Zostawiwszy Emily, Jack wrócił do swego pokoju tylko po to, by zabrać wierzchnie okrycie i pistolet. Również i w jego uczuciach panował chaos, miały się od radości, że Emily odwzajemnia jego miłość, do niesmaku i oburzenia, że Rafe do długiej listy swoich występków dodał szantaż.

Od pulsującego w całym ciele gniewu krew mu się burzyła, a wszelka powściągliwość topniała niemal bez śladu. Musi stawić czoło Rafe'owi, rozmówić się z nim zarówno w sprawie terażniejszości, jak i przeszłości! I nagle Jack uświadomił sobie, w jaki sposób może spełnić daną Feliksowi obietnicę; jak uratować Fairfield Hall od długów i od węża, który zagrażał temu rajowi. Przecież to takie oczywiste. Takie proste. Zanim skończy ze swoim kuzynkiem, wszystkie długi Emily zostaną spłacone, a Rafe dobrze zrozumie, jakim szaleństwem było szantażowanie Emily groźbami o rzekomej działalności jej męża! Nie to ważne, czy Geoffrey Fairfield szpiegował dla Francuzów, czy nie, tylko to, że niewinna wdowa po nim, chcąc chronić syna, zmuszana była do oddania ręki Warrenderowi.

Przebrał się pospiesznie w strój dzienny, wetknął pistolet w zanadrze i wyszedł z domu. Okrążając pospiesznie stajnie, nie zważał na to, jak niebezpieczną obrał drogę; ewentualne ryzyko praktycznie dla niego nie

istniało. Noc była chłodna, niemal wyczuwał, jak temperatura spada. Gwiazdy pocętkowały czarny aksamit nieba, księżyc właśnie wschodził, a niskie mgły snuły się na wysokości kolan, wirując w poruszonym przez Jacka powietrzu. Zanoszą się na pierwszy mróz, pomyślał, siodłając tego samego konia, którego dosiadał wcześniej.

Nie minęło pół godziny, od kiedy opuścił Emily, a już jechał przez oświetlony księżycem park. Skierował się na drogę, którą razem z Emily jechali do kaskad na rzece, minął mostek dla jucznych koni i pod nogami zobaczył odbijający się wodzie księżyc. Zamierzał wyjechać z majątku przez nieużywaną stróżówkę, bo wiedział, że jeżeli tak zrobi, nikt się w jego czynach nie zorientuje. Gdyby chciał skorzystać z głównej bramy, musiałby obudzić Bradwella, by mu ją otworzył. A tamta opuszczona brama zamknięta była tylko na zardzewiałą kłódkę, która zdeterminowanemu mężczyźnie nie stawia większego oporu.

Pamiętał drogę przez spowity mgiełką las, bo lata spędzone w Andach nauczyły go zapamiętywać miejsca, które już kiedyś widział. Drzewo o charakterystycznym kształcie, skała, kępa paproci, wszystko to zapisywało

mu się w pamięci, tego dnia kiedy się zgubił. Rozpadająca się stróżówka wznosiła się przed nim mroczna i milcząca, a kiedy Jack wyjeżdżał już spomiędzy drzew, przez drogę chyłkiem przebiegł lis. Mgła wciąż jeszcze nie sięgała wyżej bioder i kłębiła się chaotycznie przy ziemi, jakby nie mogła się zdecydować, czy zmaterializować się w pełni, czy może znowu odpłynąć gdzieś w niebyt. Jack zsiadł przy bramie i zaczął szukać kamienia, by rozbić starą kłódkę. I to wtedy zwrócił uwagę na drzwi do stróżówki. Ktoś musiał niedawno zerwać zarastający je bluszcz i nawet przy świetle księżyca widać było, że szarpał drzwi, aż się otworzyły, a potem je znowu zamknął. Ciekawość wzięła górę i z pistoletem w pogotowiu Jack również pociągnął drzwi i wszedł do środka.

Niski pokój był kompletnie pusty. Pachniał wilgocią i pleśnią i robił wrażenie tak zniszczonego, że Jack nie mógł się nadziwić, iż całość jeszcze się nie zawaliła. Otworzył drzwi prowadzące na schody i poczuł na twarzy podmuch chłodnego powietrza. W świetle księżyca srebrzyły się koronki pajęczyn i Jack zorientował się, że tam na górę nikt od bardzo dawna nie wchodził. Nie było też nikogo w kuchence ani komórcie sąsiadującej z pierwszym pokojem. Stróżówka była pusta.

Ale ktoś musiał tam niedawno być, bo na półce pod oknem leżał otwarty egzemplarz „Pisma dla panów”, a obok niego brudny kawałek papieru i ogryzek ołówka. Papier był lekko wilgotny, ale tylko odrobinę, można więc było wnosić, że nie leżał tam dłużej niż dzień czy dwa. Jakiś analfabeta próbował kopiować słowa z otwartej strony pisma. Artykuł o nowych metodach hodowli w Norfolku, pomyśleć tylko! Kto mógł coś takiego robić? No cóż, może dumać nad tą tajemnicą, aż mu kaktus na rękę wyrośnie, i nadal nie trafi na właściwe nazwisko. Nie ma więc co sobie tym zawracać głowy.

Zostawił na parapecie wszystkie znalezione tam rzeczy i wyszedł, by poszukać kamienia do rozbicia kłódky. Znalazł go niemal natychmiast. Pod trzecim ciosem rozbita kłódka z grzechotem spadła na ziemię i udało mu się otworzyć bramę. Łagodnie nakłonił konia do wyjścia na drogę, zamknął z powrotem bramę, a potem szybko pojechał w kierunku Temford.

Oczywiście nie tylko Jack przebywał na terenie majątku Fairfieldów w tę gwiazdzistą noc, bo Manco i Peter opuścili dom wcześniej od niego. Udali się na polankę, gdzie kiedyś dokonał żywota Geoffrey Fairfield, ale Peter nie pomyślał nawet o swoim ojcu ani o nocnej wyprawie Jacka do pokoju

Emily; ciekawość chłopca w pełni pochłaniał zdumiewający talent Manco do łapania ryb gołymi rękami.

Chłopiec przycupnął we mgle na skraju jeziora. Było mu miło i przytulnie w ponczu, otrzymanym po wieczornym posiłku od Jacka, i cieplej niż gdyby miał na sobie płaszcz. Przyglądał się Manco, który położył się na brzegu i do ramienia zanurzył rękę w lodowatej wodzie. Dziergana czapka Indianina zsunęła się na bok i w świetle księżyca połyskiwały złote dyski w jego uszach. Już dwa tłuste liny leżały, drgając, w trawie; wyłowił je z głębin, jakby miał czerpak w ręku. Woda cicho plusnęła. Manco zręcznym ruchem wyciągnął następną rybę i rzucił ją na brzeg. Potem podniósł się, a mgła gwałtownie drgnęła, jak użądłona. Manco uśmiechnął się radośnie do Petera.

- Widzisz? Wirakocza pozwala Manco dobry rybak - powiedział. - Wirakocza, wielki bóg słońca i wszystkiego, i wszystkich stworzeń w całym wszechświecie. - Tu szerokim gestem ręki objął ziemię i niebo.

Peter miał nadzieję, że Indianin nie zacznie wyśpiewywać następnego hymnu ku czci w swoim gardłowym, żywiołowym, ojczystym języku. Kiedy przybyli na polankę, wykrzykiwał aż pod niebiosa: Aticsi Uiracochan caylla Uiracochan tocapu acnupu Uiracochan.J O stworzycielu! O zwycięski Wirakoczo! O wiecznie obecny Wirakoczo...!

Na krzyk sowy Manco zerknął w górę.

- Ptak, co rzuca urok oczami - wymamrotał. Potem pokazał na własne oczy i uśmiechnął się do Petera. -Manco ma też oczy sowy. Rzuca czary oczami. Zwycięza niegodziwe duchy i jak każe, wróg słucha jego woli.

- Naprawdę? - Peter był pod wrażeniem.

- Manco tkacz zaklęć. - Indianin położył dłoń na mieszku, potem strzepnął palcami w kierunku jeziora. Powierzchnia wody zdrząła, a potem wyraźne, współśrodkowe falki popłynęły w kierunku brzegów i słyszalnie zachlupotały u stóp Petera.

- Jak pan to zrobił? - stłumionym głosem krzyknął Peter.

- Magia Inków. Chłopiec nie Inka, nie można mówić.

- Och, proszę - błagał Peter, ale Manco nie dał się poruszyć. Zamiast tego pochylił się i wrzucił wszystkie złapane ryby do jeziora.

- Łapanie ryb łatwe, kiedy Wirakocza daje pomoc - powiedział.

- To panu się tak może wydawać - odrzekł Peter; jego oddech srebrną mgiełką unosił się w powietrzu. Nie udało mu się tak do końca wyrugować z głosu nutki złości, ponieważ Archie Bradwell na swój sposób był równie

zręcznym rybakim jak Manco, chociaż łapanie ryb zajmowało mu więcej czasu i musiał używać linki.

- Jutro ty pokażesz Manco całą posiadłość?
- Jeżeli pan sobie tego życzy, to oczywiście, że pokażę - zgodził się Peter.
- Manco chce poznać każdy szczątek.
- Szczątek? - Peter patrzył na niego bez zrozumienia.
- Każdy szczątek i dziurę.
- A, chce pan powiedzieć każdy kątek i każdą dziurę - roześmiał się Peter.

- Tak, wszystko, razem z Domem Wirakoczy.

- Z czym?

- Z Domem Wirakoczy, Domem Słońca. Przy drodze. Miejsce, które strzeże zamkniętych bram, ich nigdy nie otwiera nikt.

W oczach Petera pojawiło się zrozumienie.

- Och, ma pan na myśli starą stróżówkę. - Tu lekko zmarszczył brwi. - Ale dlaczego, u licha, nazywa ją pan Domem Wirakoczy?

- Bo tam mieszka słońce. Okna płoną jasnością, bo Wirakocza tam odpoczywa. On otwiera drzwi, żeby wejść do środka. Zostawia otwarte.

Peter patrzył na niego speszony.

- No... pewnie chodzi panu o coś takiego, że słońce odbija się w szybach, ale drzwi na pewno nie były otwarte. Dom zamknięto i nikt tam teraz nie chodzi.

- Tam jest zamieszkanie Wirakoczy. Manco widzi. Nic nie brakuje oczom Manco. - Ton Indianina świadczył, że czuje się on dotknięty.

Peter poruszył się niespokojnie.

- Oczywiście, że nie brakuje. Jeżeli chce pan iść, to pójdziemy.

Udobruchany Manco uśmiechnął się znowu.

- Teraz Manco uczy chłopca łapać ryby.

- O, tak! Chciałbym Archie'emu Bradwellowi pokazać sztuczkę albo dwie! - Petre odrzucił ponczo do tyłu i podwinął rękaw.

- Archie'emu Bradwellowi?

- Syn stróża, wstręciuch jeden - wyjaśnił Peter. Manco, nie rozumiejąc, ściągnął brwi.

- Wstrę..? - nie znał tego słowa.

- Okropny, podły, złośliwy. Każde z tych słów pasuje, kiedy chodzi o Archie'ego.

- A. Chłopiec Archie pizarrski chłopiec.

- Właśnie. - Peter przyzwyczał się już do tego określenia. Położył się na brzegu tak, jak przed chwilą Manco, i zanurzył rękę w przejmująco zimnym jezioru.

Manco pochylił się nad nim, pouczał go cierpliwie i niemal natychmiast lin sam wpłynął Peterowi do ręki, a przynajmniej tak się chłopcu zdawało! Palce Petera zamknęły się na rybie, wygarnął ją z wody z pełnym podniecenia okrzykiem. Rozprysnęły się zimne krople i oto na wilgotnej ziemi, trzepocząc się i rzucając, leżał lin.

Peter zerwał się i aż zatańczył z podniecenia.

- Złapałem go golą ręką! Naprawdę go złapałem!

- Tylko z pomocą Wirakoczy - przypomniał mu Manco.

- Tak, oczywiście - przytaknął pospiesznie Peter. A potem, kiedy Manco znowu wrzucił lina do jeziora, przeniósł spojrzenie na łuk, strzały, procę i nóż Indianina, które ten chwilowo porzucił w trawie. - Czy pokaże mi pan również, jak tego używać, Manco?

Indianin wyprostował się i popatrzył na niego pytająco.

- Ty zastrzelasz pizarrskiego chłopca?

- Zastrzelić? Och, Boże, nie! - Oczy Petera rozszerzyły się w świetle księżyca.

- Hmm. - Manco przyglądał się, jak lin rzuca się do ucieczki w jakieś bezpieczniejsze miejsce. - Capacjack i capac Miguel mówią, że strzelanie nie dobra rzecz w Anglii.

- Zdecydowanie niedobra. Manco prychnął.

- To znaleźć inna droga. Magiczna droga.

- Niech pan posłucha, Manco, nie lubię Archie'ego Bradwella, ale nie chcę, żeby umarł ani nic takiego! Po prostu chcę mu dać nauczki. Jemu zawsze tak dobrze wszystko wychodzi, obojętne, czy chodzi o łowienie, czy jazdę konną, czy zastawianie pułapek. Potrafi nawet szybciej ode mnie biegać! Wszystko, co ja chciałbym robić dobrze, ale co przychodzi mi z trudnością, on robi bez zmrużenia oka.

- Zmrużenia?

- Och, wszystko jedno - powiedział szybko Peter, nie chcąc wdawać się w następne wyjaśnienia.

Manco zastanawiał się przez chwilę.

- Zrobimy umowę? Ja pomogam ci z pizarrskim chłopcem, a ty pomagasz mi z diabełem.

- Diabełem?

- Człowiekiem, co chce ożenić się z twoją matką. Człowiekiem, który zatrzymuje Manco w Anglii!

Na twarzy Petera pojawiło się zrozumienie.

- Och, chodzi panu o sir Rafe'a? Manco przytaknął.

- Tak. To on. Manco chce do domu do Peru, ale capac Cristovał nie wyjedzie, dopóki tu nie wszystko dobrze. A wszystko dobrze dopiero, kiedy diabela się pozbędziemy, a capac Jack weźmie panna Emily za żonę.

- Za żonę? - Peterowi nawet spodobał się pomysł, by Jack Lincoln został jego ojczymem. W domu bez wątpienia zrobiło się bardziej interesująco, od kiedy się tam pojawił!

- Capac Jack ją kocha, ona kocha capac Jack Manco wie. Peter pokiwał wtedy głową, przypominając sobie, co podsłuchał przy wejściu do tajemnego ogrodu.

- A babcia kocha pana Reynoldsa - dodał. Manco popatrzył na niego.

- Skąd chłopiec wie?

- Podsłuchałem, jak rozmawiała dzisiaj z panem Lincolnem. Powiedziała, że pan Reynolds to mój dziadek.

Manco pokiwał głową.

- To prawda. Chłopiec ma szczęście. Capac Feliks wielki człowiek.

- Naprawdę pan tak sądzi, Manco?

- Manco wie.

Peter uśmiechnął się, bo w jego oczach pochwała Indianina była najwyższą rekomendacją, jaką mógł otrzymać Feliks Reynolds.

Manco również się uśmiechnął.

- No to jak, capac Peter, umowa stoi? Ja pokazuję ci różne rzeczy, ty mnie zabierasz do Domu Wirakoczy? Manco składa ofiarę, robi magię. Potem razem dajemy nauczkę sir diabełowi Rafe i pizarrskiemu Archie.

- Dobrze.

RS

Rozdział 28

Kiedy Jack dojechał do Temford, zsunął się z siodła i wprowadził konia w szeroką, krytą aleję, odchodzącą w bok od rynku. Tutaj na górcie nie było mgły, a księżycowe światło zalewało wszystko jasnością, która nie sięgała dolin.

Jack zauważył tę alejkę wcześniej z okna stojącej po drugiej stronie gospody. „Pod królewskim dębem” świeciły się światła, a od drzwi wejściowych dochodził od czasu do czasu czyjś wybuch śmiechu albo gra na skrzypcach. Ale w samej alejce panowała cisza, ponieważ prowadziła ona tylko na podwórzec na tyłach jednego ze sklepów, do których uczęszczała Cora, z takim przejęciem usiłująca dotrzymać kroku zmiennej, przywożonej na północ z Londynu modzie.

Jack gładził konia, aż ten się całkiem uspokoił i odprężył, potem podszedł do wylotu alejki, żeby popatrzeć w stronę zamkowych bram, osadzonych w cisowym żywopłocie. Zostały zamknięte na noc, ale okna w niewielkiej neogotyckiej stróżówce tuż za bramą nadal jarzyły się od światła świecy, płonącej za zaciągniętymi zasłonami. Stróż jeszcze nie śpi, zauważył Jack z konsternacją. Spodziewał się, że o tej porze wszystko pogrążone będzie w ciemnościach. Prześlizgnął się przed sklepami od strony rynku, kierując się do żywopłotu, który miał całe siedem stóp wysokości i był równiutko przystrzyżony. Taki rezultat musiał wymagać kilku dni pracy i kilku drabin, kiedy strzyżenie stawało się konieczne.

Przystanął w cieniu, by rozejrzeć się po rynku. W niektórych oknach na górnych piętrach paliły się światła, ale chwilowo nikogo w pobliżu nie było widać. Nawet w gospodzie na jakiś czas zapadła cisza, a drzwi szczelnie zamknięto. Jack w jednej chwili wdrapał się na kutą, żelazną bramę, zwinnie przeszedł górą, a potem opadł na tereny zamkowe. I natychmiast cofnął się znowu pod żywopłot i wtulił się weń, by go nikt nie zobaczył. Nie spuszczał oczu ze stróżówki. Ale nie usłyszał, by w środku ktoś się poruszał, nic nie wskazywało, żeby zauważono intruza.

Minęło kilka minut, wszędzie panowała cisza, więc

Jack odprężył się i przeniósł uwagę na zamek, na blanki, które wydawały się płynąć po wygwieżdżonym niebie, upstrzonym teraz chmurami. Rozległ się krzyk pawia, zahukała sowa, ale po ludziach nie było nawet śladu. Poza może jednym...

Jego spojrzenie przyciągnęło światło w barbakanie i pokój nad teraz już zlikwidowaną broną. Pierwotnie otwór w murze musiał być mały, niewiele szerszy niż szczelina strzelnicza, ale w ostatnich latach zainstalowano tam dużo większe okno z kolorowymi, oprawionymi w ołów szybkami, jak w kościele. Jedno skrzydło okna było uchylone. Do uszu Jacka dochodziło ciche postukiwanie bil z kości słoniowej: ktoś grał w bilard. A potem przed oknem przeszedł Rafe, przystanął, żeby pokręcić czubkiem kija w nierównej, kamiennej ścianie, pochylił się znowu do strzału i zniknął z pola widzenia. Oczy Jacka zabłyśły zimno, zaczął przekradać się do wejścia do zamku.

Dostanie się do wnętrza okazało się niemal śmiesznie łatwe. Nabijane żelaznymi ćwiekami główne wrota zaryglowano od środka, ale przeoczono znajdującą się obok nich małą furtkę. Otworzyła się gładko na zawiasach, które musiały niedawno zostać naoliwione, i w jednej chwili Jack znalazł się w warowni swego kuzyna.

Wszedł do wielkiej sali, gdzie w słabym świetle płonącego na rozłożystym kamiennym kominku ognia z trudem dawało się dostrzec stojące na straży zbroje, a kuty w kształt koła od wozu świecznik, w którym tkwiły cztery zapalone świece, wisiał wysoko pod sufitem. W środku było dość zimno, ale Jack miał wrażenie, że jest ciepło, bo listopadowa noc przejmowała chłodem; w powietrzu unosił się wyraźny zapach curry. Najwyraźniej Rafe i jego podobny pod względem charakteru gość uraczeni zostali kolacją zaprawioną ostrymi wschodnimi przyprawami.

Tuż za furtką, ukryte za ciężką adamaszkową zasłoną, znajdowały się kręcone, kamienne schody, które stromo pięły się na górne piętro barbakanu. Ciemna czerwień adamaszku wydawała się niemal czarna w ponurym, niewyraźnym świetle, ale kiedy Jack odchylił zasłonę, by zerknąć w górę, zobaczył, że jest tam dużo jaśniej. Postukiwanie bil zrobiło się bardziej donośne. Nie było jednak słyhać żadnych głosów i Jack zaczął mieć nadzieję, że Rafe może być sam. Och, bardzo by to było szczęśliwe zrzęczenie opatrności, gdyby tak się stało, bo mogliby pogadać sobie od serca, w cztery oczy, jak kuzyn z kuzynem...

Nieświadom coraz bliższego niebezpieczeństwa Rafe rzeczywiście grał sam. Pokój tak nagrzał się od małego kominka, że pan domu zrzucił surdut i miał na sobie tylko koszulę i spodnie. Pochylał się do długiego strzału, opierając się pokrytą filcem ramę. Stół złożono we wnętrzu pokoju w barbakanie z części, które wciągnięto na górę na linach po zewnętrznym

murze, kiedy powiększono okna. Był to wspaniały, imponujący mebel, zielone sukno okrywało marmurowe płyty, a oświetlała go patentowa lampa olejowa, zwisająca z sufitu o trzy stopy nad stołem.

Kij skoczył do przodu, biała bila potoczyła się w kierunku ramy, przy której czerwona spoczywała w bardzo trudnej pozycji. Strzał był celny, ale czerwona bila nie wpadła do narożnej łuzi, tylko zatrzymała na samym jej skraju, zupełnie jakby z gracza drwiła. Rafe wyprostował się z cierpkim wyrazem twarzy i sięgnął po kieliszek koniaku, który postawił na ramie. Dobrze, że tego wieczoru nie gra z Brockhamptonem, bo ten by go oskubał.

- Niemiłe spotkanie przy lampie, co, draniu? - odezwał się jakiś głos.

- Lincoln... - Rafe już miał się gwałtownie odwrócić, ale poczuł na karku lodowaty ucisk lufy pistoletu, a usłyszawszy, że broń została odbezpieczona, zamarł w bezruchu. Kieliszek wypadł mu z palców, odbił się od stołu i roztrzaskał na podłodze. Rafe przełknął, bo poczuł się tak, jakby język przywarł mu do podniebienia. - A więc... więc Brockhampton miał rację, to o tobie mówił Gustavus.

- Gustavus?

- Powiedział Brockhamptonowi, że byłeś na „Stralsundzie”.

- Mój powrót do Anglii nie jest żadnym sekretem. Ani moje pragnienie, by zgnieść cię mściwie pod obcasem, co by się należało takiej pluskwie jak ty. - Jack pokręcił pistoletem przyciśniętym do coraz bardziej mokrej od potu skóry kuzyna.

Rafe był przerażony. Przesunął językiem po wargach, które nagle zrobiły się suche jak pieprz.

- Czego chcesz? - zapytał.

- Czego chcę? Poza zwrotem mojego dziedzictwa?

- Zostało dowiedzione, że to moje dziedzictwo i... - Głos Rafe'a ucichł, kiedy pistolet wbił mu się głębiej w ciało.

- Twoja nieuczciwość zaczyna się robić nużąca, draniu. Najpierw ty i ten twój fagas Brockhampton fałszujecie świadectwo urodzenia, żeby wyzuć mnie z moich praw, potem załatwiacie sprawę zniknięcia mieszka, który Feliks Reynolds zostawił dla Cory Preston. A teraz krzątasz się koło skryptów dłużnych i gadasz o francuskich szpiegach. No, no, taki jesteś pracowity, że jeszcze trochę, a uchylę przed tobą kapelusza. Rafe poczuł się oszołomiony wiedzą Jacka.

- Kto ci to wszystko powiedział? - zapytał ostro, formułując pytanie ostrożnie, żeby się do niczego nie przyznawać. Myśli kłębiły mu się w

głowie. Brockhampton! Czy prawnik okazał się nie do końca dyskretny? Nie przyszło mu na myśl, że Emily mogła zwierzyć się Jackowi z któregokolwiek z tych faktów.

- A, chciałbyś się tego dowiedzieć? - szepnął Jack, znowu wciskając mu pistolet w kark.

- Tak, chciałbym, bo to wszystko kłamstwa. - Rafe już zaczynał się odwracać, kiedy pistolet znowu dźgnął go mocniej.

- Patrz do przodu, draniu. Jakbym miał ochotę oglądać gnidy, to bym cię zaczął czesać - powiedział cicho Jack. - Widzę, że chciałbyś grać i udawać, że nie wiesz, o czym mówię, pozwól więc, że wyrażę się nieco jaśniej. O sfalszowanym wpisie w księdze urodzeń niewątpliwie wiedziałeś, a może zapomniałeś już o czasach, kiedy opowiadałeś w sądzie te wszystkie potworne kłamstwa? A o mieszkaniu Feliksa Reynoldsa, który ten zostawił u Brockhamptona, chyba raczej również wiesz.

- Co ty masz wspólnego z Feliksem Reynoldsem? - zapytał ostro Rafe.

- Mam zaszczyt zaliczać się do jego najbliższych przyjaciół. Ale z pewnością bardziej istotne jest pytanie, co ty masz wspólnego z Feliksem Reynoldsem? No, draniu? Dlaczego maczałeś swoje brudne łapy w jego sprawach?

- Nie wiem, o czym mówisz.

- O? A więc myślę się, sądząc, że napisałeś do Brockhamptona list, w którym dziękujesz mu za pomoc w sprawie znikającego mieszkania?

Wargi Rafe'a rozchyliły się, zastanawiał się gwałtownie. A więc to Brockhampton był źródłem informacji!

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie, draniu. Dlaczego uczyniłeś sprawy Feliksa Reynoldsa swoimi?

- Nie uczyniłem.

- Wybacz mi, najdroższy Rafe'ie, że nazwę cię kłamcą - powiedział cicho Jack. - Dochodzimy tym samym do sprawy skryptów i francuskich szpiegów. Coś mi się zdaje, że obaj wiemy, iż Geoffrey Fairfield nie miał nic wspólnego ani z jednymi, ani z drugimi, prawda? Przyznaj to teraz, draniu. Geoffrey był dobrym chłopcem, ale ty zawsze byłeś zaiste bardzo złym chłopcem. Po prostu plama na honorze rodziny, co?

Na czoło Rafe'a wystąpiły krople potu.

- Ja... ja rozumiem, że chciałbyś odzyskać swoje dziedzictwo, Lincoln, ale skąd twoje zainteresowanie Fairfield Hall?

- Tak się składa, że jestem gościem teściowej Fairfielda.

- Cory Preston?

- Jeżeli nie popełnił on kiedyś bigamii, to masz rację, Cory Preston - odpowiedział Jack.

Myśli Rafe'a rozbiegały się we wszystkich kierunkach naraz. Z pewnością musi to oznaczać, że Jack wie wszystko o Feliksie i Córce Preston; a stąd o rodzicu Emily. Ale czy wie również, jakiego bogactwa dorobił się Feliks? Czy to dlatego zaangażował się w tę sprawę? Może w rodzinie jest więcej niż jeden łowca posagów!

- Gdzie Brockhampton? - zapytał nagle Jack.

- Śpi.

- I śni słodkie sny o utraconej niewinności, bez wątpienia.

- Pozwoliliśmy sobie na towarzyskie pogaduszki, Lincoln, ale dość już tego. Czego chcesz ode mnie? - zawołał Rafe.

- Żebyś skończył z tym ohydny naciskiem na rodzinę Fairfieldów.

- Ohydny nacisk? Do cholery, ja chcę się z nią ożenić!

- Nie wydaje mi się, draniu. Ta dama jest za dobra dla podobnych tobie, daleko za dobra.

Na twarzy Rafe'a pojawiło się zrozumienie.

- Chcesz ją dla siebie? Tak, coś mi na to wygląda. A przez to nie lepszy jesteś ode mnie, Lincoln. Możesz się wdzięczyc i puszyć, ale w głębi serca jesteś takim samym przebiegłym intrygantem o czarnym sercu jak ja!

Poczuł ostre dźgnięcie pistoletem.

- Nie pozwalaj sobie na porównywanie siebie ze mną, draniu! Być może nie mam nic do zaoferowania Emily, ale i tak jestem tysiąc razy lepszy, niż ty kiedykolwiek będziesz. Ja ją kocham i zamierzam ocalić ją przed tobą.

Rafe zaczął uświadamiać sobie, że tajemnica majątku Feliksa Reynoldsa jest bezpieczna.

- Wpierw cię w piekle zobaczę, Lincoln - powiedział półgłosem.

Jackowi zaczęła drgać żyłka na skroni.

- W piekle już byłem od tamtego dnia w sądzie, draniu, i taka perspektywa mnie nie przeraża. A teraz posłuchaj. Przybyłem tu z kilku powodów. Po pierwsze, chcę cię ostrzec, że jeżeli zdarzy ci się powiedzieć jedno niepoehlebne słowo o Geoffreyu Fairfieldzie, to osobiście obedrę ze skóry twoje żalosne cielsko. A potem powieszę cię na najwyższej wieży tej kupy kamienia, którą nazywasz domem, żebyś wysechł. Czy wyrażam się wystarczająco jasno?

Rafe nie odpowiedział.

Pistolet dźgnął go ostrzegawczo.

- Po drugie, chcę dopilnować, żebyś uchronił Emily przed długami jej męża, nie narzucając jej równocześnie swojej cuchnącej osoby. Masz pospłacać wszystkie jej zaległe rachunki, będzie to pełen sympatii gest narzeczonego, który niestety musi wycofać się z planowanego związku.

- Co takiego? Zwariowałeś?

- Nie, draniu, tylko że to ja trzymam palec na cynglu - odpowiedział gładko Jack. - No a teraz albo okażesz rozsądek i zgodzisz się na moje żądanie, albo zabiję cię na miejscu. Wybór należy do ciebie.

RS

RS

Rozdział 29

- Nie ośmieliłbyś się! - Ale słowa Rafe'a podszyte były fałszywą brawurą, bo pojęcia nie miał, czego może dopuścić się jego wrogo nastawiony kuzyn.

Jack się uśmiechnął.

- Grubo się mylisz, draniu, dałeś mi aż nadto powodów, bym cię zlikwidował nawet dziesięć razy.

Rafe przełknął.

- A... a dlaczego sądzisz, że zastosuję się do twoich rozkazów? Mógłbym godzić się, na co tylko chcesz, dopóki trzymasz mnie tu na muszce, a potem się ze wszystkiego wycofać.

- To byłoby bardzo niemądre z twojej strony, bo nie dałem się poznać jako człowiek wielkoduszny.

- Do diabła z tobą, Lincoln.

- Bardziej to prawdopodobne, że wyżej wymieniony będzie w piekle przypiekał twój zadek niż mój, chyba że ja się pierwszy za to zabiorę. Ja albo mój dobry przyjaciel Manco.

- Manco?

- Peruwiański Indianin, z pochodzenia Inka. On również jest gościem we dworze i na twoje nieszczęście trzyma się inkaskiej drogi życia. Posiada magiczną moc... dzięki uprzejmości wielkiego boga słońca, Wirakoczy... i wykorzystuje ją, by brać odwet na inkaski sposób. To z jego rąk ucierpiał twój cylinder, kiedy przejeżdżałeś przez rynek. Można by rzec, że pali się, by cię całkowicie wyeliminować z gry, ale dotychczas udawało nam się go przekonać. Niewiele trzeba, żeby kamień do procy zastąpiła dużo bardziej zabójcza strzała, a nawet zatruta strzałka. Albo może coś dużo bardziej strasznego i nadprzyrodzonego - dodał cicho Jack.

Rafe zeszytniał z przerażenia. Poczul, jak zalewa go fala przesądnej grozy i rzucił rozpaczliwe spojrzenie na przewieszony przez krzesło surdut. Kwarcowy kamyk! Jest mu potrzebny...!

Jack, który wyraźnie widział jego strach, uśmiechnął się chłodno.

- Kara spada jak grom z jasnego nieba, prawda? Uważaj więc i nie szarp peruwiańskiego wilka za ogon, draniu, bo nie wygrasz, a ja może nawet wolałbym cię widzieć martwego niż żywego. Śmierć czeka cię również, jeżeli będziesz na tyle głupi, by grozić zdemaskowaniem Geoffreya Fairfielda jako francuskiego agenta.

- Tu Jack niebezpiecznie zniżył głos. - Jedno niewłaściwe słowo, a nie usłyszysz kroków Manco za plecami ani nie poczujesz, w której chwili spęta cię jego magia.

Rafe'owi robiło się słabo. Trząśł się już na całym ciele i musiał chwycić za skraj bilardowego stołu, żeby się jakoś opanować.

Jack uświadomił sobie, że czystym przypadkiem trafił na pogrózkę, która wprawiała jego kuzyna w panikę. Tak więc szedł za ciosem.

- Nie będziesz miał pojęcia, co się dzieje, draniu, dopóki nie stanie się za późno, radzę ci więc, żebyś teraz zrobił to, co ci każę.

- Tak! Dobrze... dobrze, zrobię wszystko, co zechcesz - zawołał tchórzliwie Rafe.

- Chcę, żebyś napisał kilka listów, draniu. Ale uprzedzam, gdybyś zechciał odwołać coś z tego, do czego zmuszę cię tej nocy, będzie to oznaczało twój koniec. Rozumiesz?

Rafe przytaknął.

- Tak - wyszeptał. - Do kogo mam napisać?

- Zaczniemy od Emily, a potem napiszesz do bankiera Fairfield Hall w Shrewsbury, Mackaya, tak chyba ma na nazwisko, i polecisz mu, by przelał fundusze na konto Emily. Powiedz sam, czy to nie sprytny pomysł?

Przez dwa uderzenia serca Rafe nie reagował, ale potem się poddał.

- Bardzo dobrze, zrobię, jak sobie życzysz.

Coś nadto chętnie ustępuje, pomyślał podejrzliwie Jack.

- Jeżeli wyobrażasz sobie, że uda ci się wykręcić jakąś sztuczkę, draniu, to...

- Słuchaj, Lincoln, przystałem na twoje warunki. Tego przecież chciałeś, prawda? Nie jestem na tyle głupi, żeby kłócić się z człowiekiem, który mi grozi pistoletem! - Rafe zaczął odwracać się do Jacka, który znowu zmusił go, by patrzył przed siebie.

- Nie mam ochoty widzieć twojej żalostnej gęby, draniu, więc się nie odwracaj. - Słowa Rafe'a nie uspiły podejrzliwości Jacka, bo Warrenderowi nigdy nie należało ufać, ale teraz najważniejszą sprawą było zmuszenie go do napisania listu. - Proszę przodem i pamiętaj, że wystarczy jeden fałszywy ruch, a skończę z tobą. - Dźgnął kuzyna pistoletem. - Ruszamy.

- Mój surdut... - Pilnując się, by nie odwrócić się twarzą do Jacka, Rafe podniósł surdut i założył go, a potem, szukając pociechy, wsunął dłoń do kieszeni z kwarcowym kamykiem.

Jack zauważył jego ruch i pospiesznie chwycił Rafe'a za nadgarstek.

- Nie tak szybko, draniu - szepnął. Ale kiedy zbadał zawartość kieszeni, znalazł tylko jakiś kamyk. - Co to jest?

- Pamiątka.

- Skąd?

- Z Neapolu.

Jack zawahał się, właściwie miał ochotę wyrzucić kamyk za okno, ale zamiast tego włożył go z powrotem kuzynowi do kieszeni.

- Nie wykonuj żadnych gwałtownych ruchów, drania

- Dobrze. - Rafe powoli wsunął dłoń do kieszeni. Kiedy jego palce zamknęły się na kawałku kwarcu, zaczął oddychać miarowo. Niemal natychmiast poczuł się lepszy, mocniejszy, łatwiej było mu opanować lęk. Wyszedł przodem z pokoju, a kiedy schodzili po krętych schodach, świadom był, że lufa pistoletu oddalona jest tylko o kilka cali od tyłu jego głowy.

Udali się do dawnej kaplicy, przerobionej teraz na gabinet. Pod zewnętrzną ścianą prezbiterium zbudowano kominek, przez podzielone kamiennymi słupkami ostrołukowe okno, oszklone małymi, oprawnymi w ołów szybkami, wpadało blade światło księżyca. Ogień ledwo się tlił i właściwie jedyną iluminacją było to nikle, srebrzyste światło, ale wystarczyło go, by Jack zorientował się, że cały pokój urządony jest w stylu gotyckim. Stały tam rzeźbione w trój liście szafy biblioteczne, o drzwiach szklonych małymi szybkami, tak samo jak okno, oraz olbrzymie dębowe biurko i fotel, który mógł pochodzić z jakiegoś opactwa.

Rafe usiadł przy biurku i po raz pierwszy spojrzął Jackowi w oczy. Kuzyni patrzyli na siebie z tą osobliwą mieszaniną goryczy i wstrętu, którą wytworzyć potrafi tylko wspólna krew; po chwili Rafe sięgnął po kartkę papieru. Zanurzył pióro ze złotą stalówką w kałamarzu i rzucił pytające spojrzenie na Jacka, który stał po drugiej stronie biurka, nadal mierząc w niego z pistoletu.

- No?

- Doszły do moich uszu wieści o kwocie czterdziestu tysięcy gwinei oraz rozmaitych skryptach dłużnych. Powiedz no mi, draniu, czy te skrypty istnieją, czy nie?

Rafe popatrzył na niego.

- Geoffrey Fairfield był głupcem, ale nie do tego stopnia.

- Tak więc stanowią one wytwór twojej wyobraźni?

- Obawiam się, że tak.

- Lepiej na tym wyjdiesz, jeżeli będziesz mówił prawdę.
- Mówię. - Rafe spojrzał Jackowi prosto w oczy i ten ostatni zrozumiał, że przynajmniej tym razem jego śliski krewniak nie kłamie.
- W takim razie sędzę, że pięćdziesiąt tysięcy powinno wystarczyć - powiedział spokojnie.

Wargi Rafe'a się rozchyliły. - Pięćdziesiąt?

- Pomyślałem sobie, że zapewne zechcesz okazać się rycerski i zostawisz wdowie pewną kwotę na osłode - wyjaśnił gładko Jack, biorąc świecę z biurka i zapalając ją od ognia, żeby przygotować wosk do pieczętowania. Migotliwy płomyk chwiał się to w przód, to w tył, kiedy Lincoln wracał do biurka i stawiał na nim świecę. - No, draniu, dobrze wiem, że funduszy ci wystarczy. Przecież dysponujesz moimi, a ja orientuję się, jaki masz chociażby z nich coroczny dochód. Zachowuj się więc jak na grzecznego chłopca przystało i płąć.

Pod dyktando Jacka Rafe napisał list do bankiera i jeszcze jeden do Emily. Potem posypał atrament piaskiem i zdjął sygnet, by pisma przypieczętować. Jack natychmiast podniósł pierścień i bacznie mu się przyjrzał.

- Co to jest?
- Nie poznajesz?
- Nie, nie poznaję, i dobrze o tym wiesz. Gdzie jest oryginał?
- Niestety, zgubiłem go.

Jack spojrzał na kuzyna z krańcową pogardą.

- Zgubiłeś pierścień, który nasz przodek otrzymał od Henryka V pod Agincourt?

- To się zdarza.

- Zdarza się? Coś mi się zdaje, że bardziej byłoby do ciebie podobne, gdybyś takie dziedzictwo mocno trzymał w garści. Jak to było? Gdzie go zgubiłeś?

Rafe rozłożył ręce.

- Nie mam pojęcia. Po prostu uświadomiłem sobie, że go nie mam. Słuchaj, czy to ważne? Do cholery, tamten pierścień przepadł, więc teraz używam tego. Chcesz, żebym w końcu zapieczętował ten list, czy nie?

- Tak, chcę. - Ale podejrzenia Jacka nie słabły. To było stanowczo zbyt łatwe. Rafe coś ukrywał - ale co? Oddał kuzynowi sygnet i zorientował się, że na biurku nie ma wosku do pieczętowania. Rafe również to zauważył i zawahał się. Zerknął ukradkiem ku szufladzie po prawej.

Jack poszedł za jego spojrzeniem.

- Co tam trzymasz, draniu?

- Nic. Tylko wosk do pieczętowania.

- To go wyjmij - rozkazał Jack, machnąwszy pistoletem.

Niechęć Rafe'a do otwierania szuflady wprost biła w oczy. Poszukał w kieszeni klucza, niemal go upuścił, potem znowu się zawahał.

Poirytowany Jack obszedł biurko dookoła, wyrwał mu klucz i otworzył szufladę. Wewnątrz zobaczył blok żółtego wosku, ale nie tylko, bo leżała tam również oprawna w skórę książka, w którą, zamiast zakładki, wetknięty był kawałek papieru.

Zaciekawiony Jack przełożył pistolet do lewej ręki, którą posługiwał się niemal równie zręcznie jak prawą, i znowu przycisnął lufę Rafe'owi do karku. Potem prawą ręką przerzucił kartki książki. Był to tomik siedemnastowiecznych francuskich wierszy.

- Wiersze? Zaskakujesz mnie - zamruczał i spojrzał na kawałek papieru. Ktoś zapisał tam kolejno jakieś liczby, w porządku chyba przypadkowym. Najmniejszego to sensu nie miało. Kątem oka zobaczył, jak Rafe zerka na książkę i przesuwając nerwowo językiem po wargach.

- Co to za liczby, Rafe? - zapytał Jack.

- Nie wiem. Kartka była w książce, kiedy ją kupiłem. Jack mu nie uwierzył. Ten kawałek papieru musiał z jakiegoś powodu być ważny, może lepiej go będzie zatrzymać. Ukradkiem wetknął sobie kartkę do kieszeni, potem przełożył znowu pistolet do prawej ręki i obszedł biurko, by stanąć przed Rafem.

- Zapieczętuj list - polecił.

Rafe zrobił, co mu kazano. Wziął wosk do jednej ręki, a świeczkę do drugiej i zbliżył je do siebie tak, by kilka stopionych, żółtych kropli spadło kolejno na każdy z listów. Następnie przycisnął pierścień do tężejącego wosku, zostawiając na nim doskonale podobizny róży Jacka.

Jack zaczekał chwilę, aż wosk stwardnieje, potem wsunął listy do kieszeni, obok kartki z liczbami.

- No dobrze, jedno zadanie mamy już za sobą. Teraz przechodzimy do następnego.

- Następnego?

- Chcę odzyskać to, co moje, draniu, a dopóki to ja trzymam pistolet, będziesz tańczył, jak ci zagram.

- Jeżeli sądzisz, że zamierzam oddać ci...

- Ja nie sędzę, ja wiem. - Jack pochylił się do przodu nad biurkiem i wycelował pistolet prosto między oczy Rafe'a. - Pamiętaj o Manco - szepnął. - A teraz wyjmij świeżą kartkę papieru.

Ale kiedy Warrender niechętnie podporządkowywał się rozkazom, obydwoj usłyszeli czyjeś kroki, zbliżające się do drzwi, które zostawili lekko uchylone.

- Jest pan tam, Warrender? - rozległ się głos sir Quentina.

Jack zareagował błyskawicznie. Przyłożył Rafe'owi w szczękę lewą pięścią i pozbawił go przytomności; Rafe opadł do przodu na biurko, wciąż jeszcze ściskając w dłoni nową kartkę papieru. Potem Jack skoczył za drzwi i czekał, aż prawnik wejdzie do środka.

- Warrender? - Sir Quentin zajrzał do pokoju, uprzejmie nastawiając podbródek, który natychmiast również zapoznał się z pięścią Jacka. Prawnik zwalił się na podłogę i leżał tam, otulony białą nocną koszulą i kwiecistym brokatowym szlafrokiem; długi, złocisty chwaścik od szlafmocy ułożył mu się równiutko na nosie.

Jack spojrział na niego ze złością.

- Niech cię wszyscy diabli za moment, jaki sobie wybrałeś, Brockhampton! - mruknął. Obejrzał się na Rafe'a, który ani drgnął. Nokaut wyeliminował obydwu panów z gry. - Lepiej zmykaj stąd, dopóki możesz, Jack, mój chłopcze - szepnął i niczym cień wysunął się z pokoju.

Pospiesznie przemknął przez zamek, wyszedł przez furtkę i po trawniku skierował się do bram. Wyjrzał ostrożnie, zobaczył, że rynek nadal jest pusty, po kutych ozdobach przeszedł na drugą stronę i, mijając sklepy, pobiegł szybko w kierunku alejki, gdzie czekał jego koń. Zdażył opuścić rynek, skierować się w stronę mostu na Teme i wjechać w mgłę, która grubym płaszczem okrywała już wszystko, a nadal nic nie świadczyło o tym, by na zamku podniesiono alarm.

Nie minęło pół godziny, a już znalazł się w stajniach. Po następnych pięciu minutach był już w Fairfield Hall. Ale wstępując na schody, zobaczył, że na podeście czeka Emily. Musiała pójść do jego pokoju i przekonać się, że go tam nie ma. Przystanął skonsternowany.

- Emily? - powiedział cicho, widząc ślady łez na jej twarzy.

Emily zarzuciła mu ręce na szyję i przywarła do niego tak mocno, że czuł bicie jej serca. Ogarnął ją ramionami, opierając policzek o złotobrazowe włosy.

- O co chodzi, moje kochanie? Czy stało się coś jeszcze? - wyszeptał.

- Nie, tylko... tylko ja potrzebuję być z tobą - odpowiedziała głosem zduszonym przez łzy. Myślała, że już wszystkie łzy przelała przy matce, ale na jego widok popłynęły znowu.

Jack otarł się policzkiem o jej włosy.

- Jeszcze trochę, a wszystko się naprawi i będziemy mogli być razem - zapewnił ją cicho.

Emily odchyliła się, by spojrzeć mu w oczy.

- O czym ty mówisz?

Jack usłyszał jakiś odgłos z sypialni Cory, chwycił Emily za rękę i wciągnął ją pospiesznie do swego pokoju. Kiedy znaleźli się w środku, szybko zapalił od ognia świeczkę, potem w jej łagodnym świetle stanął twarzą w twarz z ukochaną.

- Mam coś dla ciebie - powiedział i podał jej list Rafe'a. Emily poznała pismo i pieczęć i popatrzyła na niego pytająco.

- Ale jak...?

- Nie pytaj, a nie usłyszysz kłamliwych odpowiedzi. Wystarczy, byś wiedziała, że te listy są autentyczne. Tak, są dwa. Ten drugi jest do pana Mackaya. Możesz mu go dać, kiedy przyjedzie tu na wezwanie twojej matki. Ale zanim przeczytasz ten adresowany do ciebie...

- Tak?

- Proszę tylko o jedno, żebyś nie wspominała, iż otrzymałaś którykolwiek z nich tej nocy z moich rąk. Rano możesz je „znaleźć” w porannej poczcie.

Emily spojrzała mu badawczo w oczy i skinęła głową.

- Oczywiście, jeżeli tego chcesz. - Złamała pieczęć, przeczytała pismo i głos jej odebrało. - Rafe wycofuje się z naszego związku i spłaca moje długi?

- Czyż to nie szlachetnie z jego strony? Emily bała się cieszyć.

- Nie zrobiłeś niczego... niczego okropnego, prawda?

- No cóż, przystawiłem mu pistolet do głowy i przeraziłem go niemal na śmierć pogrózkami o Manco i inkaskiej magii, ale nic więcej. Udało mi się powstrzymać i jednak nie nacisnąłem spustu. Pięćdziesiąt tysięcy gwinei należy do ciebie, Emily. Już nie musisz zostawać żoną Warrendera, a reputacja Geoffreya będzie nadal nieskalana. Peter może wrócić do Harrow, jeżeli jeszcze tego chce, i wszystko znowu będzie tak, jak być powinno.

- Jesteś... jesteś pewien?

- Klnę się własnym życiem - powiedział łagodnie i położył sobie dłoń na sercu. - Nie będzie żadnych zaręczyn w Noc Fajerwerków. W ogóle nie

musisz iść „Pod królewski dąb”, jeżeli nie masz ochoty. Jesteś znowu panią samej siebie, Emily.

Emily zakryła sobie usta rękami, jakby bała się, że wyrwą się z nich niewłaściwe słowa. Słone łzy zapiekły ją znowu w oczach, a serce zaczęło tak łomotać, że Jack z pewnością musiał to usłyszeć. W końcu odjęła dłoń od ust.

- Skończyło się? Naprawdę się skończyło? - Tak.

- Och, jak ja ci się zdołam wywdzięczyc? - Zalała ją radość, a list wysunął się z palców, kiedy znowu zarzuciła mu ręce na szyję.

Jack, tuląc ją, uśmiechnął się nieco ironicznie.

- Nasuwa mi się mnóstwo pomysłów, ale obawiam się, że jestem dżentelmenem.

Emily uniosła usta do pocałunku, ale kiedy się całowali, cieniutka drzazga powątpiewania ukłuła znowu Jacka w serce. Nie względem Emily, nigdy co do niej, tylko względem Rafe'a, który troszkę zbyt łatwo się poddał. Nawet jeżeli wziąć pod uwagę, że bał się i fizycznego, i nadprzyrodzonego zagrożenia dla życia, za mało protestował. Jacka zaczęło dręczyć podejrzenie, że jego kuzyn może jeszcze w rękawie ukrywać jakiegoś asa.

RS

Rozdział 30

Leżący na podłodze w zamku Temford sir Quentin powoli wracał do siebie. Szczeka bolała go jak diabli i przez moment nie mógł przypomnieć sobie, gdzie jest i co się stało. Udało mu się usiąść, po czym delikatnie obmacał opuchliznę. Wróciła mu pamięć. Nie mógł zasnąć i poszedł sprawdzić, czy Rafe nadal jest w pokoju bilardowym. Przekonał się, że nikogo tam nie ma i że pokoje Rafe'a są otwarte i puste, i postanowił go poszukać.

Po drzwiach podciągnął się do pozycji pionowej. I zobaczył Rafe'a, który osunął się na biurko.

- Warrender! - Chwiejnie podszedł do swego gospodarza i potrząsnął go za ramiona. - Warrender?

Rafe poruszył się lekko i jęknął.

Sir Quentin rozejrzał się za koniakiem. Wiedział, że Rafe gdzieś w gabinecie trzyma ten trunek. Zauważył butelkę w jednej z szaf bibliotecznych, pospiesznie nalał dwa wielkie kielichy i z rozmachem postawił je na biurku. Potem znowu potrząsnął Rafe'em, tym razem bardziej energicznie.

- Warrender, obudź się pan! - rozkazał.

Oczy Rafe'a otworzyły się, przez moment wpatrywał się tępo w swego gościa, a potem gwałtownie się wyprostował, przypomniawszy sobie spotkanie z Jackiem.

- Lincoln! - krzyknął zduszonym głosem i skrzywił się, bo wargę miał rozciętą i spuchniętą.

- Lincoln?

- On tutaj był! Szlag by to trafił, mój zatracony kuzyn był tutaj! - Zaczynał wracać do siebie, w głowie mu aż huczało od myśli. Chwycił jeden z kielichów, które postawił na biurku sir Quentin. Uszkodzona warga zapiekła od palącego płynu, ale Rafe niemal tego nie zauważył.

Prawnik gapił się na niego oniemiały.

- Jack Lincoln? Do cholery, musimy kazać tego zbrodniarza aresztować! Nie może tu przychodzić i atakować nas bez...!

- Nie chcę ściągać uwagi na zamek - przerwał mu ostro Rafe.

- Ale...

- Niech pan zostawi tę sprawę, powiadam! Załatwię to na swój sposób.

- W porządku, w porządku. - Sir Quentin oparł się o biurko, pocierając pulsującą szczękę. - Czego chciał?

- Oprócz tego, że nalegał, bym zwrócił mu jego dziedzictwo? Powiedziałbym, że chciał Emily Fairfield - zamruczał Rafe z namysłem.

Sir Quentin się wyprostował.

- Co takiego? Emily Fairfield? Czy on wie o...

- Pełnych kufrach Feliksa Reynoldsa? Nie sędzę. Może i jest jego przyjacielem, ale obstawiałbym, że z jakiegoś powodu Reynolds słowa nie pisał o swojej fortunie... ani o zbliżającej się śmierci, jeżeli ta informacja od Gustavusa jest rzeczywiście prawdziwa. Tej nocy Lincoln zamierzał... powiedzmy... przekonać mnie, bym wycofał się ze związku z Emily Fairfield i spłacił przy sposobności jej długi. Jakoś mi się nie wydaje, żeby miał martwić się obecnymi trudnościami finansowymi pani Fairfield, gdyby coś wiedział. Przecież jej długi są jak kropla w morzu w porównaniu z tym, ile w końcu będzie warta. Każdy bank udzieliłby poparcia finansowego na podstawie takiej sperandy.

- Pewnie ma pan rację. - Sir Quentin zastanawiał się przez chwilę, a potem z zaciekawieniem popatrzył na Rafe'a. - A czy Lincoln zmusił pana, by zastosował się pan do jego życzeń?

- Zacząłem się do nich stosować, przy czym w podjęciu takiej decyzji bardzo pomogło mi dźganie lufą naładowanego pistoletu. - I zagrożenie nadprzyrodzoną mocą! Na tę podstępna, nieproszona myśl Rafe głośno przełknął i, szukając pociechy w swoim odłamku kwarcu, wsunął dłoń do kieszeni. Jak zwykle kamyk podniósł go na duchu. Kiedy go ścisnął bezpiecznie w dłoni, lęk przed Manco zaczynał słabnąć. Wszystkie te opowieści o mocy Indianina to kłamstwa. Lincoln, nie wiedząc jakim sposobem, musiał odkryć zabobonne lęki swojego kuzyna, i teraz grał na nich. Tak, z pewnością o to chodziło...

- Naładowany pistolet jest dosyć przekonującym argumentem - przyznał sir Quentin.

- Niewątpliwie, uwzględniłem więc wszystkie dotyczące Fairfield Hall życzenia Lincolna. Pana nocnym wędrownikom zawdzięczam to, że nie zdążył wymusić na mnie rezygnacji z dziedzictwa, które mu się z urodzenia należało. Czuję się za to mocno zobowiązany, mój drogi. - Tu Rafe uniósł kielich.

Sir Quentin poczuł się nieco zdezorientowany; Warrender wydawał się przyjmować kompletne fiasko swoich planów ze stanowczo zbyt wielkim spokojem.

Rafe się uśmiechnął.

- Niech pan na mnie tak nie patrzy, drogi przyjacielu, jeszcze nie wszystko stracone. Widzi pan, instrukcje o przekazaniu pieniędzy wystosowane zostały do Mackaya.

Oczy sir Quentina się rozchmurzyły.

- A.

- Rzeczywiście, a. Trudno mi uwierzyć, że ci głupcy w Fairfield Hall nadal uważają go za przyjaciela, ale wygląda na to, że tak się sprawy mają. Ale i pan, i ja, obydwaj wiemy, że pod każdym względem Mackay jest moim przyjacielem, moim fagasem. Na konto Emily Fairfield nie wpłynie z mego rachunku ani jeden pens, a dama ponownie będzie zmuszona mnie przyjąć. Tylko że tym razem koniec z białymi rękawiczkami.

- A pana zdaniem Lincoln będzie beczynnym stał i się temu wszystkiemu przyglądał? - Sir Quentinowi nie do końca udało się stłumić drwinę w głosie. Jeżeli Jack Lincoln zuchwale wdarł się do zamku Temford, by zmusić kuzyna do podporządkowania się swej woli, raczej nie pozwoli mu samowolnie wszystkiego zburzyć.

- Z Lincolnem się rozprawę - zapewnił Rafe półgłosem.

- Rozprawi się pan? - Sir Quentin poczuł chłód na plecach.

Rafe się uśmiechnął.

- Nie pasuje do moich postanowień, więc go usunę, drogi chłopcze. - I jego tak zwanego inkaskiego maga przy sposobności!

Sir Quentin przełknął, bo chociaż winien był fałszerstwa, nie miał najmniejszej ochoty wikłać się w morderstwo; a o cóż poza morderstwem mogło tutaj chodzić?

Oczy Rafe'a zamigotały zimno.

- A jeżeli przekonam się, że droga Emily nie była mi tak do końca wierna w swoich kontaktach z tym człowiekiem, sprawię, że pożałuje tego! - Nagle coś mu się przypomniało i gwałtownie przeniósł spojrzenie na szufladę w biurku, która nadal była otwarta. Papier! Dech mu zaparło i zerwał się na równe nogi. Była to reakcja równie instynktowna jak u osaczonego zwierzęcia.

Sir Quentin patrzył na niego z zaciekawieniem.

- O co chodzi?

- Zabrał kod! - wykrzyknął Rafe bez zastanowienia. I w sekundę pożałował swoich słów, ale już było za późno.

- Jaki kod? - zapytał ostro sir Quentin.

- Och, nic ważnego - odpowiedział Rafe, ale równocześnie pospiesznie wyjął tomik wierszy i podszedł z nim do kominka. Przemieszał żar, by rozniecić ogień, i zaczął wyrywać kartki z książki, miąć je w kulki i wrzucać na jarzące się węgle, gdzie zajmowały się płomieniem i szybko obracały w popiół.

Sir Quentin przyglądał się temu z rosnącym niepokojem.

- O co tu chodzi, Warrender? Jaki kod? I dlaczego pali pan tę książkę?

Rafe nie zareagował, tylko dalej niszczył tomik. Dopiero kiedy wrzucił do ognia oprawne w skórę okładki, udzielił prawnikowi odpowiedzi.

- Nie jest pan aż taki naiwny, niech więc pan nie udaje, że nie zgadł pan - wymamrotał, chwytając kieliszek koniaku i wychylając jednym haustem pozostały w nim płyn. Potem nalał sobie jeszcze jeden.

Sir Quentin gapił się na niego bez zrozumienia.

- Ze nie zgadłem? Ale czego? Do cholery, Warrender, nie potrafię czytać w myślach.

- Powinno to być dla pana oczywiste. - Rafe rzucił się znowu na fotel i odchylił głowę na oparcie. - Och, równie dobrze może się pan dowiedzieć, przecież i tak już za głęboko pan w to wszystko zabrnął. Nie wyobraża pan sobie chyba, że podtrzymywałem znajomość z Carrowbym i jego przyjaciółmi z sympatii do nich, prawda? Nigdy niczego nie robię, jeżeli mi się to nie opłaca.

- Co pan ma na myśli? - zapytał niepewnie sir Quentin.

- Dokładnie to, czego się pan obawia - odrzekł sir Rafe, obdarzając go zimnym uśmiechem.

Sir Quentin gwałtownie przeniósł pełen przerażenia wzrok na kominek, gdzie wciąż jeszcze dawało się odczytać tytuł na okładce spalonej książki. Francuski tytuł książki z francuskimi wierszami...

- No właśnie, drogi chłopcze - powiedział cicho Rafe. - Winien jestem popełnienia dokładnie tego występku, o który oskarżyłem Fairfielda. Zajmowałem się mianowicie niezmiernie lukratywnym sprzedawaniem tajemnic rządowych naszemu wrogowi.

Sir Quentinowi wyrwał się pełen grozy, stłumiony fekrzyk; mimo woli cofnął się o krok.

- Nie chcę mieć z tym nic wspólnego! Stać mnie na wiele, ale nie będę zdradzał własnego kraju!

- Nie spodziewam się po panu żadnych czynów, wystarczy, by trzymał pan język za zębami.

- I w ten sposób stał się pańskim wspólnikiem?

- Już pan jest moim wspólnikiem, Brockhampton - uśmiechnął się Rafe.

- Nigdy! - Twarz sir Quentina spopieląła.

- Jeżeli wyobraża pan sobie, że umrę śmiercią zdrajcy sam, to grubo się pan myli. Jest pan moją prawą ręką, Brockhampton, i na pierwsze słowo oskarżenia z pana strony ja zareaguję istną diatrybą na pana temat. Może pan być pewien, że pociągnę pana ze sobą na szafot.

Sir Quentin poczuł się - i wyglądał - fatalnie. Wiedział, że Rafe nie żartuje; wiedział również, że wielu ludzi skwapliwie w takie oskarżenie uwierzy. Podczas swej prawniczej kariery, która rozkwitła na oszukańczych praktykach, narobił sobie mnóstwo wrogów. Niektórzy z nich z przyjemnością skorzystają z okazji, by upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu.

Rafe uśmiechał się nieprzyjemnie i chłodno.

- Niech się pan uspokoi, Brockhampton, bo chociaż Lincoln wziął ten papier, bez książki na nic się on nikomu nie przyda, stanowi bezładną mieszaninę liczb. Te liczby odnoszą się do konkretnych słów i liter w książce i dopiero po ich porównaniu powstaje możliwa do odczytania wiadomość.

- Czy jest pan całkiem pewien, że nic nie da się wydedukować z samych liczb?

- Nie mam cienia wątpliwości - zapewnił go spokojnie Rafe, wprawiając koniak w kielichu w ruch wirowy i rozkoszując się bukietem.

Sir Quentin podszedł do drugiego wolnego fotela, krytego skórą i stojącego przy kominku. Rzucił się nań, odetchnął głęboko i starał się wziąć w garść. Kiedy zaangażował się po stronie Rafe'a, postąpił tak wyłącznie po to, by skorzystać finansowo na fortunie Feliksa Reynoldsa. Ale teraz chodziło o coś całkiem innego; to była zdrada stanu!

- Ciekawa rzecz - zachichotał Rafe. - Człowiek może powiedzieć niemalże całą prawdę, a przy tym wykręcić ją tak, by zaczęła znaczyć coś całkiem innego.

- Co pan ma na myśli?

- Udało mi się przekonać Emily Fairfield, że jej mąż był francuskim szpiegiem. Powiedziałem, że przyłapałem go na przeglądaniu dokumentów Carrowby'ego. W rzeczywistości było akurat na odwrót: to on przyłapał mnie.

Na twarzy sir Quentina odmalował się wyraz krańcowego niesmaku.

- Czy nie istnieje granica tego, do czego jest pan skłonny się zniżyć, Warrender?

- Raczej nie. Pozbyłem się Fairfielda, ponieważ stanowił dla mnie zagrożenie, niech więc ten fakt będzie ostrzeżeniem dla pana, Brockhampton, że bez oporów wyślę i pana na lepszy ze światów, jeżeli tylko uznam to za konieczne.

Sir Quentin wpatrywał się niego oniemiały.

- Pan... zabił Geoffreya Fairfielda? - Wstrząśnięty wstał, by napełnić sobie kieliszek. Ręka tak mu drżała, że kiedy nalewał koniak, kryształowa karafka zadzwoniła o szkło.

Rafe uśmiechnął się gładko.

- Tak, obawiam się, że tak właśnie się stało. Po tym jak, przyłapał mnie na gorącym uczynku, pojechałem rano do jego domu, by z nim porozmawiać, lecz Emily przez cały czas kręciła się w pobliżu, odegraliśmy więc komedię z tym wyścigiem konnym, by móc omówić sprawę na osobności w odpowiednio oddalonym miejscu. Polanka z jeziorkiem wydawała się idealnie do tego nadawać. Ale kiedy się tam znaleźliśmy i nie udało mi się przekonać go, że powinien trzymać język za zębami, musiał umrzeć, rozumie pan? Byłem na tyle podły, że winę za tę katastrofę zrzuciłem na mojego biednego, niewinnego konia. Rozgłosiłem wszem i wobec, że straciłem Fairfielda z oczu w lasach i że wróciłem do domu, nie spotkawszy się z nim. - Rafe sięgnął na drugą stronę biurka po sygnet, który leżał wciąż przy bloku wosku do pieczętowania. - To jest kopia. Prawdziwy sygnet Henryka V zgubiłem podczas szarpaniny z Fairfieldem. Zerwał mi go z ręki i odrzucił na bok. Szukałem go, ale zniknął. A przecież wiem, że gdzieś tam musi leżeć.

Sir Quentin wyczuł, że zgubienie pierścienia wiąże się z czymś ważniejszym niż tylko strata wartościowej pamiątki rodzinnej.

- Emily Fairfield zauważyła, że mój pierścień to kopia - ciągnął Rafe - ponieważ ten idiota złotnik, który go robił, umieścił na nim dodatkowy cierń. Powiedziałem jej, że zgubiłem oryginał dwa lata temu w Londynie,

ale wygląda na to, że drogi Fairfield w sam dzień swojej śmierci narysował na moim portrecie cztery ciernie. Nie najlepiej się to dla mnie złożyło.

- Po co, u licha, zmyślał pan, że zgubił go pan w Londynie dwa lata temu? Czasami kłamie pan tak gładko, że nie może wyjść to panu na dobre.

- Wszystko jedno. Jeżeli szczęście mi dopisze, prawdziwego pierścienia nikt już nigdy nie znajdzie. Szkoda, bo był cenny, no ale swoją skórę cenię jeszcze wyżej.

- A co się teraz będzie działo? - Sir Quentin pociągnął łyk koniaku.

- W sprawie pierścienia? Nic.

- A w sprawie Lincolna i tego papieru, który zabrał?

- Już powiedziałem panu, że nie zdoła się dowiedzieć, co on znaczy. Bez książki do niczego mu się nie przyda, a książki już u nas nie ma... - Rafe eleganckim gestem pokazał na dogasający kominek.

- Tak więc nic nie będziemy mówić ani robić? Rafe zerknął na prawnika.

- Pan nie będzie nic mówił ani robił, Brockhampton, ale ja mam wiele do powiedzenia i do zrobienia. A jedną z pierwszych rzeczy będzie powiadomienie Mackaya, jakie są moje prawdziwe życzenia, dotyczące konta Emily Fairfield. Obojętne, co napisałem w wymuszonym na mnie tej nocy liście, życzę sobie, by jej mieszek pozostał tak pusty, jak to tylko możliwe. Tak więc list trzeba zniszczyć. A następnego nie będzie, ponieważ nie mam zamiaru dopuścić, by Lincoln kręcił się po okolicy na tyle długo, żeby wymóc na mnie jeszcze jeden. - Nie zamierzam również dopuścić, by po okolicy kręcił się ten indiański czarownik.

Sir Quentin przesunął nerwowo językiem po zaschłych ustach. Warrender mówił o morderstwie z taką samą swobodą, z jaką omawiał cenę pszenicy!

Rafe się uśmiechnął.

- Tak się zresztą składa, że mam się rano spotkać z Mackayem. Przysłał mi wiadomość, że Cora Preston wezwała go do Fairfield Hall. Za każdym razem, kiedy Mackay ma się skontaktować z którąś z pań, zawiadamia mnie i spotykamy się, by sprawę omówić. Zawsze ogromnie dba o to, by co do joty spełniać moje polecenia.

Załóżę się, że dba, pomyślał sir Quentin, przecież on również ceni swoją skórę! Rafe wstał.

- No cóż, muszę się chyba przespać. Jeżeli zdołam, bo w głowie mnie łupie jak młotem. - Potarł obolałą szczękę i wyszedł z gabinetu, by udać się do swoich pokojów.

Sir Quentin odstawił kielich. Spać? Wątpił, czy kiedyś jeszcze uda mu się zasnąć. Zacisnął pięści z taką siłą, że mu aż knykcie zbieleły, a kości zdawały się przezierać przez skórę. Rafe wciągał go w sprawę, która była dużo bardziej niebezpieczna i zataczała dużo szersze kręgi niż zwyczajne naginanie prawa, a jemu nie podobało się to ani odrobinę. Popatrzył na biurko, podszedł do niego, rozsiadł się wygodnie w fotelu Rafe'a, wziął papier i pióro i zaczął pisać.

RS

Rozdział 31

Nieczęsto się zdarza, by mglisty, poniedziałkowy, listopadowy poranek był tak radosny, jak ten, który właśnie wstawał nad Fairfield Hall. Wschodzące słońce na próżno usiłowało przebić opary, kłębiące się widmowo między drzewami tajemnego ogrodu i spowijające cały park nierealnym, srebrzystoszarym całunem.

Dzięki listom Rafe'a, które - jak twierdziła Emily - „znalazły się” w porannej poczcie, atmosfera panująca przy stole była niemal frywolna. Nikt nie potrafił zrozumieć, jak doszło do tak wspaniałomyślnej zmiany poglądów Warrendera, oczywiście jeśli nie liczyć Manco, ale on zawsze zdawał się wiedzieć o wydarzeniach, o których nikt go nie powiadamiał. Ważne było tylko to, że Rafe postanowił odstąpić od planowanego związku, że nie było już żadnych skryptów dłużnych i że osładzał ewentualne rozczarowanie Emily, oferując jej dość funduszy, by zdołała pokryć wszystkie długi, które takim brzemieniem przygniatały jej egzystencję. Manco nie ukrywał nadziei, iż powrót do Peru nastąpi bez zwłoki.

Cora domyślała się, że za tymi wydarzeniami kryje się ręka Jacka, bo zauważyła, że kilkakrotnie wymieniał dosyć dziwne spojrzenia z Emily. Coś się dzieje, myślała, i nie wiąże się to wyłącznie z faktem, że młodzi się pokochali, co - ku jej wielkiemu zadowoleniu - rzucało się oczy. Ale jakie to ma teraz znaczenie? Kłopoty materialne skończyły się, w każdej chwili spodziewano się pana Mackaya. Niedługo te pięćdziesiąt tysięcy gwinei zostanie przeniesione na konto Emily i będzie można zacząć pozbywać się długów. Hej, ho, czwarty listopada okazał się wspaniałym świętem, nie można już sobie życzyć lepszego!

Manco był nadal zdecydowany odwiedzić starą, nieużywaną stróżówkę, która, jak z uporem obstawał, miała być rezydencją Wirakoczy. Tak więc po śniadaniu razem z Peterem ruszyli przez mgłę. Mieli na sobie poncza i, biegnąc po zimnej, mokrej trawie, prawie nie zauważali wilgotnego chłodu.

Cora i Cristoval również wyszli na dwór, ale tylko na krótki spacer po tajemnym ogrodzie. Cora często pozwalała sobie na taki spacer, zanim zasiadła do klawesynu, a Cristoval miał chyba ochotę jej towarzyszyć. Ubrał się w płaszcz i cylinder, ale był tak przyzwyczajony do gęstej, mżawkowatej garna swojej ojczyzny, że lekka, jesienna mgła angielska nie robiła na nim większego wrażenia. Idąca obok niego Cora okryła swą poranną,

cynamonową suknię peleryną z kapturem, a spod kaptura wyglądały z wdziękiem koronkowe pilski dziennego czepeczka.

Rozmawiali o Peru. Cora znowu z takim zapalem zadawała pytania, że wreszcie Cristoval przystanął i odwrócił się twarzą do niej.

- Manco i ja niedługo będziemy wracali. Dlaczego nie miałyby pani pojechać z nami? - zaprosił ją, a w zimnym powietrzu jego oddech utworzył wyraźną chmurkę.

Cora patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

- Pojechać z wami? - powtórzyła.

- Zobaczyć się znowu z Feliksem. - Rozłożył ręce. - Moja hacjenda zapewnia wszelkie wygody, a od tak dawna brak w niej kobiecej ręki. Proszę z nami pojechać, Coro.

Cora niemal nie zauważyła, że zwrócił się do niej po imieniu.

- Czy... czy naprawdę sądzi pan, że mogłabym?

- Czy mogłaby pani? Oczywiście. Ale czy pani zechce... Cora się uśmiechnęła.

- Sir, przez ostatnie trzydzieści lat żałowałam, że nie starczyło mi odwagi, by pojechać, kiedy prosił mnie o to Feliks. Jeżeli wyobraża pan sobie, że zamierzam spędzić następne trzydzieści lat na tym samym, to się pan myli. Teraz, kiedy długi Emily niemal cudem zostały popłacone, najgoręcej pragnę jednego: ponownego spotkania z Feliksem. Tak więc przyjmuję pana zaproszenie.

Emily i Jack stali przy oknie na piętrze i przyglądali się dwóm postaciom w ogrodzie. Po chwili Jack się uśmiechnął.

- W głębi serca przekonany jestem, że twoja matka pojedzie do Peru, kiedy Cristoval i Manco będą tam wracali - powiedział.

Wargi Emily się rozchyliły.

- Naprawdę tak myślisz?

- To będzie dla niej wspaniała okazja. Najwyraźniej wciąż jeszcze jest zakochana w Feliksie, podobnie jak on w niej.

Emily popatrzyła na niewyraźne, zamglone sylwetki w ogrodzie.

- Jeżeli masz rację, Jack, to obawiam się, że...

- Ze Peter też zapragnie pojechać? - dokończył za nią. - Tak.

Jack odwrócił Emily twarzą do siebie.

- Jeżeli będzie chciał jechać, radzę ci, byś mu udzieliła pozwolenia.

- Och, ale...

Jack położył palec na jej wargach.

- Pozwól mu jechać, ale daj mu ograniczenie czasowe. Powiedz, że musi wrócić, by dokończyć naukę i że musi również kontynuować naukę, kiedy będzie w Peru. Lima może pokazać mu wiele cudów, a to chłopiec spragniony wiedzy.

Oczy Emily napełniły się łzami.

- Ale on może nie chcieć wrócić! Może zapragnąć tam zostać.

- Posłuchaj, tak czy owak są to tylko nasze domysły, ale nadal radzę ci, byś go puściła. Jeżeli twoja matka się tam wybierze, chłopiec znajdzie się pod jej opieką, a w każdym przypadku będzie z Feliksem, Cristovalem i Manco. Nie pragnąłbym dla niego lepszych opiekunów, nawet gdyby był moim własnym synem. Emily, jeżeli zdarzy się taka okazja, a ty mu odmówisz, narazisz się na bardzo poważne ryzyko, że chłopiec ucieknie.

Emily wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami.

- Peter nigdy by...

- Peter jest wnukiem Feliksa - przypomniał jej Jack. - Ma we krwi gorące pragnienie, by zwiedzać świat, a jeżeli uzna, że stoisz na przeszkodzie, wystarczy mu uporu, by uciec wbrew wszystkim przeszkodom. I kto wie, co by się wtedy z nim stało? Samotny chłopiec? Chłopiec przystojny, niewinny, nieobeznany z co podlejszymi postępkami ludzkości? Jeżeli pojedzie w towarzystwie, przynajmniej będą go chronić. Tak więc, gdyby nadarzyła się sposobność, udziel mu pozwolenia

- W porządku - wyszeptała, ale na jej policzkach jaśniały łzy.

Jack uniósł brodę Emily do góry i uśmiechnął się do niej.

- I dobrze, bo w ten sposób najmocniej zwiążesz go ze sobą. Matka, która pozwala synowi iść za głosem serca, może być pewna, że to serce przyprowdzi go z powrotem do niej.

Emily mimo woli cicho się roześmiała.

- To brzmi jak jakiś cytat!

- Podobno jest to inkaskie przysłowie... a przynajmniej tak twierdzi Manco. - Popatrzył na nią znowu. Miała na sobie bladozieloną suknię z cieniuteńkiej wełenki. Suknia była staroświecka, bo posiadała tren, który szemrał za nią po deskach podłogi, kiedy się poruszała, fason miała skromny, była wysoko zabudowana pod szyją i z długim rękawem, ale pasowała do Emily wspaniale, a kolor podkreślał śliczny orzechowy odcień oczu. Te oczy wpatrywały się teraz w niego, pociemniałe z miłości, ale i z rozbawienia. A kąciki ust uniosły się w tak rozkosznym zaproszeniu, że nie

mógł się powstrzymać, by ich nie pocałować, i nie powstrzymywał się wcale.

Stali, obejmując się ramionami, niepomi na rozchichotane pokojówki, które mijały ich biegiem. Nic nie było dla niego ważne oprócz Emily. Wiedział, że ją ubóstwia, że wielbi wszystko, co się z nią wiąże. Proszę, błagał w myślach, niech się już nie stanie nic złego. Niech Rafe pogodzi się ze swą klęską, niech wyliże rany i nigdy już nie kała progu Fairfield Hall.

Błagam.

Manco i Peter biegli przez całą drogę od domu do opuszczonej stróżówki. Zanim we mgłach pojawił się przed nimi zniszczony budynek i zardzewiała brama, Peter zasapał się i zaczęło mu już sił brakować, ale Manco biegł nadal rączo, jakby w ogóle nie odczuwał zmęczenia. Chłopiec był zdumiony i pełen podziwu, a próżny Indianin nie raczył się przyznać, że przed wyjściem z domu przeżuł szczyptę koki. To dzięki jej magicznym liściom inkascy przodkowie Manco potrafili przebiec po stromych i niebezpiecznych ścieżkach Andów pięćdziesiąt mil albo i więcej, tak więc stosunkowo krótki dystans od Fairfield Hall do Domu Wirakoczy prawie się nie liczył!

Byli już blisko stróżówki, kiedy Manco nagle przystanął i zaczął nieufnie nasłuchiwać.

- Chłopiec zaczeka - wyszeptał.

- Dlaczego? Co się~? - Głos Petera stłumiła dłoń Manco.

- Chłopiec milczy! Ktoś jest w środku, ale nie Wirakocza. Widzisz, światło nie płonie. - Manco pokazał głową na stróżówkę. - Może tam demon, niegodziwy duch czyha.

Oczy Petera rozszerzyły się, zamarł w bezruchu. Manco jeszcze raz zakazał mu ruszać się z miejsca, a sam poszukał czegoś w mieszku. Kiedy wyciągnął dłoń, Peter zobaczył, że palce Indianina zafarbowane są na czubkach na niebiesko. Manco naznaczył czoło swoje i chłopca.

- Manco i chłopiec teraz pod opieką Wirakoczy - szepnął, potem zaczął cicho skradać się w kierunku budynku, który robił wrażenie całkowicie opuszczonego.

Peter zawahał się, a potem okazał nieposłuszeństwo i ruszył za nim. Był pod opieką Wirakoczy; nic mu się więc nie mogło stać...

Manco dotarł do drzwi i zamarł w bezruchu. Jego wyostrzony słuch złowił odgłos niedosłyszalny dla uszu Petera, jakieś szuranie, które było dziełem człowieka, nie zwierzęcia, a już z pewnością nie demona! Drgnął i

obejrzał się ze złością, kiedy Peter pojawił się u jego boku, ale nie ośmielił się nic powiedzieć, bo byli za blisko. Mgła wzmagająca każdy odgłos, od kapiących z drzew kropli do krzyku przerażonego ptaka gdzieś w żywopłocie po drugiej stronie pustej drogi.

Wewnątrz stróżówki znowu coś zaszurało i tym razem Peter też to usłyszał. Przebiegł mu po plecach dreszcz. Kto tam był? Jakiś demon, jak obawiał się Manco? A jeżeli demon wie, że oni tu są i czeka tylko, żeby ich pożreć? Jego wiara w potęgę Wirakoczy lekko się zachwiała.

Nagle Manco kopniakiem otworzył drzwi i wpadł do środka. Rozległ się spłoszony krzyk, odgłos szarpaniny, potem zapadła cisza. Peter nerwowo podszedł bliżej i zajrzał przez uchylone drzwi. Ku swemu zdumieniu zobaczył Archie'ego Bradwella, który leżał rozciągnięty na podłodze, i stojącego nad nim w groźnej pozie Manco. Obok nich upadł egzemplarz „Pisma dla panów” i kilka brudnych kawałków papieru. Archie ścisnął w dłoni ogryzek ołówka i wymachiwał nim w kierunku Manco.

- To nie jest broń! Słowo! To tylko ołówek! - krzyczał. Peter pospiesznie wszedł do środka.

- On mówi prawdę, Manco! Indianin zmierzył go spojrzeniem.

- Manco poznaje ołówek, kiedy go widzi - rzekł i cofnął się o krok od Archie'ego, który z lękiem pozbierał się na nogi. Peter zauważył, że lewy nadgarstek chłopca jest ciasno obandażowany.

Manco również to zauważył i pokazał na bandażu.

- Chłopiec ranny?

- Ja... spadłem. - Przeniósł wzrok na Petera. Ukradł jabłko z tego samego drzewa co Peter, ale zamiast zręcznie zeskoczyć z ogrodowego muru, ześlizgnął się na dół i skreślił rękę w przegubie. A do tego w nagrodę dostał pasem, ponieważ przyłapał go ojciec! Peter Fairfield nigdy za to samo nie dostał pasem. O nie, był przecież dżentelmenem i jemu nic złego się nie działo!

Peter podniósł pismo z podłogi.

- Co ty tu robisz, Archie?

- Uczę się liter.

- Liter?

Archie pozbierał kartki i pokazał mu je, nie spuszczając przezornie spojrzenia z Manco.

- Widzisz? Przerysowuję słowa.

Peter przeczytał pracowicie przepisane słowa. Archie'emu udało się skopiować zdanie, które całe dotyczyło nowego rodzaju pługu, wynalezionego przez jakiegoś człowieka z Norfolk. Każda z liter była rysowana z takim mozolem, że to jedno zdanie musiało mu zająć ze sto lat. Peter popatrzył z ciekawością na swego arcyrywala.

- Czy wiesz, co tu napisałeś? - zapytał.

Archie zaczerwienił się, potem, nie odpowiadając, zwiesił głowę.

Peterowi spadł z serca ogromny kamień. Po raz pierwszy w życiu czuł się o niebo lepszy od krzepkiego syna stróża. W końcu znalazło się coś, co on, Peter Fairfield, potrafił robić, a Archie nie! Dzięki tej myśli niemal dorównał Archie'emu!

Manco popatrzył na niego.

- To pizarrski chłopiec?

- Tak - odpowiedział Peter.

Archie podniósł znowu głowę, uświadamiając sobie, że to o nim mowa.

- Co takiego? Co mówicie?

- Och, wszystko jedno - odrzekł Peter, wpychając Archie'emu w dłonie gazetę i kartki. - Nie wiedziałem, że nie umiesz pisać i czytać, Archie.

- Nie na wiele by się takie coś przydało w naszym domu - mruknął Archie.

- Pewnie nie. - Peter uśmiechnął się z pewnym zakłopotaniem. - A w moim domu nie na wiele by się przydało to, co ty robisz dobrze.

Archie pokiwał głową.

- Pewnie na twoim stole, paniczu Peterze, ryby się tak po prostu znikąd pojawiają. My musimy je najpierw złapać. Dostają lanie, jeżeli nie przyniosę paru linów na kolację, więc pilnuję, żeby je złowić.

Manco przyglądał się im obu.

- Chłopcy przyjaciele, uczą się nawzajem - zauważył.

Peter szeroko się uśmiechnął.

- Tak właśnie sobie myślałem, Manco. Twarz Archiego się rozjaśniła.

- Naprawdę... ty serio nauczysz mnie czytać i pisać, jak należy?

- Tak, ale pod warunkiem, że ty mnie też będziesz uczył.

- Czego? - Archie nie potrafił sobie wyobrazić, czego mógłby się chcieć od niego nauczyć syn dżentelmena, taki jak Peter! Oczywiście poza łowieniem ryb.

Kiedy chłopcy zaczęli rozmawiać, Manco rozglądał się z rozczarowaniem po domu. Nie widział żadnego złota ani żadnych

wspaniałości, nic nie wskazywało, by miał tam rezydować Wirakocza. Dom mógł być tym czy tamtym, ale Domem Słońca nie był na pewno.

- Pizarrski dom - mamrotał pod nosem, ale nagle usłyszał coś i szybkim gestem uciszył chłopców. - Ktoś jedzie! - szepnął i wszyscy zaczęli nasłuchiwać.

Od strony Temford dochodziło coraz bliższe turkotanie dwukółki i stukot kopyt kucyka. Cała trójka podeszła do okna, żeby wyjrzeć na zewnątrz, i zobaczyli, jak po-wozik wynurza się z mgły. Ale zamiast pojechać dalej, człowiek w dwukółce zatrzymał kucyka tuż przy bramie. Potem rozsiadł się wygodniej, przygarbił się w ramionach i postawił kołnierz płaszcza. Był niski i przysadzisty, i miał zaskakująco drobne stopy i dłonie. Na moment uniósł do góry twarz o obwisłych policzkach, jakby w nadziei, że słońce zaraz przebije się przez chmury.

Peter poznał go.

- To pan Mackay, bankier - wyszeptał.

Manco już miał mu odpowiedzieć, kiedy jego wyostrzony słuch uchwycił inny odgłos, tym razem stukot kopyt konia, na którym ktoś jechał. Przyłożył palec do warg i wszyscy wypatrywali, kto się tym razem pojawi. Nie minęła minuta, a z wirujących mgieł wychynął Rafe i ściągnął konia przy dwukółce. Miał kłopoty ze swoim karosem, który tańczył i uskakiwał na boki, tak pełen energii, że nie mógł ustać spokojnie, kiedy jeździec oddawał się rozmowie.

- No, Mackay? Jakie wiadomości? - zapytał ostro Rafe.

- Nic bardzo ważnego, a przynajmniej tak mi się zdaje - odpowiedział, mówiący z wyraźnym szkockim akcentem, bankier i pochylił się do przodu z zaciekawieniem. - Czy rozbił pan sobie brodę?

- To drobiazg. Proszę mówić dalej.

- Co? A, tak. Pani Preston zażądała, bym pojawił się w Fairfield Hall. Pisała coś na temat mieszka monet od Feliksa Reynoldsa z Peru.

Peter wytrzeszczył oczy. Pan Mackay był po prostu zdrajcą!

- Mieszek? - Głos Rafe'a był ostry.

- Och, proszę się nie martwić, to nie żaden majątek. Ledwie starczy na spłacenie najbardziej pilnych długów. - Mackay nie spuszczał nieufnego spojrzenia z karosza, przez którego kucyk niepokoił się i płoszył.

- Jest pan pewien?

- No cóż, jeszcze tego mieszka nie widziałem, ale tak pisała w swoim liście. Czy chce go pan przeczytać? - Bankier sięgnął za pazuchę, ale Rafe potrząsnął głową.

- Nie, wierzę panu na słowo. Proszę posłuchać, mam dla pana ważne zlecenie. Kiedy zajedzie pan do dworu, niemal na pewno wręczą panu pewien list. Napisany jest moim charakterem pisma i dotyczy kwoty pięćdziesięciu tysięcy gwinei.

Pan Mackay aż się wyprostował z zaskoczenia.

- Pięćdziesięciu tysięcy?

- Tak. W tym liście znajdzie pan dyspozycje, by podjął pan tę kwotę z mojego konta i dopilnował, by otrzymała ją pani Fairfield. Ma pan udawać, że stosuje się do tych poleceń, ale jak tylko będzie pan miał okazję, proszę ten list zniszczyć. Czy to jasne? - Koń Rafe'a lekko podskoczył i rzucił głową tak niespodziewanie, że niemal wyrwał wodze z rąk jeźdźca.

Mackay odchylił się, bo karosz się obrócił i wyszczerzył mu zęby prosto w twarz.

- Zniszczyć? Ale...

- Wszystko mi jedno, jak pan to zrobi i co pan wymyśli, by wyjaśnić jego zniknięcie.

Szkot pokiwał głową.

- Jak pan sobie życzy, sir Rafe.

- Proszę mnie nie zawieść, bo źle by pan na tym wyszedł. - Rafe ponownie opanował konia.

- Czy kiedykolwiek zawiodłem pana, sir Rafe? Na drugie imię mam: solidność. Poza tym dobrze mi pan płaci za moje... usługi.

- I spodziewam się, że na tym nie stracę. - Rafe pochylił się do przodu w siodle. - Będzie pan miał jeszcze jedną sprawę do załatwienia we dworze.

- Tak? - Bankier zamienił się w słuch.

- We dworze gości pewien mężczyzna, mój kuzyn, Jack Lincoln. Chcę, by przekazał mu pan, że jest pewna sprawa najwyższej wagi, o której musi pan z nim porozmawiać, a która dotyczy Feliksa Reynoldsa. Proszę mu powiedzieć, że wiąże się ona również z jego przyjacielem Indianinem. Ma pan go zapewnić, że sprawa jest zbyt delikatna, by ją omawiać w obecności osób trzecich. Proszę się z nimi obydwoma umówić tutaj, niech pan pamięta, z obydwoma, a potem opuścić Fairfield Hall. I niech się pan pospieszy, bo nie mam ochoty wyczekiwać tu na tym wilgotnym zimnie ani

chwili dłużej niż to konieczne. Rozumie pan? Mackay ponownie skinął głową.

- Tak, rozumiem. Ale co mam im powiedzieć, kiedy się tu pojawią?

- Pana tu nie będzie. Będę ja - rzekł cicho Rafe i spod płaszcza wyjął pistolet.

Obserwująca go z wnętrza stróżówki trójka zobaczyła błysk porannego światła na lufie. Oczy bankiera się rozszerzyły.

- Mam więc tylko dopilnować, by się tu pojawił. To wszystko?

- Tak. A teraz niech pan już jedzie.

Bez dalszych ceregieli Szkot trzepnął lejcami i popędził kucyka. Mgła zawirowała po jego odjeździe, dwukólkę słychać było jeszcze przez dłuższy czas, potem turkot umilkł w oddali.

Rafe nie odjechał razem z Mackayem, tylko powoli zsiadł z karosza i otworzył bramę. Obserwatorzy cofnęli się na to od okien w konsternacji. Brama zazgrzytała, potem do ich uszu doszedł odgłos parskania i tupot, kiedy przeprowadzany był za ogrodzenie krnąbrny koń.

Peter wyjrzał nerwowo na zewnątrz i zobaczył, że Rafe prowadzi karosza na tyły stróżówki. Zwierzak niecierpliwił się i rzucał głową, a od czasu do czasu usiłował się wyrwać. Rafe'owi udało się jakoś zaprowadzić go za dom i musiał go tam przywiązać, bo w minutę później wrócił do drzwi i je otworzył.

RS

Rozdział 32

Nie mieli prawie czasu do namysłu. Manco jednym skokiem znalazł się za skrzydłem drzwi, zostawiając Petera i Archiego, żeby ich Rafe mógł zobaczyć, wchodząc. Rafe na widok chłopców przystanął, kompletnie zaskoczony. A wtedy Manco niespodziewanie zaatakował go zza drzwi i pozbawił tchu.

Nie zdążywszy zobaczyć, kto na niego napada, Warrender rozciągnął się jak długi twarzą do podłogi, a Manco w jednej chwili usiadł na nim okrakiem, wykręcił mu ręce na plecy i związał je w przegubach kawałkiem sznura, który przyjechał aż z Peru w obszernym mieszk Inki. Rafe już otwierał usta, by zagrozić im straszliwym losem, ale Manco uciszył go, wypychając mu do ust jedną z kartek Archiego. Jeszcze chwila i skrępował w kostkach nogi swojej ofiary. Pan zamku Temford leżał związany niczym indor. A twarz napastnika nadal mu była nieznana.

Peter i Archie zeszywnieli z konsternacji i szoku. Konsekwencje takiego napadu były dla nich aż nazbyt oczywiste. Pan zamku Temford nie należał do ludzi, którzy ścierpieliby takie poniżenie, nie biorąc za nie maksymalnego odwetu. Ale Manco był całkiem nieporuszony. Stał nad swoją ofiarą.

- Diabeł robi kłopoty, to umiera - ostrzegł.

Rafe wiercił się po podłodze i w końcu udało mu się wykręcić tak, by popatrzeć na napastnika. Na widok Manco cała krew odpłynęła mu z twarzy, oczy rozszerzyły się z grozy, a z gardła wydobył się zduszony skrzek. Usiłował uwolnić przeguby, żeby się jakoś pocieszyć kamykiem, ale Manco mocno zacisnął więzy. Indianin trącił go czubkiem sandała.

- Diabeł teraz nie robi krzywdy - oznajmił, potem się zimno uśmiechnął. - Diabeł ma interes do Manco? - Pochylił się, by wyjąć papier z ust Rafe'a. - Mów. Manco cały słucha.

Rafe wyglądał fatalnie i pary z ust nie puścił.

- Kot pożarł diabełowi język? - Manco znowu wepchnął papier na miejsce i wyprostował się, by porozmawiać z przestraszonymi chłopakami. - Chłopcy tu zostają. Manco ostrzega dwór przed tym diabełem i przed bankierskim diabełem także.

Żaden z nich nie miał ochoty zostać z Rafe'em, ale to Archie odezwał się pierwszy.

- Ja pojadę! Mogę wziąć tego konia i... Manco potrząsnął głową.

- Chłopiec ma chory przegub.
- W takim razie pojedę ja! - oznajmił Peter. Indianin popatrzył na niego.
- Chłopiec radzi sobie z koniem?
- Tak - zapewnił odważnie Peter. Manco kiwnął głową.
- To jedź, ale uważaj. Koń niełatwy.
- Wiem. - Peter odwrócił się na pięcie i wybiegł ze stróżówki. W chwilę później popędzał karosza w kierunku dworu.

Manco rozpromieniony popatrzył na Archie'ego.

- Wszystko teraz dobrze, zobaczysz - powiedział, potem sięgnął do mieszka. Wyciągnął z niego zeschnięty liść i skrzeszył go na pył w palcach, mamrocząc równocześnie coś pod nosem.

Rafe'owi niemal oczy wyszły z orbit.

Archie przyglądał się z zaciekawieniem.

- Co pan robi?

- Bankierski diabeł nie spali teraz listu, list się nie pali - wyjaśnił Manco.

Archie'ego w ogóle nie obchodził żaden list; bardziej martwił się o to, co się z nim stanie, jeżeli wszystko weźmie w łeb i sir Raie się odegra! Czuł na sobie spojrzenie Warrendera, bystre, niebezpiecznie i pełne ostrzeżeń. Wziął się na odwagę i odwrócił od jego zniewalających oczu. Był świadkiem spotkania Rafe'a z bankierem i wiedział, że Rafe zamyśla morderstwo. Archie Bradwell umiał odróżnić dobro od zła, a sir Rafe Warrender stał zdecydowanie po stronie zła!

Manco również zauważył spojrzenie Rafe'a.

- Chłopiec czeka przed stróżówką - powiedział cicho i pokazał głową na drzwi.

Archie z radością wyszedł. Pospieszył na skraj lasu, zastanawiając się, co dzieje się w stróżówce. Gdyby tak mógł wiedzieć, że sir Rafe Warrender niemal mdleje właśnie ze strachu, bo Manco wyjął nóż i przykucnął obok niego. Czubek noża powoli zbliżał się do gardła więźnia...

Tymczasem sir Quentin wziął nogi za pas. Spędził resztę nocy na układaniu długiego listu, w którym ze szczegółami opisał liczne znane mu grzechy Rafe'a... i przy sposobności sam się, oczywiście, wybielił. List zaadresował do oficera dowodzącego, stacjonującego w koszarach, rozlokowanych przy drodze do Shrewsbury. Jak tylko Rafe wyjechał na spotkanie z Mackay-em, sir Quentin kazał sobie podstawić powóz.

Warrender dopiero przejeżdżał przez most na Teme, a powóz już z turkotem minął bramy zamku Temford i ruszył na północ, w stronę

Shrewsbury, kierując się na Liverpool. Sir Quentin miał siostrę w Ameryce, w Filadelfii, i nagle gorąco zapragnął się z nią zobaczyć, a Liverpool był najbliższym portem, z którego wypływały statki na Atlantyk. Ameryka stanowiła bezpieczne schronienie; pocieszał się, że będzie tam daleko od wszelkich reperkusji, które mogą grozić w Anglii, kiedy zdradziecka działalność Rafe'a wyjdzie na jaw!

Sir Quentin powierzył list stajennemu w przydrożnej gospodzie i sownie go wynagrodził za doręczenie pisma prosto do koszar, a potem powóz potoczył się dalej po drodze, kierując się do Holyhead, a przynajmniej tak powiedziano stajennemu. Zanim skandal wybuchnie, sir Quentin Brockhampton miał nadzieję być już daleko, na pełnym morzu.

Jack i Emily stali oknie wykuszowym w wielkim salonie. Za nimi Cora grała na klawesynie, a Cristoval przewracał kartki w nutach. Delikatna melodia mozartowskiego menueta płynęła wdzięcznie po pokoju. Służąca przyniosła właśnie gorącą czekoladę i przyprawiane gałką muszkatołową ciasteczka na srebrnej tacy i ustawiła ją na stoliku w pobliżu kominka. Srebro odbijało światło płomieni, a w powietrzu unosił się zapach ciepłych wypieków.

Po łzach Cory nie zostało już ani śladu; wydawała się całkiem opanowana, zupełnie jakby spadł jej z ramion jakiś ciężar. Od czasu do czasu popatrywała na

Cristovala i się uśmiechała. Odpowiadał jej uśmiechem. Ich wzajemna sympatia po prostu biła w oczy.

Emily odwróciła się do Jacka. Ona również się uśmiechała. Zerknęła na matkę i Cristovala, upewniła się, że są zajęci sobą i objęła ukochanego w pasie.

- Wczoraj o tej porze nie wyobrażałam sobie, że dziś mogę być tak bardzo szczęśliwa.

- Ja również nie.

Zajrzał jej głęboko w oczy. Z trudem mu przychodziło uwierzyć, że taka doskonała istota, taki anioł w pełni odwzajemnia jego miłość.

- Emily, wiem, że poznaliśmy się dopiero przedwczoraj, ale czuję się tak, jakbyśmy byli razem dużo dłużej.

Emily odpowiedziała mu uśmiechem.

- Mam nadzieję, że nie masz na myśli żadnej wariacji na temat powiedzonka, że z bliskości rodzi się pogarda? - droczyła się z nim.

- Nie mam na myśli niczego takiego - odrzekł cicho, również obejmując ją w pasie.

- Z ulgą to słyszę, sir - odpowiedziała figlarnie. I samą ją zaskoczył ten beztroski nastrój. Nie zaznała go od tak dawna, że czuła się jak nowo narodzona. Prawdę mówiąc, nie zaznała takiej beztroski od wielu lat... Wysunęła się z ramion Jacka, a wargi jej rozchyliły się, bo, oglądając się wstecz na własne małżeństwo, uświadomiła sobie, jak bardzo ono zmroczniało. Wtedy tego nie zauważała, bo przygasało stopniowo, kiedy po trochę wykruszała się początkowa ufność. A wszystko zaczęło się od jej błagań, by mąż zrezygnował z karcianych przyjęć u sir Rafe'a, bo w domu brakowało pieniędzy. Och, Geoffrey na różne sposoby usprawiedliwiał swoją nieobecność, ale Emily wiedziała, jaka jest prawda. Później nigdy już miłość nie płonęła tak jasnym płomieniem.

- Emily? - Jack zobaczył, że po policzku ukochanej spływa łza, i popatrzył na nią niespokojnie.

- Nic, nic. - szepnęła.

- Łzy nigdy nie płyną bez powodu - zwrócił jej łagodnie uwagę.

- Ja... ja tylko myślałam... muszę się pogodzić z tym, że zaczynam się odkochiwać w Geoffreju.

- Odkochiwać?

Emily spojrzała mu w oczy, nie mogła zdobyć się na to, by jeszcze bardziej Geoffreya zdradzić. Powiedziała, co powiedziała, i to wystarczy.

Jack położył dłoń na jej policzku i delikatnie wytarł dwoma palcami łzę.

Potem oboje odwrócili się, bo na dziedzińcu pod oknem zaturkotała dwukółka. Emily opanowała się i obejrzała na Corę.

- Mamo, przyjechał pan Mackay - powiedziała. Muzyka się urwała.

Bankiera wprowadzono prosto na górę. Z promiennym uśmiechem pospieszył do Cory.

- Ach, moja droga pani Preston - odezwał się i pochylił szarmancko nad dłonią, którą mu podała.

- Panie Mackay - uśmiechnęła się Cora - jakże szybko się pan pojawił.

- Zawsze do usług, droga pani. - Wyprostował się i złożył czubki palców, popatrując na resztę obecnych. - Pani Fairfield - powiedział serdecznie, witając Emily następnym, pozornie szczerym uśmiechem, a przed oboma mężczyznami bardzo uprzejmie się skłonił. - Panowie. - Jack i Cristoval pochylili głowy.

Cora wstała od klawesynu, ujęła cynamonową spódnicę w dłonie i podeszła do stolika. W szufladzie leżał przygotowany przez nią mieszek z monetami.

- Panie Mackay, otrzymałam ten mieszek w prezencie i chciałabym, by wymienił pan monety na funty, a potem wpłacił równowartość na rachunek Emily. Z tego, co powiedział mi pan Lincoln, zrozumiałam, że powinno to być około pięciuset funtów. - Uśmiechnęła się ze skruchą. - Och, zapominam o dobrych manierach. Proszę pozwolić, że przedstawię pana Lincolna i don Cristovala de Soto. Panowie, to nasz bankier, pan Mackay.

Trzej panowie ukłonili się sobie. Jack przyglądał się twarzy Szkota. Pomyślał, że jego oblicze nie budzi w nim zaufania: całe w uśmiechach, ale pozbawione szczerości. Kiedy palce bankiera zamknęły się na mieszku, Jacka ogarnął niepokój. Nie powierzyłby panu Mackay owi nawet glinianej fajki, a co dopiero pięciuset funtów! Zerknął na Cristovala i w jego oczach wyczytał te same wątpliwości.

Ale w tej chwili odezwała się Emily.

- Panie Mackay, ja również mam coś dla pana. - Wyjęła list Rafe'a ze swojej torebki, która leżała obok tacy z czekoladą i korzennymi ciasteczkami, i podała go bankierowi, a ten zrobił bardzo zaskoczoną minę.

- Czy to nie pismo sir Rafe'a Warrendera?

- Tak jest - odpowiedziała Cora. - Och, proszę, niech państwo wszyscy usiądą, bo przysięgam, że w pokoju robi się bałagan. Czy napiłby się pan czekolady, panie Mackay? Jeżeli tak, to każę zaraz przynieść filiżankę.

- Raczej nie, obawiam się, że mam po niej dolegliwości gastryczne, ale ciasteczko spożyję z przyjemnością - odrzekł Szkot, czekając, by Emily usiadła, a potem samemu zajmując krzesło. Złamał żółtą pieczęć na liście i zaczął czytać.

Jack zajął miejsce naprzeciw Mackaya, skąd wyraźnie widział jego twarz. Ten człowiek nie wydawał się wcale zaskoczony treścią listu; robił nawet takie wrażenie, jakby wiedział, czego się spodziewać!

Cristoval zwrócił na siebie uwagę przyjaciela i wyduł wargi. Jack odchrząknął.

- Panie Mackay, czuję się nieco zdziwiony, że z taką łatwością rozpoznał pan pismo sir Rafe'a, które niczym specjalnym się nie wyróżnia.

Emily odwróciła się do niego zdumiona, a Cora zamarła z paterą ciastek, którą właśnie podawała Cristovalowi, w rękę.

Pan Mackay dał się zaskoczyć, ale zaraz wziął się w karby i prychnął nieco lekceważącym śmiechem.

- Och, pismo sir Rafe'a jest mi dobrze znane, panie... Lincoln. Sir Warrender prowadzi liczne interesy z moim bankiem.

- Wystarczająco liczne, by wiedział pan z góry, jaka będzie treść tego listu, zanim go pan przeczytał?

Bankier zagapił się na Jacka.

- Ależ, panie, cóż to za bzdury? Oczywiście, że nie znałem treści listu!

- A ja sądzę, że ją pan znał. Cristoval pochylił się do przodu.

- Ja również.

Pan Mackay przełknął, cała krew odpłynęła mu z twarzy.

- Nie... nie mam pojęcia, na jakiej podstawie miałoby panowie coś takiego myśleć o mnie, ale zapewniam obu panów, że się mylą. - Tu złożył list i wsunął go w zanadrze. Mieszek już wcześniej schował do kieszeni.

Na dziedzińcu rozległ się grzmot kopyt, jakaś służąca wrzasnęła:

- Panicz Peter!

Emily natychmiast zerwała się, uniosła błękitnobiałą spódnicę i podbiegła do okna. I cicho krzyknęła, a dłonie z przerażenia same podskoczyły jej do ust, bo zobaczyła, jak wielki karosz Rafe'a, z pokrytymi pianą bokami, staje dęba i miota się, usiłując zrzucić z grzbietu Petera, który kurczowo trzyma się karku i grzywy konia. Pytania chaotycznie tłoczyły się w jej głowie. Co on wyprawia, i to na dodatek na koniu Rafe'a!

Cora patrzyła niespokojnie na córkę.

- Co się stało, moja droga? Co się dzieje?

- To Peter na koniu Rafe'a...

Jack i Cristoval pospieszyli do okna, a tuż za nimi Cora. Jack już miał zbiec na dół po schodach, ale w tej samej chwili jakiś służący wypadł z kuchni i chwycił wodze konia. W chwilę później trzymał go już krótko przy pysku i Peter mógł ześlizgnąć się z siodła.

Wszyscy odwrócili się, słysząc kroki chłopca, zbliżającego się biegiem do salonu. Peter wpadł do środka zasapany i poruszony.

- Nie dawajcie panu Mackayowi tego listu. On go zniszczy! To człowiek sir Rafe'a! - krzyknął, pokazując oskarżycielsko palcem na bankiera.

Spojrzenia wszystkich bez wyjątku obecnych skierowały się na Szkota, który nie siedział już w fotelu, tylko stał przy kominku. Rzucił list Rafe'a w płomienie. List odbił się od czegoś i spłynął nienaruszony na brzeg paleniska. Bankier ponownie chwycił go i tym razem zmiął, a dopiero potem

rzucił do ognia. A list znowu wyskoczył z płomieni, rozwinął się i porządnie ułożył na poprzednim miejscu.

Szkot wpatrywał się w niego przez chwilę, potem kolana się pod nim ugięły i padł na ziemię zemdłony.

RS

Rozdział 33

Jack skoczył do bankiera, który leżał tak blisko ognia, że mogło mu się zająć ubranie. Kiedy odciągał go na bok, pan Mackay zaczął przychodzić do siebie. Zobaczył Jacka, który groźnie się nad nim nachylał, i przerażony pisnął ze skruchą:

- Nie rób mi krzywdy, panie! Musiałem to zrobić!

- Krzywdy? Tam do diabła, człowieku, odciągam pana w bezpieczne miejsce, chociaż sam nie wiem, czemu miałbym się troszczyć o takiego gada! - Jack z obrzydzeniem puścił klapy Szkota, a ten zwałił się na dywan jak wór. Lincoln stanął nad nim z zaciśniętymi pięściami. - Może pan podziękować swojej szczęśliwej godzinie, że bardziej jestem dżentelmenem, niż pan przypuszczał, bo inaczej w tej chwili.... - Głos mu zamarł i nie dopowiedział, jaką karę miał na myśli.

- Obawiam się o własne życie! Sir Rafe mnie zabije, jeżeli nie będę mu pomagał!

W tym momencie usłyszeli pogardliwy głos Petera.

- Kłamca! Robi pan to dla pieniędzy! Sir Rafe panu płaci! Przyjechał pan tu po to, by powiedzieć panu Lincolnowi, że powinien pojechać do starej stróżówki, gdzie wpadłby w zasadzkę sir Rafe'a!

- To nieprawda! - wrzasnął pan Mackay.

- To prawda, ale ten plan spalił na panewce, bo Manco schwytał już sir Rafe'a i związał go jak świętecznego kapłona! Pilnują go razem z Archie'em.

Jack popatrzył na chłopca ze zdumieniem.

- Manco i Archie są w stróżówce? Archie Bradwell? Co się działo, Peterze?

Chłopiec przełknął.

- Manco i ja postanowiliśmy wczoraj, że pojedziemy dziś rano do starej stróżówki. Manco był przekonany, że przebywa tam Wirakocza, bóg słońca. Och, to długa historia. Tak czy owak, kiedy przyjechaliśmy tam, znaleźliśmy Archie'ego Bradwella. Też mi Wirakocza! Wygląda na to, że chciał się nauczyć pisać. - Tu Peter uśmiechnął się do Emily. - Zamierzam pokazać mu, jak się pisze i czyta, a on nauczy mnie za to różnych innych rzeczy! - Potem uświadomił sobie, że odbiega od tematu, i pospiesznie znowu skupił uwagę na Jacku. - No i ledwie Manco i ja zaczęliśmy rozmawiać z Archie'em, kiedy usłyszeliśmy kucyka i dwukólkę. Pojawił się pan Mackay i czekał przy bramie na sir Rafe'a. Słyszeliśmy wszystko, co

mówili. Pan Mackay przez cały czas pomagał sir Rafe'owi. Nie jest przyjacielem nikogo z nas!

Twarz bankiera zrobiła się woskowa w poczuciu winy. Wargi jego poruszyły się, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

Jack zerknął na Cristovala.

- Poszukaj jakiegoś sznura. Najlepiej będzie związać tego gada i zamknąć go gdzieś, dopóki nie zdecydujemy, co z nim zrobić. - Rzucił mroczne spojrzenie na przerażonego bankiera. - Nie ominie cię kara, przyjacielu, a co do Warrendera, mój drogi kuzyn pożałuje, że się urodził!

Emily przerażona była tym, co Jack może zrobić. Podbiegła do niego i rozpaczliwie zarzuciła mu ręce na szyję.

- Nie! Nie jedź! Niech go ukarze prawo!

Jack przytulił ukochaną i na moment oparł policzek o jej włosy, ale potem odsunął ją od siebie delikatnie acz stanowczo.

- Muszę pojechać, Emily. Czas już, żebyśmy z Rafe'em wyjaśnili sobie wszystko jak należy. Poza tym nie sędzę, by dobrze było zostawiać go na łasce Manco. - Jack wiedział, jak gorąco Indianin pragnie opuścić angielską ziemię, i obawiał się, że może on popełnić pochopnie czyn, który co prawda ostatecznie rozwiąże sprawę Rafe'a, ale samego Manco narazi na straszne konsekwencje.

Cristoval popatrzył na przyjaciela, wiedząc, co ma on na myśli.

- Może lepiej jedźmy tam jak najszybciej - powiedział cicho.

Rafe nadal leżał związany i zakneblowany w stróżówce, a Manco trzymał mu nóż na gardle. Przez wiele minut Inka nie poruszał się, tylko powoli i bezlitośnie obracał nóż, którego czubek dotykał skóry ofiary. Na twarzy Manco brak było jakiegokolwiek wyrazu, oczy miał puste, a przez to nie można było się zorientować, o czym myśli ani jakie ma zamiary. Wargi Indianina nie poruszały się, ale z jego gardła wydobywał się dziwny dźwięk, niesamowity śpiew, jakby jakieś zaklęcia. Robiło to takie wrażenie, jakby Indianin był brzuchomówcą.

Nagle śpiew się urwał i Manco wyciągnął rękę w kierunku jasnokasztanowych włosów swego jeńca. Rafe skulił się przerażony, kiedy Indianin starannie odciął jedno pasmo, a potem przysunął mu je przed oczy.

- Diabeł to widzi? Teraz Manco ma część diabeła, Manco ma go w swojej mocy. Jeżeli Manco chce, zmusi diabeła, żeby umarł. Niech patrzy.

Odwrócił się i palcem pokazał na kartkę papieru Archie'ego. Na oczach Rafe'a kartka zaczęła butwieć po brzegach, zwilgotniała, pokryła się pleśnią

i rozsypała się tak, że została po niej na podłodze tylko jeszcze jedna brudna plama. Proces, który powinien być zająć miesiące, może nawet lata, dobiegł końca w kilka sekund.

Manco pochylił się nad związanym mężczyzną, wpijając w niego swe ciemne, nieodgadnione, inkaskie spojrzenie.

- Manco robi to z papierem, bo Manco jest w pokoju z papierem, ale Manco może to zrobić diabełowi z każdego miejsca, gdzie Manco jest. Włosy część ciała, część duszy; kiedy Manco ma włosy diabła, Manco ma diabła też. Rozumiesz?

Rafe wpatrywał się w niego, a oczy wychodziły mu z orbit. Nie wątpił, że Indianin ma moc, pozwalającą spełnić groźbę.

- Diabeł rozumie? - powtórzył Manco.

Głowa Rafe'a zaczęła kiwać się w górę i w dół jak na sprężynie.

- Jak diabeł chce ocalić skórę, diabeł robi, co Manco każe.

Rafe wybałuszał na niego oczy, nadal kiwając głową. Zrobi wszystko, absolutnie wszystko!

- Diabeł odda capac Jackowi, co należy do capac Jacka. A jeżeli bankier zniszczy list, diabeł napisze następny. Diabeł naprawi wszystkie niegodziwości, potem diabeł odjedzie daleko. - Tu machnął ręką, co miało oznaczać najdalsze krańce ziemi. - Ale nie do Peru -dodał szybko.

Rafe nie przestawał się w niego wpatrywać. Pojechać na wygnanie? Niech go cholera, jeżeli...! Zerknął ukradkiem na szczątki kartki. Może wygnanie mimo wszystko będzie mądrym posunięciem...

- Diabeł się zgadza? - naciskał Manco swobodnym tonem.

Rafe przełknął i kiwnął głową.

Indianin wyprostował się i wepchnął nóż z powrotem za pas, ale na wszelki wypadek pokazał jeszcze palcem na „Pismo dla panów”. Pismo powoli zaczęło butwieć po brzegach.

- Poniedziałek pizarrski dzień dla wszystkich diabełów - zamruczał Manco.

Jack i Cristoval jechali do stróżówki, popędzając konie; zastali Archie'ego na skraju lasu, gdzie wciąż jeszcze niespokojnie się kręcił. Z budynku nie dochodził żaden odgłos, a chłopiec za bardzo się bał, by tam zajrzeć. W środku mogło się stać wszystko, dosłownie wszystko...

Dwaj mężczyźni zsiadli z koni, Jack już chciał wejść do środka, ale Cristoval powstrzymał go i zawołał:

- Czy wszystko w porządku, Manco?

Drzwi otworzyły się i Indianin wyszedł na zewnątrz z szerokim uśmiechem na ustach.

- Wszystko świetnie, capac Cristoval. Diabeł teraz nie problem.

Jack upadł na duchu. O, dobry Boże, tylko nie to...! Wbiegł do stróżówki z Cristovalem depczącym mu po piętach i natychmiast zatrzymał się z ulgą, bo zobaczył na podłodze Rafe'a - aż nadto żywego i śmiertelnie zawstydzonego!

Manco wszedł do środka tuż za nimi, nieco zdetonowany.

- Manco nie zabija. Nie potrzeba.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał ostro Jack. Manco rozłożył dłonie, przedstawiając sobą istne wcielenie świątobliwej niewinności.

- Diabeł żałuje za grzechy. Przecież tego chce wasz kościół?

- No, tak, ale...

Cristoval przyglądał się bacznie Indianinowi.

- Co ty mu zrobiłeś, Manco?

- Manco nic nie robi. Tylko pokazuje czary.

- Aha. - Twarz Cristovala się rozjaśniła. Jack wyjął papierową kulę z ust Rafe'a.

- A co ty sam masz do powiedzenia, draniu? - zapytał cicho.

Rafe wpatrywał się w niego niemo, a potem jego spojrzenie pomknęło z lękiem w stronę Manco, który tylko na niego patrzył. Twarz Indianina nie zdradzała niczego, a równocześnie ujawniała bardzo wiele. Bez wątpienia związanemu mężczyźnie musiała wydawać się wielce wymowna.

- No? - poganiał kuzyna Jack.

- Lincoln, ja... ja... - Głos Rafe'a ucichł. W ustach mu zaschło, miał wrażenie, że język zrobił się za duży i nie mieści się w środku. Bolała go oprócz tego szczęka i głowa. Chyba naprawdę w życiu się gorzej nie czuł.

Manco pogrzebał w mieszku i wyciągnął pasemko włosów, po czym udał, że z wielkim skupieniem mu się przygląda. Rafe natychmiast aż kwiknął z przerażenia, a słowa popłynęły z jego ust strumieniem.

- Lincoln, głęboko żałuję wszystkiego, co zrobiłem. Zamierzam wszystko naprawić, wierz mi. Możesz dostać z powrotem twoje dziedzictwo. Przekażę ci je, jak tylko będę mógł. I zamierzam wyznaczyć ciebie swoim spadkobiercą, tak więc dostaniesz również zamek Temford, jeżeli mnie się cokolwiek stanie.

Jack poczuł się zbity z tropu.

- Twoim spadkobiercą? - powtórzył. Głowa Rafe'a podskakiwała w górę i w dół.

- Tak, a jeżeli Mackayowi udało się zniszczyć ten pierwszy list, który napisałem pod twoje dyktando, to napiszę drugi. I nigdy nie zrobię niczego, co mogłoby skrzywdzić Fairfieldów, ani nie będę próbował zbliżyć się do Emily Fairfield.

- Pilnuj się, żebyś tego dotrzymał - powiedział cicho Jack. Rafe podniósł na niego oczy.

- Tak więc dostaniesz wszystko, Lincoln. Twoją własną fortunę, moją i Feliksa Reynoldsa.

- Feliksa? O czym ty mówisz?

- Nie wiedziałeś? On jest bogaty jak Krezus! A przynajmniej był.

Jack rzucił okiem na Cristovala i zobaczył, że przyjaciół ma dziwną minę. I Manco również.

- O czym on mówi? Słuchajcie no, najwyraźniej wy dwaj coś wiecie...

Cristoval poruszył się skrepowany, ale odpowiedzi udzielił Manco.

- Tak, wiemy. Capac Feliks ma dużo pieniędzy. Pobogaciał w Wenezueli czy innym pizarrskim kraju. On wie, że stary i ma niedużo dłużej, więc...

- On pewnie już nie żyje! - wykrzyknął Rafe. - Gustavus rozmawiał z lekarzem Reynoldsa w Limie i dowiedział się od niego, że Reynolds nie dojdzie do siebie po tej febrze, czy na co tam chorował. Gustavus powiedział wszystko o tym Brockhamptonowi w Londynie. Emily Fairfield odziedziczy ogromne pieniądze, z których ty pewnie również odniesiesz korzyść, Lincoln! Och, wierz mi, będzie dużo bogatsza niż ty czy ja kiedykolwiek byliśmy. - Tu roześmiał się zimno. - Stawia to pod znakiem zapytania twój tak zwany honor, czyż nie? Czy pani Fairfield będzie kiedykolwiek miała pewność, że naprawdę nie wiedziałeś o jej dziedzictwie, zanim tu przyjechałeś?

Cristoval dał krok do przodu, pochylił się, by chwycić Rafe'a i potrząsnąć nim.

- Czy ty się nigdy niczego nie nauczysz, człowieku? Gustavus miał nieprawdziwe informacje. Feliks Reynolds dochodził do siebie, kiedy wyjeżdżaliśmy. Założyłbym się, że teraz jest już silny i zdrowy.

Manco kiwnął głową.

- Tak, capac Feliks znowu zdrów. Manco wie. Oczy Cristovala się rozjaśniły.

- No, widzi pan? Nie potrzeba mi żadnego innego potwierdzenia. - Nie przestawał spoglądać w dół na Rafe. - Poza tym może się pan równie dobrze dowiedzieć, że kiedy Manco i ja będziemy wracali do Peru, pani Preston popłynie razem z nami. Zobaczy się Feliksem i z jego własnych ust usłyszy, że Jack nie wiedział nic o tym bogactwie. Napisze do córki i Emily przekona się ponad wszelką wątpliwość, że Jack mówił prawdę. Chociaż to i tak będzie wiedziała, sir Rafe'ie, bo wielka jest różnica między panem a pana kuzynem. Jack ma szlachetną duszę, a pan nie lepszy jest niż szumowina na brudnej kałuży.

Manco przytaknął i szeroko uśmiechnął się od Jacka.

- Capac Feliks uważa pan najlepszemu mężczyzna na świecie dla palla Emily. I się nie myli.

Zdezorientowany Jack przeciągnął ręką po włosach.

- Wy dwaj wiedzieliście o fortunie Feliksa i słowa mi nie powiedzieliście?

Cristoval rozłożył ręce.

- Oczywiście, że nic nie mówiliśmy. O to w tym wszystkim chodziło. Feliks nie życzył sobie, by powstrzymywała cię obawa, że nazwą cię łowcą fortun.

- I mimo całego swojego bogactwa zamierzał zostawić córkę bezbronną i na łasce tego... tego... - Tu Jack wściekle machnął ręką w kierunku leżącego na podłodze Rafe'a.

Cristoval potrząsnął głową.

- Nie, mój przyjacielu, gdyby miało dojść do najgorszego, zostałem upoważniony, by powiedzieć Emily, jaka jest naprawdę jej sytuacja. Feliks polecił mi jednak powstrzymywać się do ostatniej chwili, żeby szczerą miłość mogła rozwinąć się zgodnie z naturalnym biegiem rzeczy. I tak się stało. Na wypadek, gdyby sprawy przybrały zły obrót, Feliks dał mi list z pełnomocnictwem, który, zgodnie z poleceniem, miałem przekazać jego adwokatowi w Bath.

- A więc to dlatego pojechaliście do Bath?

- Tak. Oczywiście ani Feliks, ani żaden z nas nie wiedział, że twój kuzyn zaszantażuje Emily opowieściami o rzekomej zdradzie Geoffreya. - Cristoval z niesmakiem trącił nogą jeńca. Ten szczególny aspekt szantażu Rafe'a nie był już tajemnicą we dworze, bo kiedy zebrali się w salonie, by napić się czekolady i posłuchać, jak Cora gra na klawesynie, Emily zdecydowała się im o wszystkim opowiedzieć.

Manco zauważył emocje, jakie przemykały po twarzy Jacka.

- Capac Jack nie musi teraz się martwić, bo jest bogaty i Emily bogata. To bardzo dobrze.

Uwaga Jacka ponownie skupiła się na Rafe'ie.

- Tak więc to majątek Feliksa był prawdziwą przyczyną, dla której starałeś się o Emily?

- Tak.

- Ale skąd ty, do jasnej ciasnej, dowiedziałeś się o nim?

- Przypadkiem. - Rafe opowiedział im, w jaki sposób sir Quentin odkrył, że majątek St. Lawrence'a został sprzedany Feliksowi, jak pojechał do prawnika do Bath i jak zostawiono go samego wystarczająco długo, by przeszukał akta.

Jack czuł silną pokusę, by pochylić się i zacisnąć dłonie na gardle Rafe'a za wszystko, co ten zrobił; pokusa była tak silna, że musiał się odsunąć, by jej nie ulec.

- Lepiej dotrzymaj obietnicy, że opuścisz Anglię, Rafe, bo jeżeli nie, to przysięgam, że cię zabiję.

- Wyjadę. Wiem, że tu nie mogę zostać. - A jedną z pierwszych przyczyn jest fakt, że szpiegowałem dla Francuzów, chociaż o tym akurat jeszcze nic nie wiesz...

- Tylko nie do Peru - przypomniał mu Manco.

- Dobrze, przysięgam!

Manco schował z powrotem włosy do mieszka.

- Jeżeli diabeł grzeczny, Manco go nie skrzywdzi - powiedział. - Ale pamiętaj, jeżeli diabeł niegrzeczny, Manco będzie wiedział, obojętne w jakiej części świata Manco jest.

Cristoval pochylił się nad Rafe'em.

- Proszę mu wierzyć, sir, on nie rzuca słów na wiatr. Zdarzało mi się już widzieć, jak silni mężczyźni umierali od inkaskiej magii.

- Wierzę mu! Wierzę mu! - wrzasnął Rafe. Manco odwrócił się do Cristovala i Jacka.

- Co teraz? - zapytał.

Cristoval odpowiedział mu, zanim Jack zdążył się odezwać.

- Jack, wracaj do Emily i powiedz jej, że wszystko jest w porządku. Zostaw sir Rafe'a Manco i mnie.

- Nie! Nie zostawiaj mnie! - krzyczał Rafe.

Ale Manco złożył razem czubki palców i się uśmiechnął. Wyglądał przy tym dokładnie jak jakiś dobroduszny ksiądz.

- Capac Jack niech już jedzie. Diabeł z nami bezpieczny - zapewnił.

Rafe przełknął i szczerze zacisnął powieki. I dlatego nie widział, jak Manco puszcza do Jacka oko. Panu zamku Temford nie było pisane wiedzieć, że już żadna krzywda nie spotka go z rąk Indianina. No, chyba że znowu jakoś niewłaściwie by się zachował.

Jednak Rafe'owi nie było dane wymknąć się bezpiecznie na wygnanie, ponieważ aresztowano go jeszcze tego samego dnia. Przydługie pismo sir Quentina do stacjonującego w koszarach oficera skłoniło tego ostatniego do natychmiastowej i ostrej reakcji i kiedy w południe jesienne słońce stało w zenicie, duży oddział żołnierzy przejeżdżał przez temfordzki rynek, żeby zająć zamek.

Wieści rozeszły się szybko i zanim zapadł wieczór, cała okolica aż huczała od przypuszczeń i plotek. Wojsko przeszukało zamek od lochów po parapety murów obronnych, ale nie znalazło żadnego dowodu na zdradę Rafe'a. Może udałoby mu się nawet z tego oskarżenia wywinąć, gdyby nie to, że sir Quentin w swoim liście wymienił dokładnie z nazwy tomik francuskich wierszy, spalony przez Rafe'a, a Jack mógł przedstawić obciążającą go kartkę papieru. Wystarano się o jeszcze jeden egzemplarz, zdradziecka informacja została rozszyfrowana, a haniebne postępowanie Rafe'a ujawnione w całej swojej sromocie.

W Noc Fajerwerków, zamiast ogłaszać swoje zaręczyny z Emily, sir Rafe Warrender gnił pod kluczem w areszcie w koszarach. Czekał na przedstawicieli rządu Jego Królewskiej Mości, którzy pospiesznie jechali z Londynu na północ, by przesłuchać go w sprawie nielojalności, jakiej się dopuścił. Siedział więc ponuro przygarbiony w swojej celi, a cała socjeta ze Shropshire - wyjąwszy mieszkańców Fairfield Hall - tańczyła i bawiła się „Pod królewskim dębem”, a potem podziwiała wspaniałe ognisko i pokaz fajerwerków. Nikt nie ubolewał nad nieobecnością Rafe'a. Prawdę powiedziawszy, nikt nie miał dla niego dobrego słowa.

RS

Rozdział 34

Pewnego pięknego dnia późną wiosną Emily Fairfield została panią Jackową Lincoln. Wzięli bardzo cichy ślub w kaplicy w Fairfield Hall, a świadkami uroczystości była tylko służba. Cała reszta, łącznie z Peterem i z Archie'em Bradwellem, ku niezmierzonej radości tego ostatniego, odpłynęła do Peru, gdzie czekały majestatyczne Andy i ukryte skarby Inków. Chłopcy mieli kiedyś w końcu wrócić, ale Cora zamierzała się tam zatrzymać na bardzo długo. Została panią Feliksową Reynolds, połączyła się w końcu z mężczyzną, którego uwielbiała przez niemal całe swe dorosłe życie, a który, trzeba to powiedzieć, znacznie odmłodził po przybyciu swojej sekretnej ukochanej!

Nie obeszło się jednak bez uczczenia ponownego zamażpójścia Emily w miasteczku Temford: „Pod królewskim dębem” wydano wspaniałe weselne śniadanie. Ale kiedy piękne majowe popołudnie miało się ku końcowi, państwo młodzi wymknęli się z uroczystości i pojechali z powrotem do Fairfield Hall, pragnąc być tylko we dwoje. Ślubne lando ciągnęły cztery białe konie, budę pojazdu opuszczono. Lando przybrane było girlandami wiosennych kwiatów, zielenią i białymi, jedwabnymi wstążkami i wyglądało bardzo romantycznie, kiedy przejeżdżało pod baldachimem młodych liści. Zakukała kukułka, głogi napełniały powietrze aromatyczną wonią, a tu i tam kępy dzwonków rozlewały się błękitem po polankach.

Emily miała na sobie suknię ze złocistego jedwabiu z dopasowanym koronkowym płaszczkiem. Zrzuciła z głowy ozdobiony kwiatami czepek i słońce cieniowało i rozświetlało jej włosy, nadal krótkie, bo takie się Jackowi podobały. Lando sunęło po podjeździe, na kolanach panny młodej leżał bukiet pączków różanych, a ona, szczęśliwa, opierała głowę na ramieniu Jacka. Okryta białą rękawiczką dłoń panny młodej spoczywała w jego ręce. Jack gładził policzkiem jej włosy, przymknąwszy oczy, bo słońce błyskało przez liście.

Ubrany był w niemal obowiązkowy dla pana młodego surdut, ciemnobłękitny, z dużymi, mosiężnymi guzikami, a do tego białą jedwabną kamizelkę, spodnie do kolan, pończochy i czarne buty z klamrami. Nakrochmalony fular był mistrzowskim osiągnięciem mody, połyskiwał na nim jaskrawoniebieski szafir. Obejmował ramieniem swoją młodą żonę, a wiatr rozwiewał mu jasne włosy. Bez wątpienia był to najszczęśliwszy dzień w jego życiu, dzień, kiedy wszystko znowu pięknie się ułożyło. Dawne

krzywdy zostały naprawione, był znowu panem tego, co mu się z urodzenia należało, właśnie pojął za żonę najbardziej zachwycającą, niezrównaną, cudowną kobietę pod słońcem. I tej nocy będą leżeli razem w pachnącej lawendą pościeli i będą się kochali do bladego świtu... Jedna jedyna rzecz tylko plamiła doskonałość tego dnia, a mianowicie fakt, że chociaż polankę przy jeziorku wielokrotnie przeszukiwano, pierścień spod Agincourt się nie znalazł. Gdyby mógł go mieć na palcu podczas ślubu, wtedy już niczego by mu nie brakowało. Ale przecież to naprawdę bez znaczenia, dumął, skoro we wszystkim innym tak mu się poszczęściło.

Nagle Emily z cichym okrzykiem pochyliła się do przodu, bukiet stoczył się z kolan na podłogę powozu. Niczym błysk słońca przebijającego się przez liście mignęło jej coś w pamięci.

Jack się wzdygnął.

- Co się stało?

- Ja... właśnie sobie coś przypomniałam... Zatrzymać powóz! - zawołała ku zdumieniu forysia, który natychmiast ściągnął prowadzące konie. Odwróciła się pospiesznie do Jacka. - Musimy przejść na polankę!

- Teraz? Przecież masz na sobie ślubną suknię!

- To bez znaczenia. Proszę cię, Jack, to ważne! - Zaczęła już otwierać drzwi landa.

Jack pospiesznie pomógł jej w tym i wysiadł. Potem podał żonie rękę, by mogła zejść na ziemię.

- Możemy tu z łatwością wrócić, jak się przebierzemy... - zaczął, ale Emily nie chciała o tym słyszeć.

- Nie, musimy pójść teraz! - Chwyciła go za rękę i pospiesznie ruszyła przez las.

Jezioro leżało ciche i spokojne, majowe słońce, przeświecając przez młode liście, rozpałało w nich tysiące odcieni zieloności. Rozwijały się pastorały paproci, dzikie kwiaty barwiły poszycie, jakiś lin dotknął lustrzanej powierzchni wody, po której rozeszły się współśrodkowe kręgi. Emily prowadziła do miejsca, gdzie, jak pamiętała, spadła z konia.

- To tutaj leżałam, prawda?

- Tak, ale... - Jack zdezorientowany kiwnął głową.

- A głowę miałam mniej więcej tu, leżałam twarzą do powalonego drzewa. - Emily przymknęła oczy, usiłując sobie przypomnieć dokładnie, co widziała w chwili, kiedy traciła przytomność - coś małego i błyszczącego, co migotało na tle obrosniętego mchami pnia. Uniosła ślubną spódnicę i

przeszła po miękkiej trawie i pierwiosnkach, nie odrywając oczu od pewnego miejsca na pniu. Zbliżyła się, ale nie zobaczyła nic, tylko sękatą korę, mech i ruchome cienie, rzucane przez dąb, z którego Peter tak często próbował łapać ryby.

- Czego ty szukasz? - zapytał Jack. Na myśl przychodził mu tylko pierścień spod Agincourt, ale wiedział przecież, jak często już go szukano bez najmniejszego sukcesu.

Emily przyjrzała się drzewu jeszcze dokładniej i zdjęła rękawiczkę, by odgiąć fragment kory. I nagle odskoczył cały jej kawał, a na ziemi poleciało coś jeszcze, z cichym, metalicznym brzękiem spadając między paprocie i kwiaty. Z okrzykiem triumfu Emily pochyliła się, by to podnieść. Potem wyprostowała się, trzymając przedmiot na dłoni. Leżał tam pierścień spod Agincourt, połyskując złotem.

- Ale skąd wiedziałaś...? - Jack nie mógł od pierścienia oczu oderwać.

- Kiedy spadałam tamtego dnia z konia, coś mi błysnęło w chwili, kiedy traciłam przytomność. Całkiem o tym zapomniałam, przypomniało mi się dopiero przed chwilą. - Wzięła pierścień i poprosiła Jacka, by zdjął lewą rękawiczkę. Potem wsunęła pierścień na jego palec serdeczny. - Tak wysoko ceniony przez pana skarb znalazł się wreszcie na swoim miejscu, panie małżonku - szepnęła.

Jack uśmiechnął się i wziął ją w ramiona.

- Och, jak bardzo panią kocham, pani żono. Emily uniosła ku niemu twarz i całowali się przed długą, bardzo długą chwilę. Potem znowu wzięła go za rękę i poprowadziła na skraj jeziora.

- Manco powiedział, że jeżeli kiedykolwiek chcielibyśmy przekazać mu, że jesteśmy szczęśliwi i że wszystko układa się po naszej myśli, wystarczy, że oboje wrzucimy do wody gałązki. Czy wierzysz w to?

- Oczywiście, że wierzę w inkaską magię, widziałem ją przecież na własne oczy. - Jack pochylił się i podniósł z ziemi dwie gałązki. Podał jedną Emily. - Teraz razem. Raz, dwa, trzy.

Rzucili gałązki do wody. Rozeszły się drobne fale, rozchodziły się coraz szerzej, aż dosięgły brzegu jeziora. Ale Emily ogarnęło dziwne uczucie, że nie przestały się wtedy rozchodzić, tylko płyną coraz dalej i dalej, przez ziemię, za ocean...

W Limie lato przeszło już w jesień. Była niespodziewanie piękna pogoda, Andy wystrzelały zwieńczoną bielą wspaniałością w szafirowe niebo. Późnym przedpołudniem na hacjendzie zapanował spokój. Peter i Archie,

którzy się teraz serdecznie zaprzyjaźnili i byli całkiem nierozłączni, mieli lekcje z angielskim nauczycielem, którego zaangażowała Cora. Feliks towarzyszył Cristovalowi; pojechali razem na obrzeża majątku, gdzie wynikł spór o granicę z sąsiadem.

Cora siedziała w ogrodzie na fotelu pod wiecznie zielonymi gałęziami drzewa molle. Miała na sobie wełnianą suknię w ciepłym odcieniu różu i gruby, dziergany szal na ramionach, bo wyraźnie robiło się już chłodniej. Czytała amerykańską gazetę, która przypadkiem wpadła Cristovalowi w ręce w jego klubie w Limie. Gazeta była przeterminowana o kilka miesięcy, ale znajdowały się w niej wiadomości o wydarzeniach, o których nie wiedziała.

Wiść o śmierci admirała Nelsona pod Trafalgar dotarła do Shropshire jeszcze przed ich wyjazdem, ale nie wiedziała o wielkim zwycięstwie Bonapartego nad Austriakami i Rosjanami pod Austerlitz, ani o pokoju, jaki Austriacy podpisali w trzy tygodnie później na Boże Narodzenie w Pressburgu. Nie wiedziała również, że wielki premier William Pitt Młodszy umarł w styczniu, tak naprawdę przez nadmierne zamiłowanie do portwajnu, oficjalnie ogłoszono jednak, że złamały go otrzymane z Europy wiadomości. Wyglądało na to, że Anglią rządzi teraz koalicja pod wodzą lorda Grenville'a, o którym Cora nigdy nie miała najlepszej opinii.

Nie wróży to dobrze mojej ojczyźnie, pomyślała, odwracając stronę. I w tym momencie rzuciło jej się w oczy pewne nazwisko! Sir Quentin Brockhampton!

Przeczytała krótki akapit. Jednak arcywspólnikowi Rafe, pod wieloma względami równie winnemu jak on, udało się uciec do Ameryki, a tam właściwa mu skłonność do nieuczciwości szybko wzięła górę. Tym razem jednak nie uniknął kary i został skazany na dłuższy pobyt w więzieniu przy Walnut Street w Filadelfii. Cora głęboko odetchnęła. Wydało jej się, że taki los jest dla niego bardziej odpowiedni niż dużo wyższa cena, którą zapłacił sir Rafe Warrender. Zdrajców nigdy nie traktowano pobłażliwie, a już najmniej w czasach wojny.

Oparła się wygodniej, by czytać dalej, ale zaraz rzuciła dość mroczne spojrzenie w kierunku Manco, który siedział po turecku na ziemi przy milczącej fontannie. Grał znowu na tym swoim nieszczęsnym flecie, a chociaż Cora doceniała jego talent, serdecznie pragnęła, by kiedyś zagrał coś weselszego. Czy wszystkie inkaskie melodie musiały być takie smutne i rozdzierające?

Manco cieszył się, że może pograć na flecie; cieszył się właściwie ze wszystkiego, od kiedy wrócił znowu do domu. Och, jakie dzięki składał Wirakoczy, wysiadłszy na brzeg w Callao po następnej pięciomiesięcznej podróży. Żaden Inka nigdy nie tańczył piękniej ani nie składał bardziej czołobitnych hołdów. Wielki bóg był z niego zadowolony i od tamtej chwili sprzyjał wszystkim jego modlitwom. Życie było dobre.

Nagle od sadzawki wokół fontanny doszedł cichy plusk. Manco przestał grać i odwrócił głowę, by popatrzeć. Zobaczył, jak po powierzchni wody rozchodzą się kręgi i pluszcza o kamienne obramowanie, jakby coś właśnie wpadło do środka albo jakby z głębi wypłynęła jakaś ryba. Ale w sadzawce nie było ryb i wiedział, że nic do niej nie wpadło. Ogarnęło go dziwne doznanie, wyczuwał, że przyplłynęło do niego z drugiego końca świata. Uśmiechnął się i popatrzył na Corę.

- Capac Jack i palla Emily zdrowi i szczęśliwi - powiedział. - Od samego początku oba serca nietrudno podbić, a dzisiaj zaślubiny.

- Hmm? - Uwagę Cory pochłaniało coś w gazecie. Inka powtórzył swoje słowa, a wtedy podniosła głowę. - Dzisiaj wzięli ślub? Ależ, sir, chyba nie spodziewasz się, że uwierzę w taką wiadomość? Skąd miałbyś o tym wiedzieć? Cest impossibl

- To prawda. Manco całkiem pewny. - Pokazał na sadzawkę, gdzie falki wciąż jeszcze były widoczne, a potem podniósł flet i zaczął znowu grać. Tym razem melodia, którą wybrał, była dużo bardziej radosna.

Cora nie mogła tego wiedzieć, ale Manco grał inkaską pieśń weselną.